

PRZEDTEM TERAZ POTEM

Opowieści z nostalgią,
o realiach i nadziei.



interia

PRZEDTEM

TERAZ

POTEM

interia

KRAKÓW 2019

Spis treści

Od redakcji | 5

GABRIELA KURCZ – „Latawiec z betonu”, czyli czterdzieści lat w szesnaście dni | 7

ŁUKASZ PIENIĄŻEK – Jelonek z dekady Gierka: Symbol PRL, który trwa do dziś | 15

KATARZYNA PAWLICKA – Meble z przeszłości mają w sobie coś osobistego | 20

IZABELA GRELOWSKA – Violetta Villas. Prawdziwa historia | 29

DAREK JAROŃ – Wanda Rutkiewicz: Pierwsza Polka na szczycie K2 | 36

ALEKSANDRA BUJAS – Igor – dziecko Czarnobyla? | 41

KATARZYNA PAWLICKA – Komunizm był zły, ale mój ojciec to był taki dobry człowiek | 51

LIDIA OSTÓLSKA – Rockowe księżniczki | 60

KATARZYNA PAWLICKA – Niezachwiana wiara w postęp była niezwykle przyjemna | 64

MICHAŁ OSTASZ – Retromania, duchologia, hauntologia... | 71

MONIKA SZUBRYCHT – Remigiusz Rzyński: Nie ma jednego scenariusza na życie | 84

ADAM WIECZOREK – Łukasz Orbitowski: Dzieciństwo to piekło, a ja jestem jego strażnikiem | 93

ALEKSANDRA BUJAS – Życie i śmierć Davida Vettera | 102

SŁAWOMIR ZAGÓRSKI – Prohibicja w USA. Nieudany eksperyment | 111

ŁUKASZ PIĄTEK – Ropa naftowa: Krew naszej cywilizacji | 114

RAFAŁ WALEROWSKI – Helge Meyer: Boży Rambo w piekle wojny | 121

KATARZYNA PAWLICKA – Ekologia nie jest fanaberią bogatych ludzi | 126

IZABELA GRELOWSKA – Katolickie feministki chcą zmian w kościele | 134

KATARZYNA PAWLICKA – Bajki o bocianie i noworodku w kapuście należy sobie odpuścić | 144

DOMINIKA GĘBIŚ – Jak polubić zdrowe jedzenie? | 153

IZABELA GRELOWSKA – Iran. Modne dziewczyny robią rewolucję | 157

BARTOSZ KICIOR – Jadav Payeng: Cały las rękami jednego człowieka | 164

KATARZYNA DRELICH – Katarzyna Smutniak: Bunt jest wolnością | 167

KATARZYNA PRUSZKOWSKA – Caleb Wilde: Umiera człowiek, nie miłość | 171

IZABELA GRELOWSKA – Siła marzeń jest ważniejsza niż siła mięśni | 176

MONIKA SZUBRYCHT – Często nie wiemy, co jest dobre dla dziecka | 183

ADAM WIECZOREK – Jacy są współcześni ojcowie? | 191

KAROLINA ŚWIDRAK – Mąż jest jak naleśnik: pierwszy zawsze do wyrzucenia... | 195

KATARZYNA WILK – Ikigai, japoński przepis na szczęście | 206

AGNIESZKA ŁOPATOWSKA – Monika Michalik: Swojego długu sama nie spłacę | 215

MAGDALENA TYRAŁA – Jak stać się opiekunem szczęśliwego kota? | 223

AGNIESZKA ŁOPATOWSKA – Thomas Erikson: Musimy ze sobą więcej rozmawiać | 232

MONIKA SZUBRYCHT – Żeby życie było dobre: O dwóch Wojtkach i mamie | 238

Od redakcji

Na stronach portalu INTERIA.PL codziennie publikujemy dziesiątki autorskich materiałów: wywiadów, reportaży, felietonów. Nasi dziennikarze docierają do ciekawych rozmówców, prezentują nieopowiedziane wcześniej historie, recenzują nowości wydawnicze. Zapraszamy do lektury zbioru naszych najlepszych tekstów, które ukazały się w ostatnich miesiącach na łamach portalu.

W kolejnej już edycji naszego wakacyjnego e-booka proponujemy wam, byście razem z naszymi autorami przenieśli się w przeszłość. Sprawdźcie, jak mieszkało się lokatorom najdłuższego bloku w Polsce, czyli gdańskiego falowca. Zajrzyjcie pod maskę motoryzacyjnego symbolu PRL, czyli Jelonka. Przyjrzyjcie się meblowym perełkom ówczesnego designu (a jeśli odkryjecie, że kilka takich mebli macie na strychu czy w piwnicy, Kasia Sawko pokaże wam, jak łatwo przywrócić im dawny blask). Przeczytajcie, jak Iza Michalewicz snuje opowieść o Violetcie Villas, która w latach 60. zaczynała swoją oszałamiającą karierę, a Krystyna Naszkowska próbuje dowiedzieć się, jak żyły dzieci najbardziej prominentnych członków Partii.

Szybki skok w przyszłość i przeniesiecie się do lat 80. Poznajcie bliżej Wandę Rutkiewicz, która jako pierwsza Polka stanęła na szczycie K2. Wybierzcie się do małego miasteczka na Białorusi, gdzie urodził się Igor Pavlovets – chłopiec, którego życie na zawsze naznaczył wybuch reaktora w Czarnobylu. Choć niektórym z nas trudno w to uwierzyć, także lata 90. odchodzą już w niepa-

mięć, dlatego warto sprawdzić, co zapamiętamy z czasów, kiedy w Polsce rodziła się demokracja. Gumy Donald, wypożyczalnie kaset wideo czy może pierwsze reklamy telewizyjne? – o tym opowiada Rafał Sowiński, założyciel fanpage’a „Jak będzie w Polsce 1?”. Zaś o tym, jaką rolę pełni pamięć i co warto pamiętać, mówi pisarz Remigiusz Ryziński.

Jesteśmy przekonani, że spoglądanie wstecz jest ważne także dlatego, że dzięki doświadczeniom minionych pokoleń możemy zapewnić lepszą przyszłość sobie i dzieciom. Dlatego oddajemy głos Arecie Szpurze, która uczy, jak żyć ekologicznie, Anji Rubik, która udowadnia, że pruderia nie służy nikomu i Marcie Biercy, która snuje opowieść o tym, jacy są współcześni ojcowie – z czym muszą się mierzyć i jak czują się w roli, która sami muszą definiować na nowo.

Wierzymy, że teksty naszych dziennikarzy nie tylko umilą wam podróże i wakacyjny odpoczynek, ale także dostarczą powodów do wzruszeń, przemyśleń i tematów do wielogodzinnych rozmów w gronie przyjaciół i rodziny. W końcu od czego są wakacje?!

Do poczytania na portalu INTERIA.PL!

Agnieszka Łopatowska,
Interia



Gdańskie falowce budowane były w latach 60. i 70.

| Wojciech Stróżyk Reporter

„Latawiec z betonu”, czyli czterdzieści lat w szesnaście dni

Gabriela Kurcz

Dziesięć pięter plus nadbudówki. Cztery segmenty po cztery klatki w każdym i średnio 110 mieszkań w każdej z nich. 860 metrów długości i 32 metry wysokości. Najdłuższy polski falowiec położony jest na gdańskim osiedlu Przymorze, przy ulicy Obrońców Wybrzeża. Dla jednych to unikalne dzieło budownictwa mieszkaniowego PRL, dla innych symbol jego upadku. W powieści „Latawiec z betonu” te oceny schodzą na dalszy plan, a falowiec staje się miejscem, w którym czas płynie i faluje tak, jak jego klatki.

GABRIELA KURCZ: Kiedy ostatni raz była pani w falowcu?

MONIKA MILEWSKA: Wydaje mi się, że było to w 2015 roku, podczas akcji miejskiej, która ożywić miała gdańskie Przymorze. To, co wówczas się tam wydarzyło, opisałam w klatce poświęconej Wielkiemu Świętu Falowca. Uwalnianie drewnianych mrówek na spadochronach z chusteczek, poszukiwanie amatora zupy pomidorowej, odsłanianie na falowcu efemerycznej tablicy, to wszystko działo się naprawdę, choć niekoniecznie w tym konkretnym falowcu. Na Przymorzu jest ich bowiem aż siedem. Od tej pory chyba nie zaglądałam do mojego bohatera. Podobnie jak wszystkie bloki w Polsce strzeże on swych tajemnic za pomocą domofonu i dobrze skrywanego kodu. A ja miałam materiału aż nadto. Pisałam przecież powieść, nie reportaż. Falowiec jest w niej bytem wyobrażonym, nie dosłownym. W prawdziwym falowcu na ulicy Obrońców Wybrzeża nigdy nie można było przejść z jednego końca na drugi wiodącymi wzdłuż niego galeriami, bo galerie w każdym segmencie znajdują się na innej wysokości, dostosowując się do rzeźby terenu. Podróż mojego bohatera w przyszłość poprzez kolejne klatki nie mogłaby więc przebiegać tak prosto, jak to opisałam. Na szczęście dla powieści, o uskokach architektonicznych dowiedziałam się, gdy było już za późno na odwrót.

Mówi pani o domofonach strzegących tajemnic. Podróżujący w czasie i między klatkami Inżynier napotkałby dziś na wiele przeszkód.

– Tak, z pewnością. Mieszkańcy tego olbrzymiego bloku od dawna starają się wygospodarować swoją własną, osobistą przestrzeń, odgradzając się od sąsiadów, instalując na galeriach najpierw drzwi, a potem również domofony, tworząc tzw. akwaria, które powiększają metraż ich (za małych często) mieszkań. Pierwotnie miałam pomysł, by zakończyć powieść uwięzieniem mojego podróżującego w czasie bohatera właśnie na takiej odciętej od reszty falowca klatce. Na zawsze musiałby pozostać w naszych, jakże obcych dla niego czasach.

Wyczuwam nutkę nostalgii... Nasze czasy to zamknięte osiedla, hasła, kody i anonimowi sąsiedzi, których mijamy na klatkach schodowych. Myśli Pani, że pewien etap został zamknięty bezpowrotnie?

– Jesteśmy sobie nawzajem coraz mniej potrzebni. W dobie internetu i sklepów całodobowych cukru i soli nie musimy już pożyczać od sąsiada. Względna zamożność uniezależnia nas od innych ludzi. Pochłania nas przy tym coraz bardziej rzeczywistość wirtualna. Znajomy na Facebooku zdaje nam się bardziej realny i ważniejszy od drugiego człowieka żyjącego za ścianą. Procesy społeczne bywają jednak odwracalne. Po epoce fast foodów nastąpiła moda na slow food. Po wielu rozczarowaniach życiem w przestrzeni wirtualnej być może nastąpi przesyt i odwrót, polegający na budowaniu realnych małych wspólnot. Taką jaskółką są organizowane od jakiegoś czasu w Polsce Dni Sąsiadów. Ale tego mój bohater już nie zobaczy. Jego podróż w przyszłość kończy się w roku 2015.

Zacznijmy więc od początku... Zmęczony upałem Inżynier, twórca gdańskiego falowca, wyrusza w 1975 roku w podróż jego krętymi korytarzami i z zaskoczeniem stwierdza, że zakrzywiając przestrzeń, zakrzywił też czas. Każda z odwiedzanych przez niego klatek, przenosi go do kolejnych wydarzeń z przyszłości. Jak mocną inspiracją był dla pani sam, kultowy już budynek?

– Falowiec sam narzucił formę książki. Powieść jest zbudowana tak jak on: z czterech segmentów po cztery klatki każdy. Ta konstrukcja to był punkt wyjścia do pracy nad książką. Przez chwilę zastanawiałam się, czym wypełnić te puste przestrzenie. Przez głowę przemknęła mi opowieść kryminalna, studium socjologiczne, aż wreszcie wpadłam na właściwy trop. Skoro jestem historykiem, to dlaczego nie mogłabym przy pomocy falowca opowiedzieć czterech dekad najnowszej historii Polski. Klatka po klatce, dekada po dekadzie. Zwłaszcza że jest to też moja historia. Jako gdańszczanki i rówieśniczki tego bloku.

Pamięta pani swoje pierwsze spotkanie z falowcem?

– To było raczej „niespotkanie”. Jako trzyletnia dziewczynka otrzymałam od rodziny niezwykle ważne zadanie. Wystąpiłam jako sierotka losująca nasze nowe, wymarzone mieszkanie na nowym gdańskim osiedlu. W puli były m.in. mieszkania w falowcu. O ile dobrze pamiętam, chwalono mnie później, że nie wyciągnęłam tego losu.

Mieszkanie w falowcu nie było więc szczytem marzeń gdańskich rodzin?

Sporo zieleni, morze na wyciągnięcie ręki...

– Nie, tego nie chciałam powiedzieć. W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych mieszkanie w falowcu dla wielu było właśnie szczytem marzeń. Falowiec był synonimem nowoczesnej architektury. Duże okna i balkony, widne kuchnie, ciekawa bryła – to naprawdę mogło robić wrażenie. Samo zamieszkanie w bloku było wtedy równoznaczne z awansem społecznym, zapewniało odrobinę luksusu w postaci centralnego ogrzewania, gazowej kuchenki, własnej łazienki. Dziś trudno nam już to docenić. Mankamenty falowca wyszły na jaw dopiero podczas jego eksploatacji. Jeszcze chyba w latach siedemdziesiątych pojawiła się tam na przykład plaga włamań – z otwartej galerii bardzo łatwo było złodziejaskom dostać się do mieszkań. Świadectwem zmagania z tą plagą są okratowane do dziś tu i ówdzie okna. W powieści potraktowałam je jako metaforę lat osiemdziesiątych.

Metafor w pani książce nie brakuje...

– Tak, metafora moim zdaniem najlepiej oddaje złożoność i wieloznaczność rzeczywistości. Posługuję się nią więc nie tylko w mojej poezji, ale również w tekstach naukowych, traktując ją jako pełnoprawne narzędzie badawcze. Nic dziwnego, że w mojej powieści aż roi się od metafor. Metaforyczny jest sam tytuł: „Latawiec z betonu”. To coś, co ma wzlecieć, ma być tryumfem ludzkiego ducha, ale materia, z której jest wykonane, ciągnie go w dół, ku ziemi. Metaforyczna jest też wędrówka Inżyniera przez falowiec. Bohater klatka po klatce poznaje przyszłość. Jest to więc poniekąd wędrówka przez życie, tyle że w przyspieszonym tempie – czterdzieści

lat w szesnaście dni. Klatki, w których zamknięci są mieszkańcy falowca, też mają kilka przenośnych znaczeń. Metaforyczne są puste butelki po zachodnich trunkach wyrzucone na brzeg meblościanek i jabłko Ziemi, na którym falowiec obraca się jak lizka. Metaforyczny wymiar mają rośliny rosnące w pokojach Inżyniera i telewizory, które nie bez powodu ustawiam w centrum każdego opisywanego w powieści mieszkania.

Jeden z bohaterów miał ich nawet kilkanaście, w tym kilka zapakowanych jeszcze w pudła i czekających na swój dzień. Tę sytuację jestem sobie w stanie wyobrazić, podobnie jak babinę w chuście sprzedającą jajka i wannę pełną karpi. Ale krowa? Na balkonie?

– Krowa należy do tej samej rzeczywistości, co telewizory i jajka. W spadającym z dziesiątego piętra odbiorniku wciąż rozgrzewają się piłkarze, a gdy telewizor sięga trawnika, kontynuują drybling na przymorskiej trawie. Jajka zaniezione przez babę z roku 1976 do roku 1975 po prostu znikają. Realizm magiczny? A może żelazna konsekwencja, charakterystyczna dla dziecięcego postrzegania świata? Kiedy jako trzylatka zamieszkałam na Przymorzu, tata obwieścił mi, że wprowadził się do nas nowy sąsiad – skrzypek. Działo się to podczas naszego rodzinnego urlopu w górach. Przez cały czas wyobrażałam sobie moment powrotu do domu: otwieramy drzwi mieszkania, a tam w progu stoi wyfraczony pan, kłania się nam nisko i zaczyna grać na skrzypcach. Byłam bardzo zawiedziona, gdy nic takiego nie nastąpiło. W prozie na szczęście wszystko jest możliwe. Skoro do falowca sprowadza się wiejska rodzina z całym dobytkiem i inwentarzem, to dlaczego nie może zaciągnąć tam na postronku również krowy? Moja powieść to powieść surrealistyczna, oniryczna. Krowa jest w niej jak najbardziej na swoim miejscu. A tym miejscem jest balkon falowca.

„Latawiec z betonu” to również opowieść o człowieku, który podróżując w przyszłość musi zmierzyć się z konsekwencjami podjętych w przeszłości decyzji. Dramat inżyniera Miotka, na którego nasz bohater miał regularnie

donosić, utrata rodziny – żony i ukochanych córek, które opuściły Polskę i zaczęły swoje nowe życie na Zachodzie. Tak przecież mogłaby wyglądać historia życia niejednego Polaka.

– Mój bohater to typowy przedstawiciel epoki gierkowskiej propagandy sukcesu. Karierowicz zachwycony swoimi osiągnięciami, cieszący się uznaniem władzy. Dopiero na zaległym, przymusowym niejako urlopie, w bezmiarze wolnego czasu, który początkowo zabija gapieniem się w telewizor i gargantuiczną wprost ilością snu, musi skonfrontować się z własnym życiem. Wysyłam go w przyszłość po to, aby zrozumiał własną przeszłość, własne błędy, zaniedbania, grzechy i grzeszki. Aby to wszystko zobaczyć, musi wyjść ze swojej własnej, bezpiecznej klatki. Rzucam go więc w wir historii, tej wielkiej i tej małej – rodzinnej i towarzyskiej. Wszystko po to, aby z „człowieka bez właściwości” stał się choć trochę... człowiekiem.

I byśmy mogli przeżyć z nim wszystko raz jeszcze! Historyczny, pierwszy przyjazd Papieża do Polski i jego śmierć, kształtowanie się Solidarności i otwarcie pierwszej galerii handlowej na Przymorzu. Spory kawałek historii...

– Dla wielu czytelników to już pewnie przeszłość bardzo zamierzchła, kojarząca się z podręcznikiem szkolnym. Dla mnie to historia mojego życia. Miałam osiem lat, kiedy rodziła się „Solidarność”. Byłam pod Stoczną, widziałam płot, z którego wyrosły kwiaty i wrzuciłam do skarbony pieniądze na strajkujących. Powieściowa dziewczynka, która opowiada historię „Solidarności” to właśnie ja. Potem zabrano mi „Teleranek”, czym się za bardzo nie przejęłam. Pisałam już wtedy kabarety polityczne i wystawiałam je dla znajomych z podziemia, używając dwóch ludzko-podobnych dziecięcych rękawiczek. W wieku dziewięciu lat czułam się prawdziwą opozycjonistką. Ten czas był dla mnie bardzo ważny, pewnie dlatego w mojej powieści klatki stanu wojennego ciągną się tak długo. „Latawiec z betonu” to książka o historii Polski. Ale to oczywiście nie podręcznik. Jednemu z blogerów zabrakło w niej zabójstwa księdza Popiełuszki i kopalni Wujek. Moja powieść pisana jest jednak z określonego punktu widzenia, a tym punktem jest dziesiąte piętro falow-

ca. Widać z niego papieski ołtarz na pobliskiej Zaspie, ale Ślask już niekoniecznie. W biografii tego miejsca ważniejsze jest chyba otwarcie przymorskiej galerii handlowej i budowa nowoczesnych bloków po drugiej stronie ulicy. To też stanowi jakąś cząstkę najnowszej historii Polski.

No właśnie, „Latawiec z betonu” to przecież opowieść o Gdańsku – mieście mocno naznaczonym historią, którą mocno się tu pielęgnuje. Tereny stoczni to dziś jedno z najmodniejszych miejsc w Trójmieście, a rdzawa bryła Europejskiego Centrum Solidarności robi wrażenie na turystach z całego świata.

– W ostatnią niedzielę jechałam tramwajem z parą turystów w dojrzałym wieku. Rozmawiali o dwóch rzeczach, które w szczególny sposób wzbudziły ich zainteresowanie w Gdańsku. Były to właśnie ECS i... falowiec. Pani z przejęciem przywoływała liczbę jego mieszkańców, a była to i tak liczba mocno zaniżona – jedyne 3,5 tys. Falowiec więc to nie tylko miejsce z widokiem na historię, ale dla wielu – atrakcja turystyczna sama w sobie.

Ta, nie tak wcale przecież odległa historia jest dziś przez młodsze pokolenia odkrywana na nowo. Meble z IKEI zamieniamy na odnowione meblościanki, „Wojna domowa” śmieszy do łez... Spory w nas sentyment do czasów naznaczonych przecież trudnościami i szarością.

– Dla młodszych pokoleń jest to najtańsza forma egzotyki. „Matrix”, jak sami mówią. Czas kompletnie niezrozumiały, a jednocześnie – głównie chyba dzięki Barei – pozornie zabawny. PRL służy młodym właśnie do zabawy – do gry w „Kolejkę” lub jako pretekst do wypicia taniej wódki w pseudo-peerelowskich barach, które wystają obecnie jak grzyby po deszczu. Sprawa komplikuje się nieco bardziej w przypadku ludzi starszych. Poprosiłam ostatnio moich studentów o wykonanie krótkiej ankiety skierowanej do osób, które pamiętają tamten czas. Pytanie brzmiało: „Za czym najbardziej tęsknisz, czego ci najbardziej z tego czasu żal?” Odpowiedzi były dość przewidywalne. Ludzie mówili o dawnych smakach, zdrowszej i rzekomo lep-

szej żywności, lepiej zorganizowanej służbie zdrowia, bezpieczeństwie socjalnym. Jedna odpowiedź powracała chyba najczęściej: ludzie tęsknią za dawnymi, niezwykle silnymi więziami społecznymi. To coś, o czym mówiliśmy już w kontekście fa-lowca. Jeden z respondentów wyraził tę myśl dosadnie: „Czego by nie powiedzieć o bagnie, którym był PRL, to w tym bagnie człowiek nie czuł się samotny – brnęli-śmy w nim razem!”.

**Przed Inżynierem otwierały się rzeczywiście wszystkie drzwi – ludzie stawia-
li przed nim wódkę, kawę, ciasto i zasypywali wręcz historiami ze swojego
życia. Po lekturze „Latawca z betonu” aż chce się zapukać do sąsiada...**

– A czemu nie? To wspaniały pomysł. Może pożyczymy sąsiadowi książkę? A on uśmiechnie się do nas po raz pierwszy? To dopiero byłaby magia literatury!



Jelonek, czyli Jelcz 315

| Krakowskie Muzeum Ratownictwa

Jelonek z dekady Gierka: Symbol PRL, który trwa do dziś

Łukasz Pieniążek

Pod koniec lat 60. opracowano ciężarówkę, która stała się jednym z symboli motoryzacji okresu PRL, a czasy jej świetności przypadły na „złotą” dekadę Gierka. I choć w następnych latach konstrukcja mocno odbiegała już od nowoczesności, po dziś dzień jest lubiana i używana w różnych branżach. Opracowany na jego bazie ciężki pojazd gaśniczy jelcz 004 trafił na wyposażenie wielu jednostek straży pożarnej i jest w służbie do dziś.

JELONKA PRODUKOWANO PRAWIE ĆWIERĆ WIEKU CO może budzić podziw szczególnie, że w międzyczasie opracowano szereg jego następców. Nadal jednak miał wielu klientów zarówno cywilnych jak i wojskowych. Wszedł do produkcji w 1968 roku, jako następca modelu żubr a80, a właściwie był jego mocno zmodyfikowaną i udoskonaloną wersją.

Potrzebny był rodzimy pojazd ciężarowy o wysokiej ładowności, który mógłby uzupełnić ofertę produktów ze Starachowic. Co więcej wiele wersji i zabudów specjalnych wymagało odpowiedniej platformy. To co różniło 315 od a80 wizualnie to modernizacja kabina, np. poprzez zamianę zawiasów drzwi z tzw. „kurołapa” do powszechnie stosowanych na przednim słupku, poprawił się też komfort pracy przez zastosowane wyciszenia, oraz nowy typ wentylacji i ogrzewania. Z tyłu pojawiły się dwa dodatkowe miejsca, co było np. ważne do zastosowania w straży pożarnej (4 osoby załogi zamiast 2).

W zależności od modelu były to pojazdy o ładowności 8-12 ton, a wersja 317 czyli po prostu ciągnik siodłowy mogła holować naczepy o ciężarze od 30-36 ton! Jelcz napędzany był 200 konnym silnikiem wysokoprężnym sw680 produkowanym w WSK Mielec na licencji leylanda, ale występowały też mocniejsze wersje turbo. Poza modelem 315 i wspomnianym ciągnikiem 317 w produkcji były też wersje wydłużone czyli 316 i 318, a w latach 80. do produkcji wprowadzono model 325.

Ciężarówki były oczywiście eksportowane do innych krajów, ale swoistą ciekawostką może być współpraca z węgierską firmą Csepel, dostarczającą do jelczy min. przekładnie kierownicze. W zamian, do ciężarówek tego producenta, stosowano nowoczesne i cenione kabiny... jelcza. Jest to znany zabieg i dziś, kiedy nowoczesne kabiny stosuje się na zmodernizowanych starszych podwoziach. Użytkownicy jelczy bardzo je chwalili, w porównaniu np. ze starem była to nieco wyższa półka, a na pewno wagowo.

JAK JELONEK ZOSTAŁ STRĄŻAKIEM

Wraz z wprowadzeniem nowego ciężkiego samochodu pojawiła się szansa na opracowanie rodzimego pojazdu pożarniczego typu GCBA. Zaprojektowaniem

zabudowy zajęły się oczywiście doświadczone w produkcji tego typu pojazdów... Jelczańskie Zakłady Samochodowe, w tym przypadku producent również platformy. Pierwsza seria 004 powstała w 1973 roku, głównie w celu ich przebadania i sprawdzenia przydatności w jednostkach liniowych. Dopiero rok później podjęto produkcję seryjną nowego strażaka. Załogę stanowiło 4 ludzi, a sercem pojazdu był zbiornik aż 6000 litrów i autopompa a32 o wydajności 3200 litrów/minutę.

Na platformie umieszczono działko do podawania środka gaśniczego, a w niektórych wersjach aż dwa, produkcji austriackiego Rosenbauera. W 1979 roku wprowadzono do produkcji zmodernizowaną wersję 004m, w której zastosowano już tylko jedno działko rodzimej produkcji – dwp24. Do 1982 roku produkowano na podwoziu 315, później na 325 aż do 1992 roku. Jeden z nich trafił do zbiorów Muzeum Ratownictwa w Krakowie.

Jak wspomina strażak Przemysław Pryk, obecnie dyrektor tego muzeum, to dobre auto pożarnicze.

– Jelcze bardzo dobrze wspominam zarówno wersję typowo pożarniczą 004, jak i „proszka”. Tym ostatnim bardzo rzadko wyjeżdżaliśmy, głównie do pożarów transformatorów i oczywiście do... zabezpieczenia lądowisk śmigłowców. Przeglądając archiwalne filmy i zdjęcia z lądowisk papieskiej maszyny widać go dokładnie. Charakterystyczny garb czyli zbiornik na proszek – nie sposób pomylić z innym autem. Był na Błoniach, w Solvayu, raz mi się zdarzyło nim pojechać też do Oświęcimia, do zabezpieczenia lądowiska nieopodal obozu Auschwitz. Jeśli chodzi o 004 to super konstrukcja, dobrze wyważona, nie wywracało go. Miał duży 6000 litrowy zbiornik ale trzeba było uważać żeby nie porozlewać za dużo wody, bezpośrednio pod niego. Jego wada to na pewno słaba przyczepność na mokrym i zdecydowanie nie nadawał się w teren.

Ważnym zastosowaniem jelczy do celów pożarnictwa była zabudowa na nich wyspecjalizowanych agregatów, np. proszkowych. Jako pierwszy na podwoziu 315 powstał pojazd zabudowany przez niemiecką firmę total już w 1971 roku – Total PLF 3000. 4 osobowa załoga obsługiwała pojazd wedle potrzeb. Zastosowano centralnie umieszczony zbiornik na proszek 3000 kg, a na dole butle z azotem.

GASZENIE PROSZKIEM

W 1972 roku Total zaprezentował nieco zmodernizowaną wersję „proszka” na bazie 315M, a rok później kolejną wersję. Swoją wizję adaptacji jelonka przedstawił też austriacki Rosenbauer, który w 1974 roku zaprezentował swój modułowy pojazd gaśniczy. Prawdopodobnie powstało tylko 15 sztuk takich pojazdów, oczywiście na polski rynek. Samochód gaśniczy proszkowy na bazie 315m został opracowany również w Katowickich Zakładach Wytwarzania Metalowych w Siemianowicach Śląskich. W 1979 roku powstało tam kilka egzemplarzy w kooperacji z firmą total, która dostarczyła agregaty, a w 1985 roku na bazie 325 powstał całkowicie polski pojazd proszkowy, tym razem w kooperacji z zakładem „Osiny”.

Oprócz gaszenia proszkiem podwozie 315 wykorzystwała norweska firma skuteng do opracowania pojazdu wodno-pianowego, ze zbiornikiem łącznie na 6000 litrów środków gaśniczych. Podobny pojazd w 1973 roku wykonał austriacki Rosenbauer, tylko w jednym egzemplarzu. Warto też wspomnieć o wersji jelonka nazwanej roboczo Ciężki samochód gaśniczy... śniegowy! W 1984 roku Fabryka Rządzeń Okrętowych techmet z Pruszcza Gdańskiego opracowała takiego rodzynka wykorzystującego do gaszenia dwutlenek węgla. Powstało w sumie seria tylko 10 egzemplarzy.

Straż wykorzystywała jelonki także do innych zadań np. kwatermistrzowskich. Pojazdy wspierające tego typu przewoziły np. przy dużych akcjach sprzęt, a wersje samowyładowcze produkowane przez kielecki SHL do transportu piasku przy dużych powodziach. W 1975 roku Fabryka Maszyn Budowlanych „Famaba” w Głowie podjęła na potrzeby straży produkcję specjalnej wersji 10 tonowego dźwigu na podwoziu 315m. Natomiast model 317 wykorzystano do holowania cysterny-naczepy cn18 o/n jako ciężki zestaw do transportu środków gaśniczych. Naczepa mieściła aż 18000 litrów wody lub środka gaśniczego.

Na koniec warto wspomnieć o typowo pożarniczym zastosowaniu jelonka, czyli pożarniczej drabinie o długości 30 metrów. Pojazd taki opracowała wschodnioniemiecka firma IFA VEB w połowie lat 80, ale nie spełnił on wymogów polskich strażaków. Problemem była zbyt słaba konstrukcja i brak możliwości zastosowania kosza ratowniczego przystosowanego do transportu dwóch osób.

MUZEALNE 315

W zbiorach Muzeum Ratownictwa w Krakowie są dwa pojazdy pożarnicze na bazie Jelcza 315. Pierwszy to oczywiście najbardziej popularny 004, wyprodukowany w 1977 roku, a przekazany do zbiorów przez Jastrzębską Spółkę Węglową. Drugi to nazywany „papieskim” tzw. „proszek” od 1972 roku służący krakowskim strażakom. Można go zobaczyć na wystawie pojazdów w krakowskim Hangarze Czyżyny.



Do odnawiania mebli nie potrzebujemy skomplikowanych narzędzi

| Tomasz Kaczor materiały prasowe

Meble z przeszłości mają w sobie coś osobistego

Katarzyna Pawlicka

– By zajmować się renowacją, nie musimy być fachowcami z kilkunastoletnim doświadczeniem. Renowacja amatorska jest dostępna dla wszystkich, którzy mają odrobinę cierpliwości – mówi Kasia Sawko, z wykształcenia lingwistka, autorka książki „Wióry lecą”, która od pięciu lat organizuje warsztaty stolarki, tapicerki i renowacji mebli.

KATARZYNA PAWLICKA, INTERIA: Co stało się, że lingwistka i nauczycielka francuskiego chwyciła za dłuto, papier ścierny i zajęła się renowacją mebli?

KASIA SAWKO: – To był splot okoliczności. W mojej kuchni odbyło się prywatne spotkanie, w którym brała udział moja córka i córki moich przyjaciółek. Dziewczynki są w różnym wieku i zazwyczaj nie potrafią się dogadać, nie było też aktywności, którą lubiłyby wszystkie. Wpadłyśmy jednak na pomysł, by zrobić z nimi mebelki dla lalek. Dostały do ręki piłę, deski i zaczęła się magia. Praca szła im sprawnie, były wkręczone i zadowolone. Wtedy pomyślałam sobie: dlaczego my, dorosłe kobiety, nie spróbujemy podłubać w drewnie?

– Wcześniej nie zajmowałam się ani stolarką ani renowacją. Utworzyłam na Facebooku wydarzenie pod hasłem „Stolarka dla kobiet”, na które, ku mojemu zaskoczeniu, zapisało się 300 użytkowniczek. Tymczasem planowałam zorganizować je w domowej kuchni... Wiedziałam, że zainteresowanie nie jest przypadkowe, bo zajmowałam się projektami pozarządowymi oraz animacyjnymi. Dużo kobiet zaczęło do mnie pisać i poszłam za ciosem.

Bez doświadczenia?

– Przed warsztatami ćwiczyłam to, czego dziewczyny uczyły się następnego dnia. Z perspektywy czasu myślę, że trafiłam w dziesiątkę, bo wiedziałam, co w projekcie sprawia trudność i jakim językiem mówić do debutantów, byłam empatyczna. Starłam się być pośrednikiem pomiędzy bardziej doświadczonymi w pracy z drewnem mężczyznami, a kobietami, które nigdy nie trzymały w ręku dłuta. Tak rozpoczęło się to szaleństwo.

Co na początku sprawiało wam największe trudności?

– Mnie wszystko sprawiało trudności. Jestem dosyć sprawna manualnie, ale miałam opór, głównie psychiczny, przed pracą z narzędziami. Myślałam, że można używać ich wyłącznie w jeden, określony sposób, pod ustalonym kątem i z odpowiednim natężeniem. Im dłużej siedziałam w warsztacie i ćwiczyłam, tym

większej nabierałam chęci i swobody w działaniu. Kombinowałam, jak mówić do dziewczyn, żeby nie zakładały od razu, że stoją przed trudnym zadaniem. Musiałam nauczyć się też precyzji, niezbędnej przy stolarce, ale też bardzo ważnej przy renowacji. Czasem milimetry dzielą nas od sukcesu, a źle przycięta deska psuje cały projekt.

Potrzebna jest też pewnie wyobraźnia przestrzenna, z którą sama mam problem.

– Też miałam z nią problem, ale że wyobraźnię przestrzenną można sobie wyrobić. Poza tym naprawdę warto zaczynać od prostych projektów, w których np. łączymy ze sobą trzy deski. W ten sposób unikniemy frustracji, szybko zobaczymy efekt i stopniowo przeskoczmy bariery mentalne. Kilka lat temu na warsztatach zachwycaliśmy się, kiedy udało nam się zrobić prostą półeczkę z dwoma ogranicznikami. Dzisiaj robimy biurka, szafy, fotele i nikt się specjalnie nie dziwi.

We wstępie podręcznika zaznaczasz, że książka dotyczy renowacji, nie konserwacji mebli. Jaka jest między nimi różnica?

– Konserwacja mebli zabytkowych to proces odnawiania, reperowania i odświeżania mebli, zazwyczaj cennych i „z epoki”, z zachowaniem odpowiednich technik. By zajmować się konserwacją, musimy mieć wiedzę, umiejętności manualne i świetnie wyposażony warsztat. Praca nad jednym meblem trwa zazwyczaj miesiące, a czasem lata. Renowacja, którą się zajmuję, to proces reperowania, odświeżania i poprawiania stanu mebla z założeniem, że jak napotkamy głęboką rysę, raczej nie będziemy wymieniać w fotelu nogi, tylko zamalujemy ją lub ukryjemy pod tapicerką. Nie chodzi oczywiście o bylejąkość, usprawiedliwianie niechlujstwa i pracę po łebkach. Ale by zajmować się renowacją, nie musimy być fachowcami z kilkunastoletnim doświadczeniem. Renowacja amatorska jest dostępna dla wszystkich, którzy mają odrobinę cierpliwości.

Każdy mebel nadaje się do renowacji?

- Nie każdy, zwłaszcza dla amatorów. Niektóre są przegniłe, przeżarte przez korniki, mają zdezelowaną konstrukcję. Wtedy bardziej opłaca się zrobić mebel od nowa niż go odświeżać. Zwłaszcza meble tapicerowane często kryją pod spodem byle co, są zrobione z materiałów gorszej jakości. Kiedy rozsypują się w rękach, nie warto sobie zawracać głowy.

Najbardziej pożądanymi egzemplarzami są fotele, krzesła i stoły z lat 60. i 70. Skąd bierze się ich popularność?

- Na pewno jest to kwestia mody, której ulegamy. Ale nie tylko. Meble z przeszłości, w odróżnieniu od tych produkowanych dzisiaj, naprawdę mają w sobie coś osobistego, a do tego pasują do większości wnętrz. Dodają charakteru, co jest ważne, bo dziś prawie wszyscy mamy takie same lub bardzo podobne mieszkania. Ich forma, projekt, drewno, z którego zostały wykonane nadal cieszą oko. No i są porządnie zrobione, szczególnie na tle produktów z meblarskich sieciówek.

A co z ich następcami? Jest szansa, że do łask wrócą egzemplarze z lat 80. i 90.?

- Dla większości z nas te meble są brzydkie i tandetne. Przede wszystkim dlatego, że pamiętamy je ze swoich pokoiów dziecięcych lub mieszkań i kojarzymy z biedą, transformacją, badziewiem, o którym raczej chcemy zapomnieć. Być może dla naszych dzieci to one będą towarem pożądanym. Trudno powiedzieć.

Większość z nich była robiona z płyty, nie z drewna. Czy to przysparza problemów przy renowacji?

- Na pewno były produkowane na masową skalę i z gorszych materiałów, ale wśród mebli z lat 60. czy 70. też zdarzają się egzemplarze z płyty fornirowanej. I to nie jest przeszkodą w renowacji. Dłubaninka w fornirze wymaga po prostu więcej cierpliwości i trochę większych umiejętności. To jest taki drewniany decoupage, często napotykamy odpryski, albo cały fornir jest do wymiany. Zamiast litego

drewna mamy płytę o grubości 0,6 milimetra, więc trzeba obchodzić się z nią delikatnie, np. podczas szlifowania.

Kilka lat temu moja mama kupiła za grosze kilka popularnych chierków, czyli foteli zaprojektowanych w 1962 roku przez Józefa Chierowskiego [przyp. red.]. Dziś pewnie nie byłoby to takie łatwe, bo panuje moda na vintage. Gdzie szukać starych mebli, by nie zapłacić za nie fortuny?

– Mam takie szczęście, że stale coś znajduję na ulicy, ponieważ jestem bardzo skoncentrowana na poszukiwaniach. Właściwie dotyka mnie klęska urodzaju i powinnam już przestać zbierać (śmiech). Dlatego nie mam ulubionego sklepu czy bazy z meblami. Jeśli szukamy konkretnego modelu, warto zaglądać na aukcje internetowe. Są też portale z meblami vintage, gdzie można znaleźć okazje lub nieco droższe perełki. Ale przede wszystkim trzeba się rozglądać po okolicy, bo wciąż wielu ludzi po prostu wystawia na ulice meble, których chce się pozbyć.

Na twoje warsztaty przychodzą wyłącznie kobiety?

– Pół na pół.

Zauważasz jakąś prawidłowość? Płeć czy wiek mają znaczenie, jeśli idzie o podejście do pracy z meblem?

– Wydawało mi się, że kobiety będą miały manualne przeszkody, że do renowacji potrzeba więcej siły fizycznej. Nic z tych rzeczy. Mężczyźni są bardziej cierpliwi, rzadziej porzucają projekty. Kobiety zmieniają za to zdanie na ostatnim etapie i regał zamienia się nieoczekiwanie w tapicerowaną skrzynię (śmiech).

– Do mojego warsztatu nie trafiają faceci typu macho, którzy uważają, że wszystko wiedzą i potrafią. Sami się odsiewają, słysząc, że zajęcia prowadzą kobiety. Jeśli chodzi o wiek, uwielbiam, kiedy przychodzą starsi kursanci. Mają umiejętności z czasów, gdy trzeba było sobie radzić: coś zreperować, skołować, sklecić z niczego. Nie czekają aż podejść i wyjaśnię, tylko zabierają się do pracy, nie boją się, są kreatywni. To tak widać i czuć!

Na co w pierwszej kolejności zwracasz uwagę kursantom? Mam na myśli żelazne zasady, których przy renowacji trzeba przestrzegać, bo bez nich ani rusz.

– Zaczynamy od warsztatowego BHP, ale to rzecz oczywista, więc nie będę wchodziła się w szczegóły. Należy sobie obfotografować i opisać mebel przed demontażem, bo bez takiej dokumentacji możemy mieć problem z poskładaniem go. Bardzo ważne, żeby nie szaleć ze szlifierką elektryczną, choć wszyscy o tym marzą. Tymczasem w 75 proc. przypadków właśnie szlifierka jest winna porażki, bo zbyt mocne przyszlifowanie krawędzi to proces nieodwracalny. Kolejna sprawa: ludzie spędzają dużo czasu nad tym, żeby mebel pięknie wyglądał, ale pomijają jego konstrukcję, nie sprawdzają, czy jest stabilny, jak wyglądają jego połączenia. Co więcej, często handlują meblami, które się ledwo trzymają, a spojenia zalewają klejem i nabijają gwoździemi.

Przypominają mi się prace mojego dziadka...

– Jeśli to jest mebel, który ląduje na działce i ma pełnić wyłącznie funkcję użytkową, nie ma w tym nic złego. Ale jak chcemy, by sprawdził się też w salonie czy sypialni, nie warto robić mu takiej krzywdy. Często muszę weryfikować oczekiwania warsztatowiczów, którzy przychodzą ze starym meblem i gotowym wyobrażeniem, jak on będzie wyglądał po renowacji. Kiedy okazuje się np., że stół ma trzy warstwy lakierobejcy i nie mamy szans na dokopanie się do bardzo jasnego drewna, muszą przeżyć małe rozczarowanie, wybrać nową bejcę. To też się często zdarza.



Uczestniczka warsztatów
i jej odnowiony własnoręcznie fotel
| Tomasz Kaczor materiały prasowe

Czy, by odnawiać meble, potrzebujemy dużej przestrzeni?

- Jak nie chce mi się jechać do warsztatu, tapiceruję fotele w jadalni, która ma trzy na dwa metry. To nie musi być przestrzeń warsztatowa, szczególnie jeśli nie używamy szlifierki.

Udowadniasz, że do renowacji mebli w ogóle nie potrzebujemy skomplikowanych narzędzi...

- Szlifierka przydaje się do płaskich powierzchni, np. stołowych blatów, nie na etapie oczyszczania czy obróbki, ale wykończenia. Zestaw renowacyjny składa się z podstawowych rzeczy: śrubokrętów, młotka metalowego, cykliny ręcznej, czyli zaostromej blaszki, dzięki której możemy pozbyć się większości powłok, dłutka, ręcznej piły, wiertarko-wkrętarki. To jest przewaga renowacji nad stolarką, w której korzystamy także z elektronarzędzi.

W twoim podręczniku znalazło się kilkanaście przykładów konkretnych, odnowionych mebli i przedmiotów: zaczynając od deski do krojenia i młynka do kawy, przez drzwi, na fotelach czy stole kończąc. Jakim kluczem je doбираłaś?

- Zależało mi, żeby znalazło się kilka drobniejszych rzeczy dla osób, które nieśmiało podchodzą do renowacji. Do deski czy młynka można zabrać się spontanicznie i do tego stosunkowo szybko skończyć pracę. Drzwi, które nie mają finezyjnego kształtu, łączą prostą pracę ze spektakularnym efektem. Zresztą często przychodzą do nas ludzie ze stolarką drzwiową i okienną. Pytają, jak się pozbyć farby olejnej, odświeżyć czy odmalować futrynę. Jeśli zaś chodzi o meble, wybrałam takie, które przeważnie pojawiają się u nas w warsztacie, bo to jest miernik popularności i potrzeb kursantów.

Jakie egzemplarze odnawianie najczęściej?

- Rządzą meble tapicerowane. Agi, hałasy, chierki, ale zdarzają się też dziwne sofki, pufy robione na zamówienie, fotele klubowe czy uszaki, które zazwyczaj wymagają



Warto sprawdzać, jakie meble wyrzucają nasi sąsiedzi. Może jest wśród nich jakaś perełka

| Tomasz Kaczor materiały prasowe

uszcicia pokrowca, a to już wyższa szkoła jazdy. Jeśli zaś chodzi o drewno, dominują niewielkie stoliki, szafki nocne, krzesła typu thonet, elementy podrzeźbiane: drzwiczki, tłoczone nóżki. Bywały też szkatułki, puzderka na biżuterię, lusterka.

Kiedyś niemal w każdym domu można było znaleźć podręczniki do majsterkowania, kierowane przede wszystkim do mężczyzn. Jednak w późnych latach 90. o nich zapomnieliśmy. Zachłysnęliśmy się możliwością szybkiej wymiany na nowe i zniknęły z półek. Co takiego stało się, że moda na prace ręczne powróciła?

– Ludźmi, którzy przychodzą na nasze warsztaty, nie zawsze kieruje chęć zrealizowania konkretnego projektu. Częściej szukają dla siebie aktywności, hobby, chcą spróbować pracy manualnej. Mówią wprost, że są zmęczeni wirtualnymi efektami, takimi jak raport czy tabelka w Excelu. Mają potrzebę pobycia z ludźmi, ale niekoniecznie gadania. Niektórzy od razu brali papier ścierny i przez trzy godziny pracowali w ciszy. W stolarni odpoczywa głowa, a konwenanse znikają błyskawicz-

nie, nie da się utrzymać napompowanej atmosfery. Renowacją można zajmować się samemu, robić to z rodziną lub przyjaciółmi. Do tego za niewielkie pieniądze i z pięknym efektem, atutów jest więc dużo.

Olga Drenda napisała niedawno książkę „Wyroby”, w której przygląda się kreatywności Polaków. Czy w renowacji jest miejsce na wynalazczość oraz inwencję?

– Tak! Bardzo dużo ludzi wprowadza do projektów swoje osobiste, drobne zmiany. Czasem kreatywność bardziej niż po meblu widać w postawie odnawiającego. Niektórzy szybko próbują uzyskać instrukcje i wykonać projekt krok po kroku, inni zaś sami proponują rozwiązania, wyżywają się artystycznie w renowacji. Przepikowanie guzikiem tapicerki, autorskie wykończenie... nawet subtelne zmiany mogą mieć ogromne znaczenie!



Violetta Villas zadebiutowała w 1960 roku w Polskim Radio

| MWMEDIA

Violetta Villas. Prawdziwa historia

Izabela Grelowska

Jedna z największych i najbardziej ekscentrycznych gwiazd polskiej estrady. Obdarzona niesamowitym czterooktawowym głosem, już za życia otoczona legendą, którą w znacznej mierze sama tworzyła. Iza Michalewicz i Jerzy Danilewicz w książce „Villas” przedstawiają blaski, ale też cienie jej kariery: przerażającą samotność, uzależnienie, współpracę z SB i kłopoty psychiczne. W najnowszym wydaniu odkrywają także tajemnicę jej śmierci.

IZABELA GRELOWSKA, STYL.PL: Violetta Villas do tego stopnia budowała swoją legendę, że zmistyfikowała niemal wszystkie informacje o sobie. Jak się pisze biografię takiej osoby?

IZA MICHALEWICZ: – Było to ekscytujące, a zarazem trudne. Musieliśmy zweryfikować ogromną ilość informacji i stopniowo zdzieraliśmy kolejne maski, by przekonać się, że prawdziwa historia Violetty jest o wiele ciekawsza niż ta, którą ona sobie wymyśliła.

Już na początku jej kariery pojawia się paradoks. Cztery oktawy – niesamowity głos, talent, o którym wiadano. A mimo to na festiwalach śpiewa banalne piosenki, nie odnosząc szczególnych sukcesów.

– Violetta, jako wokalistka, nie trafiła na swojego autora tekstów i na swojego kompozytora. Nie spotkała nikogo, kto byłby w stanie wydobyć jej talent, tworząc odpowiednie piosenki, a sama miała raczej kiepski gust. Pochodziła z Lewina Kłodzkiego, małego miasteczka, z prostej rodziny. Ojciec był górnikiem, później milicjantem. Grywał na skrzypcach w kapeli wiejskiej. Matka była bufetową. To byli ludzie o prostych gustach.

– Violetta śpiewała to, co jej się wtedy podobało. Niewiele z jej piosenek przeszło do historii. Zapamiętane zostały „List do matki”, „Oczy czornyje”, „Nie ma miłości bez zazdrości”, „Tylko tobie”, „Mechaniczna lalka” czy „Melancholie”. Słowa do tej ostatniej napisała Agnieszka Osiecka, a muzykę Wojciech Kilar. Ta piosenka, wycharowana przez wybitnych twórców, nadal robi wrażenie, ale takich utworów jest w jej repertuarze jak na lekarstwo.

Po tych nie do końca udanych początkach wyjechała do Stanów. Mówiło się o wielkiej karierze, jaką tam zrobiła, ale z państwa opisu wyłania się raczej smutny obraz.

– Violetta Villas zrobiła w Stanach naprawdę wielką karierę. Dawała koncerty w kasynie w Las Vegas, na ogromnej scenie mieszczącej stuosobowy męski balet, na którą wjeżdżała żółtym jaguarem. Nie ma w Polsce drugiego artysty, który by tego

dokonał. Pokazywała to, co kochali Amerykanie. Wielkie rewie, niekończące się muzyczne spektakle, które goście kasyna oglądali, siedząc przy stolikach i racząc się szampanem – miała dwa takie występy w ciągu wieczora. Do tego wiele godzin prób i przygotowań.

– Kończyła późno w nocy, czasem nad ranem. Kiedy pojawiły się niedobory snu, ratowała się lekami nasennymi. Wiemy o tym z pięknie napisanych listów, które wysyłała do Janusza Ekierta, swojej największej miłości. To przejmujący obraz ludzkiej samotności. Bije z nich rozpacz, wyobcowanie, tęsknota za krajem i za ukochanym. Dopiero co się przecież poznali. Zwierzała mu się ze wszystkiego. Pisała, że jest zmuszana do brania różnych środków, które pozwolą jej wytrzymać na scenie więcej godzin. Janusz Ekiert prosił by temu nie ulegała, ale ona niestety się poddała.

Artyści, którzy pracują w takim tempie, zazwyczaj muszą sięgać po jakiś doping.

– To prawda. Dzisiaj świat się zmienił i pojawiły się różne techniki, dzięki którym mogą sobie radzić z obciążeniem, napięciem i stresem. Są terapeuci, medytacja, joga. Wtedy było inaczej, a ona przyjechała zza żelaznej kurtyny, z małego miasteczka. Dla Violetty nawet Warszawa była wielkim światem. A takiego otoczenia, w jakim się znalazła w Vegas, w Polsce nie znał niemal nikt.

Została tam wyciśnięta jak cytryna?

– Tak, a konsekwencje tego ciągnęły się latami. Również związane z tym, że robiła zagraniczną karierę w czasach PRL-u, kiedy wyjazdy artystów były mocno ograniczone. Sterowała nimi Estrada Polska, w której siedziała ubecja. Za każdym ktoś chodził. Violetta dostała w końcu obsesji. Uważała, że prześladowuje ją SB.

Bo jej pierwsze wyjazdy wiązały się z nawiązaniem współpracy...

– Podpisała zobowiązanie do współpracy z SB i wykiwała ich w takim stylu, w jakim żyła. Zależało jej przede wszystkim na karierze, i chciała mieć paszport wielo-

krotnego przekraczania granicy. Dlatego ta współpraca była warunkiem wyjazdu. Później próbowała to zakłamać na różne sposoby. „Chcieli ze mnie zrobić Matę Hari” – opowiadała w wywiadach. Oczywiście nie nadawała się na żadną Matę Hari. Zwyczajnie nie umiała współpracować z SB. Opowiadała im różne rzeczy, które nie były dla nich interesujące i z czasem z niej zrezygnowali.

Czytając ten rozdział, zastanawiałam się czy była tak naiwna czy tak wyrachowana.

– Była w tym naiwność. Zamęczała SB swoimi sprawami, aż mieli jej po prostu dość. Zależało jej na śpiewaniu, więc chciała wykorzystać SB do swoich celów. Miała pretensje, że nie umożliwiają jej kariery w Polsce. To było bardzo naiwne, więc trudno mówić o wyrachowaniu. Z drugiej strony nie była głupia. Miała intuicję. I choć żyła w swego rodzaju bańce, doskonale wiedziała, czym to pachnie. A kiedy zorientowała się, że to nie przelewki, potrafiła wyprowadzić SB w pole i opowiadać im bzdury.

Ze Stanów wróciła opierzona i pewna siebie, ale jej kariera nie ruszyła z kopyta. Amerykański wizerunek raczej jej zaszkodził?

– Amerykanie stworzyli ją na własne potrzeby, a efekt nie przystawał do ówczesnych gustów polskiej publiczności, a przede wszystkim do gustów krytyków. Dzisiaj to publika decyduje, ile płyt czy książek sprzeda twórca. Wtedy to krytycy stwarzali publiczność. A ci nie znosili Villas, bo uważali, że jest kiczowata i ma fatalny repertuar. Nikt nigdy nie odmawiał jej talentu. Jednak ze swoim fenomenalnym głosem nie odnalazła się na polskiej scenie. Usiłowała wciąż być sobą – taką, jaką stworzyli ją Amerykanie. Z burzą włosów, powiększonymi piersiami, zoperowanym nosem. Nie było w tamtych czasach gwiazdy, która zmieniałaby swoją urodę tak świadomie, jak to robiła Violetta. Tego krytycy też nie cierpieli. W ich gusta trafiała Demarczyk, bo oczekiwano, że sztuka będzie zanurzona w walce z systemem. A Violetta system miała w dupie.

Ale publiczność ją kochała.

– Tak. Blokada szła z góry. Nie było zbyt wielu chętnych do współpracy z Violettką. Również dlatego, że była bardzo trudnym człowiekiem. W ciągu całej kariery sama „strzelała sobie w kolano”. Spóźniała się na koncerty nawet po dwie godziny. Kochają to zaczekają – mówiła. Kilka razy z rzędu potrafiła nie pojawić się na umówione nagrania.

Chyba tylko najbardziej zdeterminowani współpracowali z nią na dłuższą metę?

– Tak. Do tego była perfekcjonistką, nie znosiła partactwa. Miała świetny słuch, była muzycznie niezwykle uzdolniona, choć śpiewała kiczowate piosenki. Gdyby poszła w kierunku operetki, mogłaby mieć dokonania. Ale ona chciała śpiewać dla zwyczajnych ludzi, a nie bywalców oper, i ci ludzie ją kochali.

Z wielu rozmów wynika, że Violetta Villas była nieznosna. Inni, jak córka fryzjera robiącego dla artystki treski, wspominają ją bardzo ciepło, jako osobę swojską, otwartą, bezpośrednią.

– Taka była w kontaktach ze zwykłymi ludźmi, kiedy nie wyczuwała, że ktoś chce wykorzystać ją i jej talent. Jeśli widziała, że ktoś ją kocha bezinteresownie i daje jej swoje towarzystwo, nie oczekując niczego w zamian, potrafiła być wspaniałomyślna. W stosunku do całego środowiska muzycznego była niesłychanie nieufna.

Jej obawy, że zostanie wykorzystana nie były zupełnie bezpodstawne. Wi- dać to na przykładzie małżeństwa z Tedem Kowalczykiem.

– Kowalczyk chciał, żeby śpiewała w jego restauracji i przyciągała tłumy gości, którzy zostawiliby miliony dolarów. Ale jej rozczarowania osobiste też miały swoje przyczyny. Miała złamane serce po tym jak Janusz Ekiert ożenił się z inną, bo z nią po prostu nie wytrzymał. Był w niej ogromnie zakochany. Na początku zachwycała go uroda i pewna dwoistość natury Violetty, ale później go to przerosło. Mówiła mu: „Weź sobie śledzie z lodówki”, a sama szykowała się pięć godzin, podczas

gdy on czekał. Nie każdy mężczyzna to wytrzyma. Z artystami wielkiego kalibru, obdarzonymi geniuszem, bardzo trudno jest stworzyć dom. A ona była obdarzona geniuszem.

Ceną jest samotność.

– To samotność, jakiej często doświadczają ludzie popularni. Po koncercie rozdają setki autografów, a potem wracają do domu, emocje opadają i zostają sami z własnymi myślami. Dobrze, jeśli mają rodzinę, albo kogoś ukochanego, do kogo zawsze wracają, ale Violetta nie poradziła sobie w sprawach osobistych. Na początku kariery zostawiła syna swoim rodzicom i wyjechała do Szczecina. Chciała śpiewać i to było najważniejsze. Później okazało się, że warto jest kogoś kochać. W tej sferze jej się nie powiodło i od lat 80. najbliższą osobą, która była na każde jej skinienie, stała się Elżbieta Budzyńska. Ona tę Budzyńską kochała jak córkę, i nienawidziła. Potrzebowała jej i wyganiała ją. Gdyby stworzyła rodzinę lub związek oparty na partnerstwie, byłoby zupełnie inaczej.

W jaki sposób Budzyńska pojawiła się w jej życiu?

– W latach 80. Witold Filler stworzył dla Violetty serię spektakli w teatrze Syrena. To był sukces i po przedstawieniach na artystkę czekały tłumy fanów. Wśród nich Elżbieta Budzyńska. Violetcie w tym czasie trochę uderzyła woda sodowa go głowy, zaczęła ustawiać cały teatr pod siebie. Uważała się za jedyną i niepowtarzalną, a wszyscy mieli jej służyć. Jeśli ktoś się na to nie godził, traciła nim zainteresowanie i zaczynała być niemiła. A Elżbieta Budzyńska jej służyła. Była na każde skinienie. Powiedziała Violetcie, że jest bezdomna i artystka ją przygarnęła.

Sporo jest opinii, że Elżbieta Budzyńska „zawładnęła” Violettą Villas.

Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, że ktoś był w stanie mieć wpływ na artystkę o tak silnej osobowości.

– Elżbieta Budzyńska ją po prostu kochała i jeśli ktoś był „ubezwłasnowolniony” w tym układzie, to właśnie ona. Była jak służąca od wszystkiego. Dzisiaj taką rolę

często pełni menedżer wielkiej gwiazdy, tyle że Elka się na menedżera zupełnie nie nadawała, bo była prostą kobietą, do tego alkoholiczką.

Wydaje się, że momentem, który mógł coś zmienić, był krótki pobyt Villas w szpitalu psychiatrycznym. Gdyby wtedy udzielono jej jakiejś sensownej pomocy, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej.

– Trafiła tam w bardzo ciężkim stanie i wyszła ze szpitala na własne życzenie, jak trochę doszła do siebie. To Violetta była osobą, która w życiu rozdawała karty. Nikt nie mógł jej niczego narzucić, nie pozwalała na to. Taką miała osobowość.

To wydanie książki poszerzyli państwo o dodatkowe rozdziały. Co w nich znajdziemy?

– Violetta Villas zmarła w 2011 roku, niedługo po ukazaniu się książki. Jej śmierć bardzo nas poruszyła. Doniesienia medialne były wstrząsające. Pisano, że miała połamane żebra, siniaki i była skrajnie zaniedbana. Wynikało z tego, że została zamordowana przez swoją opiekunkę. Syn również wystosował dość poważne oskarżenia. Napisaliśmy dwa dodatkowe rozdziały o tym, co tak naprawdę wydarzyło się w jej domu. Okazało się, że prawda jest bardziej prozaiczna, czym sami byliśmy po prostu zdumieni.



Wanda Rutkiewicz zmarła 13 maja 1992 na stokach Kanczendzongi w Himalajach

| ASSOCIATED PRESS East News

Wanda Rutkiewicz: Pierwsza Polka na szczycie K2

Darek Jaroń

To był jeden z najbardziej spektakularnych wyczynów w dziejach polskiego himalaizmu. 23 czerwca 1986 roku Wanda Rutkiewicz stanęła na wierzchołku K2. Sztuki tej nie dokonała przed nią żadna kobieta, ani żaden wspinacz z Polski.

CHOCIAŻ K2 (8611 m) jest drugim najwyższym szczytem świata, wznosząca się na granicy pakistańsko-chińskiej góra pod względem trudności zdecydowanie przewyższa Mount Everest (8848 m).

HISTORYCZNY SUKCES I WIELKIE KONTROWERSJE

Nic dziwnego, że od przeszło wieku kolejne pokolenia himalaistów próbują się z nim zmierzyć, licząc, mimo fatalnych statystyk śmiertelności (według niektórych podań ginie jeden na czterech śmiałków atakujących szczyt), na przychylność góry i lokalnych bóstw.

Pierwsi na K2 weszli Włosi. 31 lipca 1954 roku na wierzchołku zameldowali się Achille Compagnoni i Lino Lacedelli. Był to czwarty – po Annapurnie (8091 m), Mount Evereście i Nanga Parbat (8126 m) – ośmiotysięcznik zdobyty przez człowieka.

Sukces okupiono tragedią (w trakcie wyprawy na obrzęk płuc zmarł Mario Puchoz) i oskarżeniami pod adresem zdobywców szczytu o nieetyczne zachowanie i zostawienie na pastwę losu na wysokości 7900 metrów dwójki kolegów Waltera Bonattiego i Amira Mahdiego.

„WIEM, ŻE POLACY MOGĄ ROBIĆ WIELKIE RZECZY”

Historia marzeń o podboju K2 w wykonaniu polskich wspinaczy sięga połowy lat 30. ubiegłego stulecia.

„Namawiam na K2: góra olbrzymia, obronna, więc tym większa chwała dla narodu, który na niej walczy. Nawet po osiągnięciu wierzchołka Everestu będzie pierwsze wejście na K2 zaliczone do wielkich czynów... Namawiam z całym rozmysłem. Wiem, że Polacy mogą robić wielkie rzeczy — tylko musi przed nimi stać wielki cel” – przekonywał kolegów taterników Adam Karpiński, uznawany słusznie za ojca polskiego himalaizmu.

Ruszyła machina dyplomatyczna, ale ostatecznie „Akar” i jego koledzy nie dostali zgody na szturmowanie najwyższej góry Karakorum. Przed II wojną światową udało się jednak zorganizować pierwszą polską wyprawę himalajską. 2 lipca 1939 roku na szczycie Nanda Devi East (7434 m) stanęli Jakub Bujak i Janusz Klarner.

POLSKIE WYPRAWY NA DRUGI SZCZYT ŚWIATA

Po drugiej wojnie światowej Polacy długo torowali sobie drogę powrotną w najwyższe góry świata.

W końcu dotarli i pod K2. W 1976 roku w Karakorum przyjechała ekspedycja kierowana przez Janusza Kurczaba. Eugeniusz Chrobak i Wojciech Wróż wycłali się 200 metrów poniżej wierzchołka. W kolejnych latach ze słynną piramidą mierzyła się m.in. kolejna wyprawa Janusza Kurczaba, a także zespół kobiety prowadzony przez Wandę Rutkiewicz (w trakcie jej trwania zmarła Halina Krüger-Syrokomka).

W końcu nadszedł rok 1986. I sezon wielkiego sukcesu, ale też gigantycznej tragedii polskiego himalaizmu.

WANDA RUTKIEWICZ NA WIERZCHOŁKU K2

Tym razem w Karakorum Wanda Rutkiewicz przyjechała w towarzystwie Francuzów: Maurice'a i Liliany Barrardów oraz Michela Parmentiera.

Ostatni nocleg spędzili na wysokości 8300 metrów w niewygodnym, ciasnym namiocie. Chociaż Polka do ataku ruszyła ostatnia, na szczycie stanęła pierwsza. Był poniedziałek, 23 czerwca 1986 roku, godzina 10.15 lokalnego czasu.

Tak opisywała ten moment na łamach „Taternika” (nr 2/1986):

„Pogoda była piękna choć trochę wietrzna. Zeszłam do skałek po stronie północnej, zostawiłam na nich przyciśnięty kamieniem plastikowy woreczek, a w nim polski proporczyk i kartkę z moim imieniem i nazwiskiem, datą i godziną. Nie podarowałam sobie u góry słów „first women's ascent”. Pozbierałam prawie kilogram drobnych kamyków i pełna wzruszenia przeżywałam swoją obecność na szczycie”.

Wanda Rutkiewicz została tym samym pierwszą kobietą i pierwszym Polakiem na K2.

Niedługo później na szczyt weszła francuska para. Nigdy nie wrócili do bazy. Zwłoki Liliany odnaleziono miesiąc później u stóp południowej ściany. Na ciało Maurice'a natrafiono dopiero w 1998 roku.

Z relacji Wandy Rutkiewicz: „Jak zginęli — nie dowiemy się nigdy. W pamięci pozostanie mi obraz Liliany z ubiegłego roku, jak podbiega do mnie na powitanie — z wyciągniętymi rękami, pełna serdeczności i ufności, że się zaprzyjaźnimy”.

WYCZYNY POLAKÓW W CIENIU TRAGEDII

Pamiętnego lata 1986 roku na K2 działało więcej polskich wspinaczy.

Nie tylko Wanda Rutkiewicz zapisała się wówczas złotymi zgłoskami w historii światowego himalaizmu. Wojciech Wróż i Przemysław Piasecki oraz Jerzy Kukuczka i Tadeusz Piotrowski wytyczyli dwie nowe drogi na szczyt.

O radości z sukcesów nie było mowy. Podczas schodzenia ze szczytu doszło do dwóch wypadków śmiertelnych. Tadeusz Piotrowski zginął 10 lipca, a Wojciech Wróż 4 sierpnia. 10 sierpnia zmarła z wyczerpania „Mrówka”, czyli Dobrosława Miodowicz-Wolf.

To była trzynasta ofiara tego lata na K2.

Wanda Rutkiewicz po powrocie do kraju pracowała nad materiałem filmowym z wyprawy. „Widzę Lilianę, Dobrosławę, Wojtkę, Tadeusza Piotrowskiego, którzy zostali tam, w śniegach K2, a u mnie na stole montażowym ciągle żyją. Przeżywam ich odejście za każdym pojawieniem się na ekranie od nowa. I dlatego nie umiem się cieszyć z faktu, że byłam na szczycie” – pisała w „Taterniku”.

PIERWSZE POLSKIE WEJŚCIE NA „DACH ŚWIATA”

Najśłynniejsza z polskich himalaistek zdobyła osiem z czternastu ośmiotysięczników.

Od 1975 do 1991 roku stanęła na wierzchołku Gaszerbruma II (8035 m), Mount Everestu, Nanga Parbat, K2, Sziszapangmy (8013 m), Gaszerbruma I (8068 m), Czo Oju (8188 m) i Annapurny (8091 m).

Do historii przeszły jej wejścia na K2 i Mount Everest. Na najwyższym szczycie globu zameldowała się 16 października 1978 roku. Było to pierwsze polskie wejście na „dach świata”, trzecie żeńskie w ogóle, a pierwsze – dla kobiety pochodzącej z Europy. Pod tą samą datą historycy zapiszą wybór Karola Wojtyły na papieża.

„Dobry Bóg tak chciał, abyśmy tego samego dnia zaszli tak wysoko” – mówił Jan Paweł II podczas późniejszego spotkania z Wandą Rutkiewicz.

NA ZAWSZE ZOSTAŁA W HIMALAJACH

Wanda Rutkiewicz po raz ostatni była widziana 12 maja 1992 roku. Kierującą się w stronę wierzchołka Kanczendzongi (8586 m) himalaistkę minął zmierzający w przeciwnym kierunku Meksykanin Carlos Carsolio. Jej ciała nigdy nie odnaleziono, nie ustalono również oficjalnej przyczyny śmierci.

Cztery lata później warszawski sąd oficjalnie uznał ją za zmarłą. Za datę śmierci przyjęto umownie 13 maja 1992 roku.

Pewne pozostaje za to jedno. Po upływie 33 lat od historycznego wyczynu Wandy Rutkiewicz K2 wciąż rozpala serca i umysły topowych himalaistów świata, a zimowe próby zdobycia góry dawno stały się czymś więcej niż tylko nierówną walką człowieka z naturą.



Igor przez całe dzieciństwo pozostawał pod stałą kontrolą lekarzy

| You Tube

Igor – dziecko Czarnobyla?

Aleksandra Bujas

Pamiętasz mrożące krew w żyłach historie
o zdeformowanych dzieciach z Czarnobyla?
Prawdopodobnie większość z nich można włożyć między
bajki, ale nie da się zaprzeczyć, że wśród legend kryją się
też prawdziwe dramaty, a reaktor nr 4 rzucił cień
na życiorysy tysięcy ludzi.

COŚ SIĘ STAŁO W ZSRR

Igor Pavlovets, urodzony na terenie dzisiejszej Białorusi niespełna rok po katastrofie w Czarnobylu, pierwsze lata życia spędził w instytucjach opiekuńczych. Matka chłopca, przerażona jego stanem, miała tuż po porodzie zostawić go w szpitalu. Malec przyszedł na świat mając tylko jedną rękę, nienaturalnie skrócone nogi oraz zniekształcone stopy. Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy przyczyn inwalidztwa Igora należy upatrywać w mutagennym działaniu promieniowania radioaktywnego, podobne deformacje występują bowiem m.in. u ofiar talidomidu – okrytego ponurą sławą środka przeciwwymiotnego stosowanego przed laty przez kobiety w ciąży. W omawianym przypadku talidomid jako potencjalny powód można jednak wykluczyć, gdyż został wycofany ze sprzedaży na początku lat 60.

Według literatury przedmiotu, przyczyną tego typu wad wrodzonych, obok czynników genetycznych, bywają teratogeny, zewnętrzne czynniki patologiczne, które wywierają ujemny wpływ na rozwój płodu w pierwszych tygodniach życia wewnątrzmacicznego. Oprócz promieniowania jonizującego wymienia się zaburzenia metaboliczne, infekcje, substancje chemiczne i różnego rodzaju farmaceutyki stosowane przez ciężarne. Co przydarzyło się Elenie Pavlovets, gdy spodziewała się pierwszego dziecka? Nie wiadomo.

W filmie dokumentalnym „Igor – the Child of Chernobyl” wspomniano o milionie ukraińskich i białoruskich dzieci dotkniętych deformacjami, będącymi, jak sugerują twórcy, efektem wystawienia na oddziaływanie radiacji. Innego zdania był znany polski radiolog, wieloletni pracownik CLOR, ekspert polskiej Komisji Rządowej ds. Oceny Promieniowania Jądrowego i Działań Profilaktycznych, profesor Zbigniew Jaworowski. Jak przyznał w rozmowie z Polityką:

– (...) Na tzw. terenach skażonych nie odnotowano żadnego wzrostu liczby urodzin dzieci z ciężkimi wadami rozwojowymi. Natomiast w każdej populacji, od Warszawy po Hawaje, występuje ok. 3 proc. tego typu przypadków. Wystarczy więc pojechać z kamerą, sfilmować dziecko, które np. przyszło na świat bez rąk, i dodać komentarz, że jest to ofiara Czarnobyla. Dziennikarze wielokrotnie postępowali w ten sposób.

A jednak kategoryczne osądy profesora, mimo nieugiętego rozsądku emanującego z jego słów i raportu Komitetu Naukowego ONZ ds. Skutków Promieniowania Atomowego (UNSCEAR) z 2000 r., na który się powoływał, są dla niektórych nie do przyjęcia. Media konsekwentnie nazywały Igora „dzieckiem Czarnobyla” i „żywym dowodem czarnobylskiej tragedii”. Nawiasem mówiąc, nie brak osób, które przysięgają, że 26 kwietnia 1986 roku widziały opad radioaktywny, fioletowe niebo czy inne anomalie, mimo że, jak wiadomo, promieniowania zobaczyć się nie da.



Igor Pavlovets w dzieciństwie

| [You Tube](#)

Faktem jest, że w gąszczu wzajemnie wykluczających się danych trudno dotrzeć do informacji o prawdziwych rozmiarach skutków awarii. Zdaniem wielu, władze ZSRR latami ukrywały bądź wręcz ośmieszały informacje o następstwach katastrofy, nie mówiąc już 48-godzinnym zwlekaniu z przekazaniem jakiegokolwiek oficjalnego komunikatu o wydarzeniu. Nie wiadomo, jak długa byłaby to zwłoka, gdyby szwedzka elektrownia Forsmark nie zaczęła bić na alarm 28 kwietnia, po wykryciu podwyższonego poziomu promieniowania. Szybko zauważono, że źródło problemu

leży tysiąc kilometrów dalej – analizy wykazały w radioaktywnych cząsteczkach składniki typowe dla radzieckich elektrowni. W ciągu minionych dni wiały południowo-wschodnie wiatry, co tylko potwierdziło ten trop interpretacyjny. Coś się stało w ZSRR. Tamtejsze władze zdobyły się na lapidarny komunikat. „Doszło do awarii elektrowni atomowej w Czarnobylu. Uszkodzony został jeden z reaktorów. Przedsięwzięto środki w celu usunięcia następstw awarii. Poszkodowanym udziela się pomocy” – podała agencja prasowa TASS.

NOWE ŻYCIE

Igor, odkąd zaczął zdawać sobie sprawę z własnej inności, marzył o tym, by mieć dwie ręce i nogi, takie same jak u rówieśników. Marzył też o rodzinie. Tymczasem perspektywy, które rysowały się przed nim nie napawały optymizmem. Dzieci takie jak on trafiały do zakładów zamkniętych, bo nie pasowały do wizji zdrowego, socjalistycznego społeczeństwa.

Do tego rodzaju przybytku prawdopodobnie trafiłby Igor, gdyby pewien życzliwy mu lekarz nie poświadczył nieprawdy wpisując do dokumentów jego sfałszowaną datę urodzenia. Chłopiec przebywał m.in. w mińskim szpitalu oraz w sierocińcu, w którym wszystkie dzieci poza nim były upośledzone umysłowo. W końcu jednak los się do niego uśmiechnął. Stało się to za sprawą przypadkowego spotkania z Victorem Mizzi, przewodniczącym organizacji charytatywnej Chernobyl Children's Lifeline, do dziś wspierającej dzieci z Ukrainy i Białorusi oraz ich rodziny. Otwarty, uroczy kilkulatek całkowicie zawojował serce społecznika.

Stowarzyszenie, któremu przewodził Mizzi, na przestrzeni przeszło 30 lat pomogło m.in. zorganizować kilkutygodniowe turnusy wypoczynkowe w Wielkiej Brytanii dla 56 000 dzieci. Wysłało tam też Igora, ale jego pobyt związany z dopasowaniem protezy ręki i rehabilitacją siłą rzeczy miał być dłuższy niż zwykłe wakacje. I tak dzięki staraniom Victora Mizzi, w 1994 roku, tuż przed siódmymi urodzinami chłopczyk przybył do Londynu, gdzie tymczasową pieczę nad nim przejęło małżeństwo Bennettów – Barbara i Roy. Daleka wyprawa nie doszłaby do skutku gdyby nie ofiarność czytelników magazynu Daily Express. Gazeta opublikowała artykuł o Igo-

rze zilustrowany jego fotografią – historia małego Białorusina tak poruszyła ludzi, że w już pierwszym tygodniu po ukazaniu się materiału przekazali na jego rzecz 15 000 funtów. A 25 lat temu była to naprawdę niebagatelna kwota.

Bystry malec błyskawicznie opanował język angielski. Przed przyjazdem do Anglii nie rozpoczął jeszcze formalnej edukacji, więc to właśnie tam po raz pierwszy przekroczył próg szkoły. Od początku był bardzo zaangażowany i uwielbiał się uczyć. W razie potrzeby korzystał ze wsparcia asystentki, która nie tylko wyjaśniała mu kwestie językowe, ale i służyła pomocą np. na stołówce, gdzie brała go na rękę i unosiła nad kontuar, by mógł bez przeszkód złożyć zamówienie.

Igor z powodzeniem brał udział nawet w zajęciach sportowych, wielką przyjemność sprawiało mu bycie w zespole i robienie tego wszystkiego, co inni. Mimo swojej sytuacji był w dobrej kondycji fizycznej – bieganie czy kozłowanie piłki nie stanowiło dla niego problemu. Podczas lekcji wychowania fizycznego niejedno-



Igor podczas zabawy z adopcyjną mamą

| [You Tube](#)

krotnie wybierano go na kapitana drużyny. Miał też kilka szkolnych sympatii. Słowem, klasa go zaakceptowała.

Chłopak wspomina, że w dzieciństwie kilkakrotnie był ofiarą prześladowań ze strony rówieśników, ale wszystko ustawało, gdy tylko jego oprawcy mieli okazję poznać go bliżej.

Elementem jego codzienności była też żmudna rehabilitacja. Cierpliwie znosił zabiegi jakim go poddawano; oprócz dopasowania sztucznej kończyny wykonano też specjalne buty, które miały wydłużyć jego nogi i pomóc prawidłowo stawiać stopy. Opanowanie sztuki chodzenia w nich nie należało do najłatwiejszych. Igor trenował wytrwale, trzymając się barierek przemierzał kilometry chodząc tam i z powrotem po specjalnie zaaranżowanej szpitalnej sali ćwiczeń. Po pokonaniu męczącego dystansu padał w objęcia dumnej Barbary.

Jednak z czasem okazało się, że te sprzęty nie zafunkcjonowały i Igor lepiej radził sobie bez nich. Oczywiście, dzisiejszych protez kończyn (zwłaszcza najnowocześniejszych modeli poruszanych bodźcami z mózgu) nie da się porównać z tymi sprzed ćwierćwiecza. Proteza, którą Igor otrzymał jako siedmiolatek dziś wydaje się dość upiorną konstrukcją, w dodatku, nomen omen, wyjątkowo nieporęczną. Chłopczyk musiał używać swojej ręki, by zmieniać ustawienie nadgarstka tej sztucznej.

– Jestem wdzięczny za okazaną pomoc, ale w moim przypadku opcja z protezą nie zdała egzaminu, czułem się z tym dziwnie. Żyję szczęśliwie nawet mając jedną rękę – mówi 32-letni dziś Igor.

Jak się okazało, wrodzona niepełnosprawność praktycznie w niczym go nie ograniczyła. Nauczył się pełnej samoobsługi, pływania, a nawet prowadzenia samochodu. Ten wielki fan motoryzacji nie mógłby się jednak obyć bez prawa jazdy. Aktualnie porusza się pojazdem z pedałami przystosowanymi tak, by mógł dosięgnąć ich stopami. Jako nastolatek żartował, że pewnego dnia wypełni swoje auto dziewczętami:

– Trzy będą siedziały z tyłu, a jedna z przodu, ze mną!

Choć przyjazd do Wielkiej Brytanii był dla chłopca jak wyciągnięcie szczęśliwego losu na wielkiej loterii życia, przez chwilę nad jego głową zebrały się czarne chmury, a jego przyszłość stała się bardzo niepewna. Mimo że Barbara i Roy bardzo chcieli go adoptować, napotkali trudności natury formalnej – wiek dyskwalifikował ich jako rodziców adopcyjnych siedmiolatka: małżonkowie przekroczyli bowiem pięćdziesiątkę. Ponadto, lekarze obawiali się, że zdeformowane ciało chłopca w kolejnych latach będzie nadal wzrastać bardzo nieharmonijnie, co z czasem uniemożliwi mu samodzielne poruszanie się i skaze go na wózek inwalidzki. Zdaniem Barbary, byłaby to tragedia dla tak aktywnego dziecka jak Igor.

IGOR NIE PŁAKAŁ

Na szczęście to jasne scenariusze doczekały się realizacji – Igor po dziś dzień zachował sprawność i jest praktycznie w pełni samodzielny, a małżeństwu Bennetów ostatecznie udało się go przysposobić, tym samym spełniło się jego wielkie marzenie o posiadaniu kochającej rodziny. Doskonale odnalazł się w angielskiej rzeczywistości i pokochał nowy kraj. Chociaż cieszył się na pierwsze wakacje z przybranymi rodzicami (cała trójka wybrała się wtedy do Hiszpanii), pobyt na lotnisku nieco go zestresował – to miejsce kojarzyło mu się jednoznacznie z powrotem na Białoruś.

Okazało się, że każdy powrót do słowiańskich korzeni i wspomnień sprawia chłopcu ból – nie chciał już mówić po rosyjsku, dlatego wizyta dawnych opiekunek, pielęgniarki Lily i lekarki Tamary, choć wyczekiwana, obok pozytywnych emocji przysporzyła kilkulatkowi też frustracji i łez. Starsza z kobiet, posługująca się wyłącznie tym językiem, nie chciała, by były podopieczny zapomniał o ojczystej mowie. Kolejny poświęcony mu film dokumentalny, „Igor, The Boy Who Dared to Dream”, pokazuje, jak ważne, ale i niełatwe było to spotkanie.

Ponadto, jak wspominała Barbara, na pewnym etapie jej przybrany syn sygnalizował nawet chęć zmiany imienia na „Michael”, tak jakby imię, które nosił symbolizowało wszystko to, co trudne w jego życiu oraz to, co pozostawił za sobą. Ostatecznie jednak Igor pozostał Igorem.

Chłopak wyznał po latach, że pytany o to, jak to jest mieszkać w sierocińcu zwykł odpowiadać, że nie pamięta. W rzeczywistości jednak nie chciał wracać do raniących wspomnień. Mimo że miał szczęście do zaangażowanych i empatycznych opiekunów, świadomość bycia porzuconym musiała być bowiem wyjątkowo bolesna i trudna do zniesienia. Czy rodzice nowo narodzonego Igora nie byli w stanie zaakceptować jego inności? To najprostsze, wręcz nasuwające się wyjaśnienie, ale czy aby na pewno prawdziwe? Pytania tego rodzaju nie dawały spokoju Victorowi Mizzi, który zapragnął uporządkować także te kwestie i dopiął swego.

Mężczyzna odkrył, że Elena i Andriej Pavlovets nie porzucili syna, a zostali zmuszeni do rozłąki z nim. Jak podaje serwis Thefreelibrary.com, pierwsze chwile po porodzie rzeczywiście były traumą dla młodej matki:

– Jego narodziny były tragedią. Czegoś takiego nie życzysz nawet najgorszemu wrogowi. Wszystkie dzieci płaczą po narodzinach, ale nie on. Igor był inny.

Rodzice malca byli w szoku, ale nawet nie myśleli o tym, żeby go gdziekolwiek oddać. Zespół lekarzy bombardował ich pytaniami o styl życia, nałogi, używki... Państwo Pavlovets na każde odpowiadali „Nie”; według ich wiedzy nie zrobili niczego, absolutnie niczego, co można by powiązać ze stanem Igora, poza przebywaniem w bliskości strefy skażonej. Małżeństwo jest zdania, że władze chcąc ukryć przed światem wszelkie dowody feralnych skutków czarnobylskiej katastrofy wydawały medykom jednoznaczne instrukcje, jak postępować w sytuacjach takich jak ta. Lekarze orzekli, że chłopiec nie przeżyje i odebrali go zrozpaczonemu rodzicom. Ci, przez lata nie doczekawszy się żadnych informacji na jego temat, założyli, że stało się tak, jak wieszczył medyczny personel – ich syn prawdopodobnie zmarł niedługo po porodzie. Byli wstrząśnięci, gdy na początku lat 90. natrafili na jego zdjęcie w gazecie. Od tamtej pory nie było dnia, by o nim nie myśleli.

Organizacja Victora Mizzi dołożyła wszelkich starań, by rodzina rozdzielona przed laty mogła się wreszcie spotkać, a Igor mógł otrzymać odpowiedzi na swoje pytania. Barbara przyznała, że gdy usłyszała, że biologiczni rodzice chcą skontaktować się z nastoletnim już wtedy chłopakiem, zaniepokoiła się, że być może ze- chcą go odzyskać. Obawy angielskiej mamy były jednak niepotrzebne:

– Wiem, że Elena i Andriej są moimi rodzicami, ale to wszystko jest tak trudne i dziwne. Dla mnie są jak normalni ludzie. Mamą i tatą są dla mnie Barbara i Roy – mówi Igor.

Rodzice, babcia i przyrodnie rodzeństwo nie kryli radości, że długo oczekiwane spotkanie doszło do skutku. Nie zabrakło wzruszeń. Cieszyli się, że chłopcu powiodło się w życiu. Nie chcieli burzyć zastanego porządku, zresztą sam Igor, obywatel brytyjski mówiący idealną angielszczyzną bez śladu wschodniego akcentu „swoją mamusią” nazywa tylko Barbarę. Ona też nie wyobrażała sobie życia bez niego. Ten dorosły dziś mężczyzna nadal utrzymuje bliski kontakt z rodziną z Białorusi, ale przyznaje, że pod wieloma względami miał niewiarygodne szczęście, że los związał go z Bennettami i Wielką Brytanią. Jakie perspektywy rysowałyby się przed nim, gdyby został w rodzinnym kraju? Odebrany rodzicom po krótkim pobycie w sierocińcu koniec końców najpewniej trafiłby do zamkniętego zakładu dla dorosłych.

KOCHAM CIĘ NAJBARDZIEJ NA ŚWIECIE

Stwierdzenie, że chłopak starał się żyć normalnie mogłoby być dlań nieco krzywdzące – on w istocie żył normalnie, nawet jeśli niekiedy otoczenie powodowane troską niechcący piętrzyło stojące przed nim trudności, on sam wydawał się ich nie dostrzegać. Wierzył, że uda mu się skończyć college, pracować, założyć własną rodzinę i tak właśnie się stało.

Zanim jednak poznał „tę właściwą” kilka obiecujących relacji z dziewczętami rozpadło się, gdy jego wybranki przedstawiły go rodzicom. Ale z Alice, młodą pielęgniarką dziecięcą było zupełnie inaczej. Parę najpierw połączyła przyjaźń, która z czasem przero-



Igor Pavlovets z rodziną

| Facebook

działa się w coś więcej. Po kilku latach zdecydowali się na ślub, a na świat przyszły dzieci – Mia i Leo.

Czy małżonkowie obawiali się, że maluchy mogą odziedziczyć niepełnosprawność po ojcu? Igor mówi, że byli spokojni, bo zdaniem lekarzy winę za jego stan ponoszą najpewniej czynniki pozagenetyczne. Badania prenatalne pokazywały, że z dziećmi wszystko jest w porządku. Alice jest przekonana, że nawet, gdyby USG wykazało co innego i tak nigdy nie zdecydowałaby się na przerwanie ciąży:

– To by oznaczało, że nie akceptuję Igora – mówi w rozmowie z serwisem Express.co.uk.

Małżonkowie mieszkają teraz w niewielkim, schludnym domku z ogródkiem w Londynie, gdzie prowadzą też własną firmę wnętrzarską. Twierdzą, że nigdy się nie kłócą i stanowią absolutnie zgrany zespół. Alice nazywa męża miłością swojego życia. Wspomina, że nigdy nie miała problemu z zaakceptowaniem go:

- Ma kawał osobowości. I zawsze, zawsze potrafił rozbawić mnie do łez.
- Po prostu byłem sobą – typem klasowego błazna – uśmiecha się Igor.
- Gdybyś był ponurym dzieckiem nie miałbyś takiej miłości wielu ludzi. Nie pomagano by ci tak ochoczo i nie byłoby cię dziś tutaj – poważnieje Alice.

EPILOG

17 marca, w wieku 84 lat, po długiej chorobie nowotworowej zmarł Victor Mizzi, zwany aniołem czarnobylskich dzieci. Przez całe życie kierował się zasadą, że należy pomagać drugiemu człowiekowi zawsze, kiedy tylko nadarzy się ku temu okazja. Starszy pan nie krył radości, że doczekał realizacji największych marzeń podopiecznego – jego usamodzielnienia się, ślubu z Alice oraz narodzin dzieci.

Tego lata na świat przyjdzie trzecie dziecko pary.



Zofia Grzyb i inni w oczekiwaniu na odznaczenie przez prezydenta Bolesława Bierutą w 1949 roku

| East News

Komunizm był zły, ale mój ojciec to był taki dobry człowiek

Katarzyna Pawlicka

Bardzo trudno jest jednoznacznie negatywnie osądzić rodzica. Widzę, jaki niektórzy z moich rozmówców dźwigają ciężar. Nie będę zdradzała szczegółów, ale zdarzyło się, że ktoś podczas rozmowy płakał. Na przykład Piotrek Fejgin, syn kierownika Departamentu X, w którym torturowano „wrogów systemu”, jest w stanie stanąć w obronie ojca – mówi Krystyna Naszkowska, autorka książki „My, dzieci komunistów”.

KATARZYNA PAWLICKA, INTERIA: – W dyskusjach polityków „komunista” jest synonimem zdrajcy i wroga ojczyzny. Skąd pomysł, by porozmawiać z tymi, którzy tą ideologią przesiąkali od urodzenia?

KRYSTYNA NASZKOWSKA: – Po pierwsze, mamy na rynku serię książek np. „Resortowe dzieci”, której autorzy przekonują, że w Polsce jest źle, bo władzę, np. w mediach, sprawują właśnie dzieci komunistów. Według ich autorów „gen” komunizmu jest dziedziczony, w związku z czym dzieci komunistów, podobnie jak ich rodzice, są zdrajcami na usługach Rosji i pewnie niemieckiego militarizmu, chcą pozbawić Polaków korzeni oraz wypłenić patriotyzm.

– Po drugie, słuchając polityków czy zaglądając do internetu, obserwuję, że coraz mniej wiemy o komunizmie i jego istocie. Co stało się z ideologią odwołującą się do szczytnych ideałów równości i sprawiedliwości, że stała się swoim zaprzeczeniem i symbolem, obok faszyzmu, zbrodniczych totalitaryzmów XX wieku? Operujemy tym hasłem, nie bardzo wiedząc, o czym mowa. Nie zamierzam mówić nic dobrego o komunizmie, bo uważam go, szczególnie w wersji bolszewickiej, za ideę zbrodniczą, ale posługiwanie się tym pojęciem dla celów walki politycznej, prowadzić może do kolejnych nieszczęść. Hasła w rodzaju „Raz sierpem, raz młotem w czerwoną hołotę” i podobne służą wyłącznie podsycaniu nienawiści i umacnianiu podziałów. Uważam ludzi posługujących się takimi hasłami i sloganami za spadkobierców tych dwóch totalitaryzmów.

O komunizmie mówi się albo hasłowo albo wcale?

– Jedna z moich rozmówczyń, Agnieszka Holland, słusznie zauważa, że książek i filmów o tak zbrodniczej ideologii jak faszyzm jest cała góra. W przypadku komunizmu to zaledwie pagóreczek. Ten temat jest pomijany, a z biegiem lat podlega coraz większym uproszczeniom. W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że dzieci komunistów przedwojennych są ludźmi z mojego pokolenia lub troszkę starszymi i nasz czas powoli dobiega końca. Nie mogłam dłużej odkładać pisania.

Postanowiła pani porozmawiać z dziećmi tzw. prawdziwych komunistów, w większości represjonowanych idealistów. Dlaczego?

– Interesowali mnie ludzie, którzy poszli za tą ideą, zdając sobie sprawę, że to grozi zerwaniem stosunków rodzinnych, represjami, więzieniem, a nawet śmiercią. Wierzyli, że zbudują ustrój powszechnej sprawiedliwości społecznej, dający wszystkim równe szanse, niezależnie od pochodzenia; że wyrwą biedotę miejską i wiejską z upośledzenia, walcząc z analfabetyzmem i uprzedzeniami; że nikt nie będzie nikogo dyskryminował z racji jego urodzenia czy narodowości. Jednym słowem, że będzie fantastycznie. Komunizm uwiódł wielu. Zdarzało się, że dzieci z zamożnych rodzin wyprowadzały się z domu na poniewierkę, przerywały studia. Aleksandra Jasińska, córka Bieruta, wychowywała się właściwie bez rodziców, bo partia była dla nich ważniejsza niż rodzina.

Wielu z tych ludzi zginęło w latach 30. podczas tzw. wielkiej czystki, terroru policyjnego w ZSRR, ale tę kartę w historii bardzo rzadko się odkrywa.

– Moje pokolenie bardzo dobrze pamięta, w co zamieniła się komunistyczna utopia. Właściwie wszyscy bohaterowie mojej książki zaangażowali się po stronie przeciwnej, niż ich rodzice. Zastanawiałam się, jak to się stało, wszak rodzice w pierwszych latach życia są najwyższym autorytetem. Dzieci komunistów „przez osmozę” wchłaniały wiarę, że to jest jedyny właściwy i słuszny ustrój, w przeciwieństwie do, prowadzącego do wojen, imperializmu. A jednak, w pewnym momencie, zobaczyli coś innego niż rodzice. Jak sami często mówią: „zaczęli samodzielnie myśleć”. Niektóre historie są naprawdę dramatyczne. Jak kochać ojca, jednocześnie wiedząc o zbrodniach stalinowskich? Jak to pogodzić? Byłam bardzo ciekawa.

Pani rozmówcy raczej nie oceniają swoich rodziców w sposób jednoznacznie negatywny. Podkreślają, że należy różnicować postawy, nie obarczać wszystkich komunistów winą o tym samym ciężarze. Spodziewała się pani tego?

– Bardzo trudno jest jednoznacznie negatywnie osądzić rodzica. Widzę, jaki niektórzy z moich rozmówców dźwigają ciężar. Nie będę zdradzała szczegółów, ale

zdarzyło się, że ktoś podczas rozmowy płakał. Na przykład Piotrek Fejgin, syn kierownika Departamentu X, w którym torturowano „wrogów systemu”, jest w stanie stanąć w obronie ojca. Stara się całe życie zrozumieć, dlaczego ojciec nie rzucił papierami, gdy zobaczył, że to, co robi, nie ma już nic wspólnego z ideą, w którą wierzył. Dlaczego babcia Aleksandry Jasińskiej, córki Bieruta, kiedy zamknięto i skazano jej dzieci, które potem zginęły w Rosji, nadal pozostawała komunistką? Jak to możliwe, że widzieli, co dzieje się na ulicach i nie zaczęli się buntować?

– Dzieci zawsze szukają usprawiedliwień, okoliczności łagodzących i uważam, że mają do tego prawo. Przedstawiam ich opinie, racje, dbam o zgodność z historycznymi faktami. Nie odpowiadam za czyny rodziców, nie dziedziczę złych uczynków, ale odpowiadam za pamięć o nich, także tą złą. Nie jest moim celem ich osądzanie. To zostawiam czytelnikom.

Piotr Fejgin, trochę usprawiedliwiając ojca, mówi, że za zbrodnie stalinowskie obarczono w pewnym momencie przede wszystkim Żydów.

– Ależ ma rację, oczywiście, że tak się stało. Partii potrzebny był nadal aparat represji, by mogła utrzymać się u władzy. Wobec tego musiała znaleźć winnych. Antysemityzm w Polsce był i jest, i ciągle na tej nucie się gra. Do dziś dużo ludzi uważa, że UB było złe, bo tam byli Żydzi. Tymczasem statystyki mówią, że na ok. 38 tys. funkcjonariuszy urzędu bezpieczeństwa, było około 400 takich, którym można było przypisać korzenie żydowskie. Z akt procesu Romkowskiego, Fejgina i Różańskiego wynika, że ta trójka odpowiadała za Bezpiekę, ale brudną robotę, te wszystkie tortury, bicie, dręczenie więźniów, to wszystko kto robił? Kosmici? W tym sensie Piotr Fejgin ma rację, za którą oczywiście się chowa.

Dlaczego młodzież pochodzenia żydowskiego tak chętnie romansowała z komunizmem, albo komunizmowi całkowicie zawierzała? Mówimy przede wszystkim o latach 30. ubiegłego wieku lub wcześniejszych.

– W Polsce międzywojennej Żydzi byli dyskryminowani: nie mogli sprawować żadnych urzędów, nie mogli wykonywać wielu zawodów, było getto ławkowe. Nawet

jeśli ojciec był zamożnym człowiekiem, syn wiedział, że wiele rzeczy jest dla niego zakazanych. Dlatego bardzo podobała im się idea, która mówiła „nie ma znaczenia, kim jesteś”. Młodzi Żydzi marzyli o równości, podobnie jak inne grupy dyskryminowane, np. z powodów majątkowych: robotnicy czy chłopci. A do tego młodzież żydowska była lepiej wykształcona, wśród nich nie było w ogóle analfabetów, więc idee komunistyczne łatwiej do nich docierały.

Dla wielu pani rozmówców doświadczeniem wkroczenia w dorosłość, a co za tym idzie zerwania z przekonaniami rodziców, był marzec '68 roku, który obudził w nich krytyczne myślenie, skłonił do spojrzenia na rzeczywistość z innej perspektywy.

– Ponieważ większość z moich rozmówców ma żydowskie pochodzenie, nie było możliwości, żeby marzec '68 roku nie odcisnął na nich piętna. Ich rodzice nagle tracili pracę, albo byli przenoszeni na upokarzające stanowiska. Mam znajomego, którego matka była dyrektorką w ministerstwie kultury i zaproponowano jej, że może zostać dozorczynią.

– Włodek Grudziński mówi, że dopiero w marcu, kiedy zamykano za protestowanie przeciwko zdjęciu spektaklu „Dziadów” z teatru, uświadomił sobie, że w Polsce nie ma wolności. Większość bohaterów tej książki była wtedy na studiach i brutalnie weszła w, pełną zakazów, dorosłość. Każdy student z mojego pokolenia musiał nagle opowiedzieć po jakiejś stronie i ponieść tego konsekwencje. Także wtedy, kiedy od pobitych kolegów odwracał wzrok.

Nie wszyscy bohaterowie pani książki wybrali politykę. Część zachowała polityczną neutralność...

– Powiedziałabym raczej, że oni nie zachowali politycznej neutralności, natomiast nie wybrali polityki. Poszli w różne dziedziny kultury, nauki, w sprawy socjalne. Andrzej Friszke mówi o takiej postawie «obywatelskość». Bo jak nazwać to, że np. Aleksander Smolar jest dzisiaj założycielem i prezesem zarządu Instytutu i Fundacji im. Batorego?

Nie odziedziczyli komunizmu, ale idealizm, postawę prospołeczną?

– Może nie idealizm, nie lubię bardzo tego słowa. Głęboka wiara komunistów w słuszność idei doprowadziła do tego, że zachowywali się jak na wojnie, gdzie cel uświęcał środki. Po 56 roku wiedzieliśmy w Polsce już dość dużo o zbrodniach, które miały miejsce w ZSRR na Polakach, w tym także komunistach polskich. Czy tzw. prawdziwi komuniści byli lepsi od oportunistów, którzy wstępowali do PZPR dla profitów? Jak powiedział na spotkaniu autorskim Ernest Skalski: „Z oportunistą można się dogadać, nawet przy okrągłym stole. Z fanatykiem nie”.

Aleksander Smolar mówi o etyce przedwojennych komunistów, która przejawiała się m.in. w skromności. Jak naprawdę wyglądało ich życie?

– Moi rozmówcy opowiedzieli, jak wyglądało ich dzieciństwo. Pięciopokojowe mieszkania, przejmowane po tzw. „burżujach”, gosposia, szofer, wakacje w specjalnych ośrodkach. Komuniści tłumaczyli się wówczas, że muszą mieć odpowiednie warunki, by rządzić krajem. Warto przytoczyć tutaj opowieść pani Jasińskiej, która wakacje spędzała w luksusowej willi w Sopocie. Podkreślała, że Michał Rola-Żymierski, minister obrony narodowej, a prywatnie ojciec jej koleżanki Zosi, otrzymał nadmorski dom na własność, z czego bardzo się cieszył. Bierut podobno krytykował taką postawę, ale przecież sam korzystał z wszelkich dobrodziejstw i udogodnień. Więc stwierdzenie Smolara to raczej forma samoobrony.

– Komuniści weszli w buty przedwojennej klasy posiadaczy. Choć prawdziwe rozpasanie zaczęło się za Gierka.

Dzieci komunistów były w pewnym stopniu izolowane, wychowywały się w swoim kręgu, chodziły do określonych szkół?

– Nie nazwałabym tego izolacją, bo ich rodzice przyjaźnili się ze sobą i najczęściej blisko siebie mieszkali. Obok była szkoła, a oprócz tego ośrodki wczasowe dla wybranych.

Powiedziała pani, że prawdziwe rozpasanie zaczęło się za czasów Gierka. Agnieszka Holland, której ojciec popełnił samobójstwo w 1961 roku, stawia sprawę jasno: „Komunizm PRL-owski nie był żadnym komunizmem” – mówi. Większość Polaków zareaguje na tę tezę wyraźnym sprzeciwem. Nie będą mieli racji?

– Myślę, że te słowa wynikają z potrzeby zrozumienia ojca. Holland ma powody, żeby się go wstydzić, gdy był zapiekłym idealistą, niszczył profesorów na uniwersytecie. Po referacie Chruszczowa przeszedł dość gwałtownie na drugą stronę. Otworzyły mu się oczy i potrafił zmierzyć się ze swoimi grzechami, z przeszłością. Napisałam książkę nie o komunistach, a o ich dzieciach, ale przypuszczam, że na ogół mechanizm był taki, że jak już się zostawało wiceministrem, miało piękne mieszkanie, trudno było powiedzieć dosyć i rzucić legitymacją. Rozumiem lęk przed utratą pracy, dachu nad głową.

Wiele osób odmówiło pani rozmowy...

– Zdecydowanie więcej osób odmówiło niż się zgodziło.

Podawali powody?

– Niektórzy podwali, inni nie. Powody mogą sobie tylko dośpiewać. Podstawowym jest niechęć do przyznawania się do komunistycznych korzeni, zwłaszcza wśród kobiet, które zmieniły nazwisko. Nie jest łatwo powiedzieć, że ojciec odpowiadał za to wszystko, co działo się w Polsce. Znam też ludzi, którzy dalej mieszkają w pięknych mieszkaniach po rodzicach komunistach. Co stałoby się, gdyby nagle dowiedzieli się o tym sąsiedzi? W odmownych odpowiedziach słyszałam też, że to są prywatne sprawy, że trzeba chronić rodzinę. Pojawiały się także obawy, że po publikacji rozleje się hejt w mediach, w internecie. Były głosy mówiące: „Komunizm był zły, ale wiesz, mój ojciec to był taki dobry człowiek”.

To świetnie widać w rozmowie z Aleksandrą Jasińską, która ma wiedzę i świadomość historyczną, a mimo to mówi: „kochałam ojca, dla mnie był dobrym człowiekiem”.

– Oczywiście, jak przeczyta to ktoś, kogo ojciec był zamordowany przez UB, reakcja będzie gwałtowna. I on oczywiście wyleje swój ból w internecie na mnie, na nich, na wszystkich, co też mogę zrozumieć. Jednak daję moim rozmówcom prawo do tego, żeby mogli przedstawić swoją historię.

Fejgin, który dziś ma 73 lata, powiedział, że po raz pierwszy ktoś zapytał go, co myśli o przeszłości ojca. Skąd ta zmowa milczenia wokół komunizmu?

– To jest bardzo bolesne. Wiele osób odmówiło mi rozmowy, ale były też takie, które udzieliły mi wywiadu, ale go nie autoryzowały. Jak zobaczyły swoje wypowiedzi na piśmie, przelęły się konsekwencji. Wyszły z założenia, że ludzie nie rozumieją ich skomplikowanej relacji z rodzicem komunistą, w której znalazło się także miejsce na miłość.

Włodzimierz Gruzicki mówi, że to milczenie rodzi nieprawdę. Głosy dzieci komunistów, nawet jeśli subiektywne, przybliżają nas do poznania prawdy?

– Wydaje mi się, że rozmowy, w których spróbujemy spojrzeć na komunistów oczami najbliższych, którzy ich kochali, a jednak odwrócili się od wyznawanej przez nich idei, pokażą różne odcienie sprawy. Historia, szczególnie ta tragiczna, widziana poprzez ludzi i ich los jest bliższa zrozumienia.

Dla większości młodych ludzi wiedza o komunizmie sięga tylko późnych lat 50., Gomułki, a potem Gierka. O latach przedwojennych nie mówi się właściwie w ogóle.

– Jest jeszcze jedna rzecz, na którą chcę zwrócić uwagę. Właściwie wszyscy moi rozmówcy porównują lata swojej młodości, a więc okres PRL'u, z dzisiejszą sytuacją polityczną. Czy u władzy jest lewica czy prawica, w systemie autorytarnym oddaje się władanie w ręce jednej grupy, która narzuca rozwiązania. Wielu ludziom

to odpowiada, bo zwalnia z myślenia i dokonywania wyborów. Andrzej Titkow opowiadał historię, która absolutnie pasuje do dzisiejszych czasów. Kiedy zapytał ojca, sekretarza Komitetu Warszawskiego w latach 60., dlaczego ten zdjął z afisza przedstawienie, teatralne usłyszał: „Bo było złe. Rządzimy, mamy pieniądze i mamy prawo decydować, co jest złe”.

– Przecież mamy teraz dokładnie to samo! W tym sensie jest to książka aktualna, już nie tylko historyczna. Pokazująca jak było i jak jest. Możemy sobie tylko zadać pytanie, dlaczego tak wygląda polityczna rzeczywistość?

Czy mam pani jakiś pomysł na odpowiedź?

– Agnieszka Holland przytoczyła swoją rozmowę z Milošem Formanem o zwierzętach wychowanych w zoo, które wypuszczone na wolność... giną. Może musi wymrzeć całe pokolenie, które nie nauczyło się demokracji? Wciąż nie bardzo umiemy sobie z nią radzić, wolność nas przeraża.

Z drugiej strony ludzie z pani pokolenia potrafią najgłośniej zaprotestować.

– Moje pokolenie jest podzielone. Mamy młodą demokrację i nie wszyscy sobie w niej poradzili. Na przykład wielu rolników mówi, że było fantastycznie za Gierka, mity o gierkowskiej szynce przekazują swoim dzieciom. Tymczasem miałam rodzinę w zakładach mięsnych, co kilka miesięcy zmieniano tam receptury tak, by rosła ilość dodatków, a malała mięsa. Nie mogąc poradzić sobie na wolnym rynku, tęskniłam za państwem opiekuńczym.

Odbierającym im wolność i niezależność.

– Niektórzy rozmówcy twierdzą, że ich zdaniem autorytaryzm wraca. Zauważają pierwsze symptomy, ale mają nadzieję, że sprawy nie posuną się dalej. Kiedy powiedziałam, że dzisiejsza władza nie stosuje przemocy, Andrzej Titkow zaprotestował, stwierdzając że przemoc jest, tyle że nie fizyczna, a propagandowa! Na razie.



Projekt Chcę – Mogę – Potrafię opierał się na spotkaniach i warsztatach z ekspertami w dziedzinie mody

| Materiały prasowe

Rockowe księżniczki

Lidia Ostólska

Dzielnica XVIII to jej miejsce. Tu ma wystarczającą przestrzeń do działania. Potrzebuje jej, bo wciąż tworzy, wymyśla i gromadzi. Pomysły realizuje wspólnie z seniorami. To oni są fundamentem społeczeństwa obywatelskiego. Twierdzi, że wystarczy im pomóc, aby uruchomić lawinę wydarzeń społecznych i kulturalnych. Do nich zaliczają się pokazy mody „Rockowych księżniczek” organizowane w całej Polsce. Z Małgorzatą Szymczyk-Karnasiewicz spotykamy się przed pokazem mody w Alei Róż w Nowej Hucie – dzielnicy Krakowa.

DZIELNICA DOBRZE SKROJONA

– Nowa Huta jest pięknie starzejącą się dzielnicą, to nie sarkazm, ona w przyszłym roku skończy 70 lat! Musi wyglądać na swój wiek. Jest dobrze skrojona, wyśmienicie zaprojektowana przez najlepszych przedwojennych architektów polskich – nie radzieckich towarzyszy. Ten mit staram się obalać. Ostatnio miałam okazję to zrobić w przerwie kawowej podczas ogólnopolskiej Konferencji „Komunikowanie i media w dialogu obywatelskim – opowiada Małgorzata Szymczyk-Karnasiewicz.

CO WISI W NOWOHUCKICH SZAFACH

– Wracając do mody, szalenie ciekawi mnie, co tam wisi w tych nowohuckich szafach, bo podejrzewam, że gdyby zrobić wystawę mody w Nowej Hucie, mogłybyśmy odnaleźć sukienki sprzed pół wieku – w oczach lokalnej inicjatorki pojawia się błysk.

– Często widzę emerytowanych inżynierów, wczesną wiosną zawsze ubierają się w prochowce, a teczka jest uzupełnieniem stylizacji. Moja sąsiadka Alicja ubierała się bardzo elegancko. Odziedziczyłam po niej garderobę z przeznaczeniem na wystawę o modzie w Nowej Hucie. Prenumerowała w Ruchu całą gamę tygodników i miesięczników – dodaje.

CHCĘ, MOGĘ, POTRAFIĘ

– Otaczają mnie ludzie starsi – opowiada pani Małgorzata. – Moimi sąsiadkami są osoby starsze, ale są też mieszkańcy w wieku 60+, którzy chcieliby coś zrobić dla swojej społeczności lokalnej, lecz nie wiedzą, jak się za to zabrać. Z myślą o nich zrobiłam cykl szkoleniowy „Chcę – Mogę – Potrafię”, który zakończył się wielką międzypokoleniową potańcówką nad Zalewem Nowohuckim w Krakowie w ramach Bulwaru Sztuki – wspomina autorka projektu.

– Ten pokoleniowy projekt realizowałam przy wsparciu Teatru Łażnia Nowa i Rady Dzielnic XVIII Nowa Huta – jedną z form aktywności były warsztaty na temat budowania dobrego stylu i dobierania kolorów oraz fasonów ubrań do swo-

jej sylwetki i typu urody. – Panie poznały podstawy zrównoważonego podejścia do tworzenia wizerunku w ramach tzw. mody zrównoważonej (slow fashion), której celem jest zahamowanie nadprodukcji ubrań niskiej jakości z wykorzystaniem niewolniczej pracy dzieci i kobiet w krajach najbiedniejszych (fast fashion) oraz tworzenie ubrań bardzo dobrych jakościowo z zachowaniem szacunku i godności osób zatrudnionych w procesie produkcji – mówi z przekonaniem Małgorzata Szymczyk-Karnasiewicz.

– Ponadto uczestniczki projektu poznały techniki pozwalające ze starych rzeczy zrobić coś nowego itp. Warsztaty poprowadziła Joanna Tor-Gazda, nowohucianka, projektantka kapeluszy. Seniorom i seniorkom trzeba non stop coś proponować, znając jednocześnie ich umiejętności i dając im przestrzeń, w której mogliby wykazać się swoimi umiejętnościami.

KOBIETA Z PSEM NA RĘKACH

– Z panią Gosią było tak: otwieram drzwi do klubu, bo już maj i ciepło. I właśnie pojawia się ona z psem na rękach i waha się, czy wejść. Zapraszam ją. Właśnie robimy transparenty na paradę seniorów i każda para rąk jest na wagę złota. Zapewniam, że pupil Pimpuś wcale nam nie przeszkadza – dodaje pani Małgorzata.

– Udało się zatrzymać panią Gosię. Została na całe zajęcia i przyjęła zaproszenie do udziału w pokazie mody. – Cieszę się, bo to urodzona stylistka. Jej ubiór, fryzura, makijaż i przemyślane dodatki – wyróżniają ją z tłumu. Poznajemy się bliżej. Wiem, że w młodości marzyła o byciu modelką. Po latach przyszedł czas na spełnienie tego marzenia – komentuje.

– Wiedziałam, że tej kobiecie z potencjałem trzeba odrobinę pomóc. Byłam przekonana, że nadszedł jej czas, by stanąć na scenie, pokazać się na wybiegu przy światłach reflektorów i fleszy fotoreporterów. I zaczęło się. Mam w tym swój udział, ogromnie mnie to cieszy – uśmiecha się pani Małgorzata. Nie wiem tylko, czy Pimpuś jest zadowolony z tego, że jego pani często wyjeżdża na pokazy mody – śmieje się organizatorka projektu.

KOBIETA Z PSEM NA RĘKACH

– Z panią Gosią było tak: otwieram drzwi do klubu, bo już maj i ciepło. I właśnie pojawia się ona z psem na rękach i waha się, czy wejść. Zapraszam ją. Właśnie robimy transparenty na paradę seniorów i każda para rąk jest na wagę złota. Zapewniam, że pupil Pimpuś wcale nam nie przeszkadza – dodaje pani Małgorzata.

– Udało się zatrzymać panią Gosię. Została na całe zajęcia i przyjęła zaproszenie do udziału w pokazie mody. – Cieszę się, bo to urodzona stylistka. Jej ubiór, fryzura, makijaż i przemyślane dodatki – wyróżniają ją z tłumu. Poznajemy się bliżej. Wiem, że w młodości marzyła o byciu modelką. Po latach przyszedł czas na spełnienie tego marzenia – komentuje.

– Wiedziałam, że tej kobiecie z potencjałem trzeba odrobinę pomóc. Byłam przekonana, że nadszedł jej czas, by stanąć na scenie, pokazać się na wybiegu przy światłach reflektorów i fleszy fotoreporterów. I zaczęło się. Mam w tym swój udział, ogromnie mnie to cieszy – uśmiecha się pani Małgorzata. Nie wiem tylko, czy Pimpuś jest zadowolony z tego, że jego pani często wyjeżdża na pokazy mody – śmieje się organizatorka projektu.

ROCKOWE KSIĘŻNICZKI

– Pamiętam, jak w ramach „Chodźże na Kiermasz Centralny!” pani Gosia przygotowała pokaz mody sylwestrowej 60+ w klimacie księżniczki rockowej, disco oraz klasycznego dandysa. Swoją koleżankę Grażynkę ubrała we frak swojego dziadka, który nieco przyozdobiła czerwoną broszką. Ten półwieczny look bardzo mi się spodobał. Pani Gosia w drugim wejściu pokazała się w sukience zaręczynowej – która z nas jest w stanie po 40 latach wskoczyć w ten sam ciuch?! To był debiut! Modelki podczas pokazu pokazały, że czasami trzeba się odważyć – tłumaczy Małgorzata Szymczyk-Karnasiewicz.



Maciej Marcisz w powieści „Taśmy rodzinne” opowiada o szalonym entuzjazmie lat 90.

| Ewa Lendo materiały prasowe

Niezachwiana wiara w postęp była niezwykle przyjemna

Katarzyna Pawlicka

– Lata 90. bardzo nas ukształtowały. Ten czas był optymistyczny, rozentuzjasmowany, czasem jak na dragach, co widać chociażby w barwach, nasyceniu. Wydawało się, że przepis na sukces jest prosty: jeszcze trochę zaciskania zębów i już skapnie, już będzie jak na zachodzie. Dzisiaj widzimy, że ten wielki projekt nie do końca się udał – mówi Maciej Marcisz, autor powieści „Taśmy rodzinne”.

KATARZYNA PAWLICKA, INTERIA.PL: – Nostalgia za latami 90. jest na tyle silna i powszechna, że zaczęła zajmować także badaczy: antropologów, socjologów, a nawet historyków. Skąd, twoim zdaniem, zwrot do tego, co minione?

MACIEJ MARCISZ: – To chyba naturalny proces. Do głosu doszli milenialsi, ludzie, którzy przeżyli swoje dzieciństwo w latach 90. Sytuacja jest zatem typowa i idealna: jedni chcą mierzyć się ze swoją przeszłością, idealizować ją, rozliczać, wspominać, przetwarzając, a drudzy o tym czytać, słuchać i oglądać. A może też fakt, że świat nie wygląda tak, jak tego chcemy, powoduje, że tęsknimy bardziej: zbieranie karteczek, pierwsze centra handlowe, pizza z Pizza Hut, kasety Spice Girls, TLC... i w ogóle.

Zbieranie karteczek i Pizza Hut to bardzo przyjemne wspomnienia. Lata 90. w wydaniu popkulturowym są często ładnie opakowane, wybielone. W „Taśmach rodzinnych” pokazujesz ich ciemniejszą stronę. Dlaczego zdecydowałaś się pójść na przekór powszechnie panującym tendencjom?

– Wierzę w powieść realistyczną i taką też chciałem napisać, z dużym osadzeniem w szczególe, w materii. Myślę, że zasługujemy, by mieć realistyczny, a nie dziecinny obraz tego okresu. Szczególnie, że lata 90. bardzo nas ukształtowały. Ten czas był optymistyczny, rozentuzjasmowany, czasem jak na drogach, co widać chociażby w barwach, nasyceniu. Wydawało się, że przepis na sukces jest prosty: jeszcze trochę zaciskania zębów i już skapnie, już będzie jak na zachodzie. Dzisiaj widzimy, że ten wielki projekt nie do końca się udał.

A dwudziestolatkowie i trzydziestolatkowie odczuwają jego porażkę. Jak burzliwa i gwałtowna transformacja przełożyła się na młodych ludzi?

– W „Taśmach rodzinnych” główny bohater, pochodzący z uprzywilejowanego domu, wie o życiu prekariusza. W jego wypadku to ewidentnie konsekwencje własnych zaniedbań i lekkomyślności, ale dobrze wiemy, że w trakcie transformacji niektórym ludziom się powiodło, a innym nie, choć równie ciężko pracowali.

– Moją obsesją i obsesją tej książki jest pogarda jednych wobec drugich, która toczy polskie społeczeństwo do dziś. Pogarda z lat 90. wobec ludzi, którzy są niepostępowi, nie chcą Unii Europejskiej i słuchają Disco Polo, a w praktyce po prostu są biedniejsi, ciągle trwa. Kiedy widzę Krystynę Jandę udostępniającą jako komentarz powyborczy obrazek z politykiem karmiącym banknotem starszą panią i hasłem „daj głos”, to nie wiem, czy bardziej chce mi się płakać czy rzygać. Nie mogę się doczekać aż ludzie, którzy opowiadają te szkodliwe klasistowskie historyjki, wreszcie odejdą z przestrzeni publicznej. Pogarda powoduje, że empatia nie jest możliwa. Jej brak wydaje mi się najgorszy i staram się mu sprzeciwić.

Bohaterami twojej książki są trzydziestoletni Marcin Małys oraz jego ojciec Jan. Ten drugi, beneficjent systemu wolnorynkowego, ostatecznie musi zmierzyć się z porażką. Płaci wysoką cenę?

– Sam się nad tym zastanawiam i nie potrafię udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Czy otrzymuje karę za to, że skupił się na zarabianiu pieniędzy? Masz pieniądze, ale za karę masz wadliwą rodzinę? A ci, którzy nie mają pieniędzy, mają szczęśliwe rodziny? To chyba za proste.

– Natomiast interesowało mnie, że niemal zawsze próbujemy ułożyć swoje życie w kontrze do rodziców. Jan dorasta w niedostatku, jest mu ciężko, nie może wyjechać nad wymarzony Bałtyk, który urasta do rangi symbolu, więc za wszelką cenę próbuje sprawić, żeby jego dzieciom niczego nie zabrakło. By zapobiec złym doświadczeniom, pozbawia ich tych rzeczy, które go ukształtowały. Kiedy Marcin i jego rodzeństwo dorastają, okazuje się, że właściwie nie mają z ojcem nic wspólnego, nie są w stanie się porozumieć, są bardzo różnymi od niego ludźmi. To jest życiowa ironia, której chyba trudno zapobiec.

Jan wierzy w mit postępu, który dla jego dzieci nie jest już dostępny.

– Niezachwiana wiara w postęp była niezwykle przyjemna! W 2004 roku pisałem egzamin gimnazjalny, Polska wstępowała wtedy do Unii Europejskiej. Pamiętam, że na egzaminie padło pytanie o datę naszego wstąpienia.

– Czułem się bardzo dumny, że u nas wreszcie też będzie ŁADNIE. Jako naiwny nastolatek, ale też zaślepiony przedstawiciel uprzywilejowanych, myślałem o tym tylko w kategoriach estetycznych. To miał być cudowny czas i na powierzchni naprawdę taki był. Na zewnątrz zrobiło się milej. Krawężniki zaczęły być równe i powstało bardzo dużo rond, nowoczesnych i europejskich, nie to, co te przestarzałe skrzyżowania. A jakieś osiem, dziesięć lat później okazało się, że jednak nie jest tak super.

Marcin Małys miał możliwości, o których jego rodzice mogli tylko pomarzyć. Doszedł jednak do momentu, w którym było mu trudno wstać z łóżka czy zrobić zakupy. Niemoc i rozczarowanie są bolączkami całego pokolenia?

– On wybiera specyficzną drogę, drogę artysty. Sytuacja artystów i artystek w Polsce jest bardzo trudna, z definicji prekaryjna. To raczej przetrzebiana ścieżka kariery. Ale mój bohater wybiera ryzykowny zawód właśnie dlatego, że może pozwolić sobie niemal na wszystko, wie że w ostateczności „nic mu się nie stanie”, że ma poduszkę w postaci rodziny. Fakt, że ją traci, staje się początkiem fabuły „Taśm”. Sama data urodzenia to za mało, by stać się częścią jednolitej grupy.

Mam wrażenie, że dzisiejsi młodzi dorośli (i taki też jest twój bohater) mają skłonność do rozdrapywania ran, szukania powodów, dla których ich życie wygląda tak, a nie inaczej. Byliśmy wychowywani bardziej na miękko, dano nam prawo do okazywania słabości?

– Nie chcę oceniać żadnego z pokoleń, nie chcę mówić, że któreś było lepsze, albo co gorsza: rozpuszczone. Byłbym jak ci ludzie, którzy za wszystko winią milenialsów. Wiesz, w stylu tych artykułów: „50 rzeczy, które zabili mileniałsi”. Część naszego pokolenia dłużej dojrzewa, może lub musi dłużej poszukiwać, nie czuje, że koniecznie trzeba decydować się na pewien model życia w wieku dwudziestu pięciu albo trzydziestu lat.

Lepiej z rzeczywistością radzą sobie jeszcze młodszy od nas. Dwudziestolat-kowie studiują wyłącznie, by poszerzyć wiedzę, nie wierzą, że tytuł im coś zagwarantuje. Często bardzo wcześnie zaczynają życie zawodowe...

– I bardzo fajnie! Jestem fanem „zetów”. Zdaje się, że oni są bardziej praktyczni. Plus uważam, że z zasady należy być fanem młodych ludzi, wspierać ich i im kibicować. W sumie starszych też (śmiej).

Twój bohater długo poszukuje swojej drogi, przeżywa kryzys, ostatecznie oddala się od sztuki na rzecz, no właśnie, nie chcę tego zdradzać. W każdym razie, w moim przekonaniu, wcale nie przegrywa...

– Wszyscy tworzymy jakąś historię na temat swojego życia, żeby móc uczynić je przeżywalnym, żeby się nie rozpadło, żeby co rano wstać z łóżka. Taką narrację tworzy też Marcin Małysz.

**W pewnym momencie zakorzenia się w konkretności, zaczyna po prostu zbli-
żać się do życia.**

– Tak, to życie jest bardziej fizyczne, namacalne, bliżej innych ludzi. Marcin przeżywa przemianę.

„Kryzys ćwierćwiecza przedłużył się do trzydziestki. Jego wiek sugerował, że coś-cokolwiek – powinno by już ustalone, jednak ciągle nie było” – piszesz o Marcinie Małysie. O trzydziestce mówi się, że to nowa pięćdziesiątka lub nowa dwudziestka. Skąd tak duże rozbieżności?

– Wiesz co, nie wiem, trochę zgaduję. Myślę że współcześnie swoboda życiorysu, szczególnie w dużych miastach, jest większa. Jasne, wciąż działa opowieść, że krótko przed trzydziestką bierzesz ślub i zakładasz rodzinę. I istnieje presja tej opowieści. A z drugiej strony jest coraz więcej osób, które żyją poza tym modelem. I oni mogą przeżywać swoją czterdziestkę jak dwudziestkę, trzydziestkę jak sześćdziesiątkę i tak dalej, w nieskończoność. I to jest okej. Te wszystkie próby kategoryzacji to chyba sposób na zakłęcie coraz bardziej jednostkowego doświadczenia w pokoleniowy frazes.

Mówimy bardzo dużo o pokoleniach, a nie zapytałam do tej pory, jak w ogóle układasz się z pokoleniowością. Czy podział na pokolenia nie jest przypadkiem krzywdzący, albo nietrafiony?

– W tekstach o „Taśmach rodzinnych” pojawia się sformułowanie, że jest to powieść pokoleniowa. Moim zdaniem to książka tylko częściowo pokoleniowa, a zdecydowanie bardziej po prostu klasowa. Jasne, istnieje jakaś wspólnota doświadczeń naszego pokolenia. Chcesz powiedzieć: Unia Europejska, śmierć papieża, biały marsz na Błoniach, Erasmus i Open’er. Ale przecież żeby wyjechać na Open’era na studiach, trzeba było mieć przynajmniej tysiąka, jeśli nie dwa. Jak widzisz, konsekwentnie bronię się przed wypowiedziami dotyczącymi całego pokolenia.

W potransformacyjnej Polsce „taśmy” mają określone, polityczne konotacje. W Twojej książce polityki nie ma wcale. To celowy zabieg?

– Chciałem napisać historię, która będzie przede wszystkim o rodzinie w nowym polskim kapitalizmie. Nie padają w niej nazwy partii ani nazwiska polityków, co nie oznacza, że nie jest polityczna. To jednak do jakiegoś stopnia jest rozliczenie z turbokapitalizmem i systemem ustanowionym przez Leszka Balcerowicza i jego akolitów. Swoją drogą, ktoś podał mi link do jednego z forów, gdzie toczyła się dyskusja, czy zakończenie „Taśm” jest balcerowiczowskie. Popieram tych, którzy mówią, że nie jest, że przeciwnie! (śmiech).

„Taśmy” podobały mi się także dlatego, że niuansują trudny temat rodziny. Do tej pory rodzinie albo tworzone pomniki, albo (jak np. u Kuczoka) przedstawiano ją w najciemniejszych barwach. Ty nie pozwalasz sobie ani na jedno ani na drugie.

– Dzięki. Wydaje mi się, że doświadczenie bycia w rodzinie rzadko jest jednorodne. Z rodziną spędzamy dużą część naszego życia i trudno o to, by było nam przez cały czas bardzo źle lub tylko najlepiej. W „Taśmach” przeplatają się ze sobą dość dramatyczne momenty z, na przykład, euforyczną sceną wielkich zakupów, kiedy Małysowie są szczęśliwi. Tak chyba wygląda życie (śmiech). A przynajmniej takie

znam. W ogóle mam poczucie, że ludzie są bardziej dobrzy niż źli. Jeden czyn nigdy o nas nie świadczy. No i kocham swoich bohaterów. Uważam, że tak trzeba. Inaczej traktuje się ich jak Simsy, klika się na nich i spogląda z góry. Nie chcę takiego spojrzenia.

Bohaterowie przyszli do ciebie najpierw?

– Od początku wiedziałem, że ta książka będzie się tak nazywać i miałem pierwszy obraz: świątecznego odpakowywania prezentów. Historię rozpisałem sobie w konspekcie i wtedy poczułem się trochę pewniej. Później rozszerzałem poszczególne części, rozdziały i fragmenty, by fabułę mieć już zrobioną i skupić się przede wszystkim na samym pisaniu, języku.

Szczegóły i poboczni bohaterowie odgrywają dla mnie w „Taśmach” olbrzymią rolę. Myślę np. o mamie Łukasza, rozpisanej w kilku zdaniach, która uosabia tęsknotę za prawdą, prostotą, ciepłem, domem.

– I mama Łukasza jest prawdziwa i babcia Jadzia jest prawdziwa, bo jest moją babcią. One faktycznie uosabiają coś, co nazywamy „prawdą na temat życia”. Taka prawda oczywiście nie istnieje, choć wielu z nas pewnie by tego chciało.



Na początku lat 90-tych walkmany były marzeniem wielu nastolatków

| PISCEL

Retromania, duchologia, hauntologia: Kiedy upragniona przyszłość nie chce nadejść

Michał Ostasz

„Kiedyś to było” piszą w facebookowych komentarzach coraz młodszy. Tęsknotę za PRL-em i latami 80. powoli zastępują wspominki o czasach potransformacyjnych i początku XXI w. O tym, że na nostalgię nie ma mocnych i o tym, co naprawdę oznaczają memy z serii „małpa Polak” rozmawiam z kulturoznawcą Rafałem Sowińskim.

„POLSKI SERIAL SCIENCE-FICTION o niebieskiej latającej kulce” – byłem pewien, że wpisując to hasło w Google przypomnę sobie nazwę produkcji, którą namiętnie oglądałem w dzieciństwie. Nic z tego, wszechwiedząca wyszukiwarka milczała jak grób. Nie poddałem się i poszukiwania przeniósłem na Facebooka. Odpowiedź znalazłem na grupie „Jak będzie w Polonii 1? – sekcja retromanii, duchologii i nostalgii”. Jej członkowie od razu zidentyfikowali poszukiwane przeze mnie dzieło. Chodziło o polsko-niemieckie „WOW” z – jeszcze – młodym Malajkatem i bardzo młodym Damięckim.

Nie byłem jedyny, który trafił do tej części internetu poprzez zagwozdkę z przeszłości. Zostałem, bo otworzyła się przede mną brama fascynującego świata retromanii i duchologii, po którym oprowadził mnie Rafał Sowiński, administrator społeczności „Jak będzie w Polonii 1”.

MICHAŁ OSTASZ, INTERIA.PL: W sieci można natknąć się na kilka terminów: retromania, duchologia, hauntologia. Skąd wynika ta mnogość i czym różnią się one od zwykłej nostalgii?

RAFAŁ SOWIŃSKI: Nie da się ukryć, że humanistyką poniekąd rządzą mody. Jeśli jakiś termin opisuje lepiej niż poprzednie pewien fragment naszej rzeczywistości, to ma spore szanse stać się modnym. Tak właśnie jest z tymi pojęciami – każde z nich jest ma coś wspólnego z nostalgią, ale dotyczy czegoś trochę innego. Retromania to pomysł brytyjskiego krytyka muzycznego, Simona Reynoldsa. Zauważył on, że spora część naszej współczesnej popkultury – muzyki, filmów i tak dalej – jest uzależniona od tego, co już kiedyś było. Stąd w kinach tak wiele remake’ów czy sequeli, stąd popularność motywów rodem z lat 80. i coraz częściej 90. Właśnie ta współczesna kondycja kultury, która skazuje nas na nieustanne powtarzanie, nazywana jest retromanią.

– Z hauntologią sprawa jest bardziej skomplikowana. Termin ten, który w Polsce bywa też tłumaczony jako widmontologia, wprowadził francuski filozof, Jacques Derrida. Próbował on w ten sposób określić stan, w którym nawiedza nas widmo przeszłości, a konkretniej komunizmu.

– Z czasem hauntologia została przeniesiona na grunt rozważań o kulturze popularnej i w tym znaczeniu najogólniej dotyczy on naszych różnych, często niejasnych i niepokojących, wspomnień z dzieciństwa. Muzyka, którą słyszeliśmy z pokoju rodziców zza ściany, dziwne programy telewizyjne, jakiś obrazek z książki, który utkwił nam w pamięci – wszystko to może być hauntologią. Inni z kolei nazywają tak wizje przyszłości, które nigdy się nie dokonały – stąd hauntologia miałaby być „nostalgią za utraconą przyszłością”.

– Duchologia to natomiast jedno ze spolszczeń tego terminu, ale o jeszcze węższym znaczeniu – w ujęciu Olgi Drendy, polskiej antropolożki kulturowej, dotyczy on specyficznej estetyki okresu transformacji ustrojowej. Duchologią więc byłoby wszystko to, co kojarzy się z tamtym okresem i czasem jeszcze „straszy” na ulicach naszych miast. Warto jednak pamiętać, że wiele osób używa terminów duchologia i hauntologia naprzemiennie.

Duchologia to zatem bardziej zjawisko czy coś, co można już nazwać pełnoprawną dziedziną nauki?

– Nie nazwałbym jej dziedziną nauki. To raczej pewna przestrzeń, w której spotykają się zainteresowania kulturoznawców, psychologów, socjologów, filozofów i artystów. Warto też pamiętać, że ta przestrzeń nie musi mieć nic wspólnego z aktywnością akademicką, o czym świadczą na przykład liczne amatorskie Facebookowe strony poruszające ten temat.

Czym jednak różni się takie uświadomione, w twoim przypadku wręcz akademickie, podejście do wspomnień od zwykłych, nie tylko internetowych rozważań o przeszłości?

– Myślę, że te dwa podejścia tak naprawdę nie są jasno rozgraniczone – nie wierzę w naukę, która zamyka się w murach uniwersytetu i nie interesuje ją, co ludzie mają do powiedzenia, co czują i co robią. Gdybym miał jednak wyróżnić jedną podstawową różnicę, to jest nią to, że akademickie podejście bardziej skupia się na samym procesie wspominania niż tym, co jest wspominane. Nie da się tego jednak

od siebie oddzielić – bo czy dałoby się badać, na przykład, wspomnienia o transformacji ustrojowej w Polsce bez wzięcia pod uwagę kontekstu tych wydarzeń? Czy można pisać o roli dobranoczek w osobistych hauntologiach i zignorować to, jakie to były dobranocki?

– No i nie da się zapomnieć o tym, że akademicki punkt widzenia przejawia skłonność do wpisywania różnych zjawisk odnoszących się do przeszłości we wspomniane wcześniej modele retromanii, nostalgii i hauntologii. A to na pewno nie jedyny sposób, na jaki można o przeszłości mówić i jak ją badać, tym bardziej, że studia nad pamięcią to poważna część współczesnej humanistyki.

– Tak naprawdę każda osoba ma jakąś swoją hauntologię – jakieś fragmentaryczne wspomnienia, czasem mieszające fakty z wyobrażeniami, często trochę straszne. W pewnym zakresie te hauntologie czy duchologie są nie tylko osobiste, ale też pokoleniowe. Inny zestaw tego typu wspomnień mają osoby z roczników wczesnych lat 80., inny – „dzieci neo”.

Czyli miejską legendę o porywającej dzieci czarnej wołdze możemy śmiało traktować jako zbiorową hauntologię? Moją, z racji wieku, jest raczej postać Buki z rysunkowych Muminków. Na jakie przykłady strasznych bądź niepokojących hauntologii natknąłeś się w czasie swoich „badań”?

– Legendy miejskie i hauntologia mają dużo wspólnego i czarna wołga jest tego dobrym przykładem. Tych legend było zresztą znacznie więcej – sam w dzieciństwie często słyszałem opowieści o tym, że zmywalne tatuaże mogą zawierać narkotyki. A „Muminki” to również moja osobista hauntologia, choć bardziej niż Buka niepokoił mnie Hatifnatowie – byli oni bardzo dziwni i w ogóle nie wiadomo, o co im chodziło.

– W prowadzonej przeze mnie Facebookowej grupie, „Jak będzie w Polonii 1?”, członkowie często wyciągają z pamięci takie wspomnienia. Okazuje się, że te dziecięce strachy odnajdziemy w takich rzeczach, jak chociażby teledysk do utworu „Cichosza” Grzegorza Turnaua, programy z Zulu Gulą czy nawet piosenki Fasolek.

Bardzo często takie wspomnienie to jakiś drobny fragment, jedna krótka scena, której pochodzenia nawet nie jesteśmy w stanie sobie przypomnieć.

Kilka lat temu furorę na polskim YouTube zrobiła seria Kraina Grzybów, która żywcem przypominała programy dla dzieci z polskiej telewizji lat 80. i 90., ale w bardziej „demonicznym” wydaniu. Co sądzisz o takim „objawie” hauntologii?

– Kraina Grzybów w momencie swojego powstawania była projektem, który wprowadził hauntologię do polskiego mainstreamu, choć warto zaznaczyć, że prawdopodobnie większość odbiorców tej serii, a były ich przecież miliony, nigdy z pojęciem hauntologii się nie spotkała. Można powiedzieć, że Kraina Grzybów weszła wręcz do potocznego słownika jako intuicyjny sposób na określenie zjawisk z pogranicza hauntologii. Sukces tego projektu wynikał, moim zdaniem, z przynajmniej dwóch powodów.

– Pierwszym z nich była wyrazistość konwencji – właściwie od początku było wiadomo, że mamy tu do czynienia z daleką idąco stylizacją, ale jednak taką, która w przerysowany sposób odwoływała się do naszych zamglonych wspomnień z dzieciństwa: dziwnych programów z telewizji regionalnych czy niskobudżetowych filmów dystrybuowanych tylko na kasetach VHS. Drugim źródłem sukcesu było wciągnięcie odbiorców w grę odgadywania znaczeń, zaangażowanie ich w próbę odszyfrowania „przekazu” z Krainy. Dodatkowo to wszystko było podszyte niepokojem, wręcz lekko demonicznym dreszczykiem. To wszystko razem robiło wrażenie.

Czyli tęsknimy za tym, czego się baliśmy? Myślisz, że to bardziej kwestia pokoleniowa czy narodowa?

– Nie wiem, czy to do końca tęsknota. Może raczej chęć ponownego skonfrontowania się z tym strachem? Wtedy możliwości są dwie: albo okaże się, że po latach to coś przestaje na nas robić jakiegokolwiek wrażenie, albo wciąż będziemy czuć podskórny niepokój. W każdym wypadku odnalezienie takiego frapującego fragmentu z przeszłości na pewno sprawia jakąś przyjemność, jest jak podrapanie swędzącego mózgu.

– Nie wnikałbym tu za bardzo w wątek narodowościowy, bo każdy naród ma swoją hauntologię. Nasza jest może specyficzna z racji nie tak odległej transformacji ustrojowej, ale bardzo podobne zjawiska odnajdziemy w innych krajach ze wschodniej strony dawnej żelaznej kurtyny. W Niemczech mamy na przykład ostalgię – nostalgia za NRD. Czy ostalgia jest hauntologiczna? Pewnie tak, bo z jednej strony zawiera w sobie tęsknotę za nigdy nieukończonym projektem socjalistycznego społeczeństwa, z drugiej z pewnością nie brak w niej niepokojących wątków.

– Z tymi pokoleniami coś jednak na rzeczy. Na pewno nie jest tak, że przynależnością do danego pokolenia można wytłumaczyć wszystko – często od urodzenia w danym roku ważniejsze są różnice klasowe, czyli mówiąc wprost: w jakim domu się urodziłeś. Wydaje się jednak, że przedstawiciele różnych pokoleń wspominają swoje dzieciństwo przez pryzmat innych spraw. Osoby urodzone w czasach głębokiego PRL-u bardzo często przejawiają w internecie postawę, którą ironicznie określa się jako „kiedyś to było”, czyli bardzo pozytywnie i jednocześnie trochę bezrefleksyjnie wspominają takie elementy ich dawnej rzeczywistości, jak na przykład zabawa na placach budowy.

– Z kolei ludzie urodzeni w latach 80. i 90. raczej spoglądają na swoją przeszłość w kontekście zglobalizowanej konsumpcji i popkultury: tego, co leciało w telewizji czy żetonów dodawanych do paczek chipsów. Bardzo ciekawa w tym wszystkim jest rola internetu – traktujemy je jak gigantyczne archiwum, gdzie ostatecznie ląduje prawie wszystko, nawet kulturowe „śmieci”: bloki reklamowe sprzed lat, zapomniane audycje radiowe, skany starych sklepowych katalogów. Przeszłość się rozrasta, a ta upragniona przyszłość jakby nie chciała nadejść. Nic dziwnego, że łatwiej nam spoglądać za siebie.

Pogdybajmy – jaka byłaby wymarzona duchologiczna przyszłość Polski?

Czy przypominałaby ona Polskę A.D 2003 bez upadku „komuny”, którą widzieliśmy w netfliksowym serialu „1983”?

– Nie sądzę, byśmy zbiorowo tęsknili za wszechobecnymi służbami, które widzieliśmy w serialu Holland. Chodzi raczej o proste udogodnienia, które nie przetrwały

w warunkach rynkowej rzeczywistości. Mam tu na myśli chociażby gabinety dentystyczne w szkołach, wczasy pracownicze czy bloki mieszkalne, między którymi jest na tyle dużo przestrzeni, że mogą tam rosnąć drzewa. Ten ostatni wątek jest zresztą chyba najczęściej poruszany: w dobie drapieżnych deweloperów tęsknimy za próbami „stworzenia architektury skierowanej na dobrostan człowieka”, jak określił to jeden z użytkowników mojej grupy.

– Wymarzoną duchologiczną przyszłością Polski byłaby więc jakaś forma państwa opiekuńczego. Z drugiej strony, opowieść rodem z czasów transformacji, o nieskończonych możliwościach przedsiębiorczości w gospodarce wolnorynkowej, dziś też jawi się jako hauntologia. Polska wczesnych lat 90. obrosła mitem miejsca, w którym wystarczało trochę sprytu, odwagi i być może cwaniactwa, by osiągać wielkie rzeczy. Teraz trochę brakuje nam jakiejś wielkiej opowieści o przyszłości – jako Polki i Polacy nie odnajdujemy jej ani w projekcie państwa opiekuńczego, ani w wizji wolnego rynku wielkich możliwości. Te emocje związane z przyszłością wydają się być zagospodarowane przez dwie możliwości – albo narodowe „wstawanie z kolan”, albo wiarę w projekt europejski. Warto pamiętać, że statystycznie jesteśmy jednymi z najgorętszych zwolenników integracji w całej Unii Europejskiej.

Myślisz, że to właśnie przez pryzmat „wielkich opowieści” okres PRL-u wspomina się nad Wisłą tak ciepło? Czy też zauważyłeś, że w sieci nie brakuje głosów wyrażających tęsknotę za minionym ustrojem, tyle że... wyrażonych przez osoby, które go w ogóle nie pamiętają?

– Współczesne narracje o okresie PRL są zróżnicowane. Jedną z dominujących opowieści na ten temat kształtuje szkoła, gdzie Polska Ludowa przedstawiana jest jednoznacznie negatywnie. Po raz pierwszy w trakcie swojej formalnej edukacji bardziej wyważone rozważania, biorące pod uwagę tak rozliczne winy, jak i osiągnięcia tego okresu, usłyszałem dopiero na studiach – i to tylko dlatego, że na kulturoznawstwie mieliśmy kurs poświęcony historii Polski. Edukacja w szkole oraz oficjalna polityka historyczna zaowocowała chociażby popularnością mitu żół-

nierzy wyklętych, swego rodzaju „antykomunistycznego rycerstwa”, ale to raczej temat na inną rozmowę.

– Co jednak z tym sentymentem wobec PRL, który można zaobserwować u części młodych osób? Po pierwsze, często jest to tylko sentyment estetyczny, taka Reynoldsowska retromania – a co jak co, ale dokonania designu tamtej epoki mogą się podobać. Po drugie – w dobie tak zwanych elastycznych form zatrudnienia i ogólnie pojętej niepewności, tak w skali Polski, jak i całego świata, wizja pewnego bezpieczeństwa i zapewnionego minimum może być bardzo kusząca. Tęsknimy za stabilnością, nie dostrzegamy jej w przyszłości.

– Mimo to sądzę, że odsetek młodzieży spoglądającej z tęsknotą na PRL jest stosunkowo niewielki. Mnóstwo osób lokuje za to swój „złoty wiek” w latach 90., często już zresztą pamiętanych dosyć mgliście, kiedy może i było biedniej, ale za to wszystko było prostsze.

Masz coś za czym osobiście tęsknisz najbardziej? Pytam zarówno o perspektywę „dziecka lat 90.”, jak i „duchologa” z prawdziwego zdarzenia.

– To może trochę zabawna deklaracja w wypadku osoby, która nostalgią próbuje się zajmować, ale osobiście niespecjalnie tęsknię za przeszłością. Biorąc pod uwagę różne konteksty – ekonomiczne czy społeczne – znajdujemy się dziś w znacznie lepszej sytuacji. Z drugiej strony muszę przyznać, że z pewnym rozrzewnieniem wspominam pionierski okres informatyzacji. Pionierski z mojej perspektywy, bo nigdy nie załapałem się na popularność Commodore czy Amigi. Mam tu raczej na myśli kopiowanie od kolegi skrótu do gry na dyskietkę i zdziwienie, że „u mnie nie działa”, odkładanie niemałych pieniędzy na nagrywkę CD czy wreszcie tani, stały internet trafiający pod strzechy wraz z Neostradą. Było to wszystko bardzo prężne, ale miało swój urok przecierania nowych szlaków.

Wcześniej wspomniałeś, że internet pełni rolę duchologicznego archiwum. Zaśmieconego i nieuporządkowanego, ale jednak archiwum. Czego o Po-

lakach, możemy dowiedzieć się analizując dwie dekady internetu w kraju nad Wisłą?

– Nie sądzę, bym mógł stawiać tak rozciągnięte w czasie diagnozy, ale z pewnością mogę wysnuć pewną tezę dotyczącą Polaków w internecie teraz. Obecnie sieć łączy obecnie przedstawicieli wszystkich pokoleń – tyle że nie zawsze „łączy”, bo coraz częściej raczej uwypukla poważne różnice: w wrażliwości czy w sposobach komunikacji. Te pokoleniowe konfrontacje są szczególnie dobrze widoczne, jeśli dochodzi do dyskusji o pamięci i przeszłości. Podziały doskonale odzwierciedla folklor internetu – memy o Polakach-nosaczach mają przecież charakter nie tylko etniczny czy klasowy; są również swego rodzaju oskarżeniem wobec pokolenia naszych rodziców.

– Z drugiej strony starsze osoby wręcz rytualnie narzekają w sieci na te „bezsztosowo wychowane”, z których „wojsko zrobiłoby mężczyzn”. Narzekania na młodsze pokolenia są stare jak świat, ale to właśnie internet jako pierwsze medium w historii pozwala nam tak głęboko zanurzyć się w tym oceanie prywatnych opinii. Ponadto warto odnotować, że wspomnianie przeszłości w internecie często przekształca się w bezrefleksyjną wyliczankę „a pamiętacie...”, choć mam wrażenie, że ta tendencja nie jest zależna od wieku i dotyczy tak dzieci PRL-u, jak i lat 90.

Czy jest jakaś cezura, według której możemy określić czy coś jest „duchologiczne”, czy jeszcze na to miano nie zasługuje? Gadu-Gadu, Elastomania na lekcjach informatyki i skrzynki mailowe ze śmiesznymi domenami już się do tego kwalifikują?

– To pytanie uwidacznia, że rzeczywiście mamy pewien chaos pojęciowy w tej dziedzinie. W ujęciu Olgi Drendy „okres duchologiczny” to czas transformacji ustrojowej, tak mniej więcej do 1994 roku. Jeśli tak zdefiniujemy duchologię, to osoby urodzone w latach 90. właściwie żadnych duchologicznych wspomnień nie mają, przynajmniej nie bezpośrednio.

– Należy jednak pamiętać, że wiele osób używa określenia duchologia jako zamiennik hauntologii, a hauntologiczne przeżycie nie jest bezpośrednio związane

z jakąś konkretną epoką. Prawie wszystko to, co dzisiaj jest naszą codziennością, kiedyś – dla osób, które są teraz dziećmi – będzie hauntologiczne. Nocki zarwane na rozmowach na Gadu-Gadu czy rozgrywki w Icy Tower na lekcjach informatyki przeżywałem już dosyć świadomie, więc to raczej nie jest moja hauntologia – bo ona charakteryzuje się niedosłownością wspomnień, pewnym zamazaniem wspominanych obrazów, dźwięków i uczuć. Dla mnie hauntologiczne są na przykład odpusty organizowane pod kościołami czy «Domowe przedszkole».

– Do tych wszystkich rzeczy, które wymieniałeś, dobrze pasuje wspomniane wcześniej określenie „dzieci neo”. Niegdyś było ono obraźliwe – bo dotyczyło tych, którzy w internecie nie potrafili się zachować. A jednak wzięliśmy je sobie na pokoleniowe sztandary, bo świetnie oddaje ono pewien zestaw doświadczeń: wybuch dostępności komputerów i internetu, uczestnictwo w pierwszych serwisach społecznościowych, wszechobecne piractwo. Jako dzieci neo nie możemy pamiętać transformacji ustrojowej, ale wiele z nas doświadczało potransformacyjnych niedoborów lub, mówiąc wprost, biedy. Sprzęt elektroniczny – komputery, ale też odtwarzacze mp3 czy telefony komórkowe – stanowił wyznacznik statusu społecznego, a zarazem obszar, w którym goniliśmy pewne cywilizacyjne standardy.

– Często goniliśmy je „na przełaj” – kopiując cracki do pirackich gier czy ściągając całe strony internetowe, by móc je przeglądać offline. A jednak cały ten czas – z bardzo niewspółczesnymi już dziś rozwiązaniami – często wspominamy z pewnym rozrzewnieniem. Oczywiście łatwo popaść w pewne kombatanctwo na zasadzie: „wy macie Spotify, my ściągaliśmy jeden album przez kilka godzin”. Nie uważam, że „kiedyś to było”, za nic nie wróciłbym się do tamtych czasów i związanych z nimi konieczności, a jednak wspominam je bardzo miło. Może dlatego, że wówczas czułem, że łapiemy przyszłość za nogi?

Kilka dni temu na Facebooku poruszyłeś kwestię wczesnej cyfryzacji Polski. Twoim zdaniem nie zadbaliśmy o dobre uwiecznienie tego przełomowego momentu w dziejach kraju. Podałeś przykład kafejek internetowych –

miejsz, które wyrastały jak grzyby po deszczu i właściwie już bezpowrotnie zniknęły. Czy to jedyne, co przepadło? Czy już powinniśmy myśleć o tym, co „zachować” z lat 2010-2020?

– Problem polega na tym, że strasznie ciężko przewidzieć, co warto archiwizować. Nie archiwizuje się przecież tego, co oczywiste, a później, nie wiedzieć kiedy, ta oczywistość znika nam z pola widzenia. Estetyka kawiarenek internetowych to dobry przykład czegoś utraconego. Takie ciche utraty właściwie odbywają się nieustannie – przykład pierwszy z brzegu: strony z kolorowych czasopism wypełnione reklamami tapet i aplikacji na komórkę. Technologia się zmienia i takie reklamy przestały mieć rację bytu. Utraciliśmy, wprowadzicie czysto komercyjny i bardzo prząśny, element naszej wizualnej rzeczywistości.

– Naprawdę ciężko wskazać, co z naszego „tu i teraz” warto byłoby zarchiwizować. Może estetykę wnętrz pubów z piwami kraftowymi? Może ostatnie zachowane kioski z prasą? To tylko strzały, bo nikt nie jest prorokiem we własnych czasach.

– Wydawałoby się, że problem archiwizacji rozwiązuje internet – chociażby z racji gigantycznej liczby fotografii, jaką umieszczamy codziennie w mediach społecznościowych. Nie pokładałbym w internecie jednak aż tak wielkiej nadziei. Wiele osób cenzuruje swoje profile i po latach usuwa stare fotografie, które często wywołują w nas poczucie obciachu. Poza tym traktujemy internet tak, jak każdą inną przestrzeń i po prostu sprzątamy ją z tego, co uznajemy za śmieci. Wraz z usunięciem tych „śmieci” coś nam umyka, a przeszłość się kurczy.

– Z drugiej strony to właśnie internet zapewnił nam rozrost przeszłości – nagranie zachowane cudem na jednej kasie może trafić do milionów odbiorców na całym świecie dzięki YouTube. To zresztą zabawny paradoks: w internecie chętniej archiwizujemy to, co powstało na użytek innych mediów, np. winyle, programy telewizyjne itp., niż to, co powstało w łonie samego internetu.

Czyli katalog na dysku twardym z najśmieszniejszymi dziś memami i hitami YouTube’a pokroju kultowych „Ale urwał”, „Kaskadera

z Kauflandu" i remiksami przemówienia Zbigniewa Stonogi nie jest takim głupim pomysłem?

– Popuśćmy wodze fantazji i wyobraźmy sobie, jak desperacko wyglądałyby próby odzyskania fragmentów kultury internetu po jakiejś gigantycznej awarii! A mówiąc poważniej: kwestia materialnych nośników pamięci, w dosłownym tego słowa znaczeniu, to poważny problem. Ile z tych zdjęć, które zrobiliśmy sobie i swoim bliskim, a które trzymamy na dyskach twardych lub jakichś serwerach, zobaczą nasze prawnuki?

– Tak naprawdę znajdujemy się we wciąż nowej sytuacji dziejowej, w której to nie papier stanowi główny sposób archiwizowania rzeczywistości. Dla wielu nieco starszych osób z mojego otoczenia cyfrowe zdjęcie nie przedstawia żadnej wartości – nabiera jej dopiero wtedy, jeśli się je wydrukuje. I kto wie, być może mają rację.

Uczucia wywołane różnymi „formami” nostalgii wywołują przyjemne mrowienie. Na początku wspomniałeś o retromanii, która poprzez „odgrzewanie” dzieł kultury próbuje przekuć tęsknotę za przeszłością w zysk. Czy zjawiska, o których mówimy da się wykorzystać również do realizacji innych celów?

– Można się zastanawiać nad tym, jakie jest polityczne znaczenie nostalgii – i to po wszystkich stronach politycznych barykad. Po lewej stronie wciąż żywa jest dyskusja, na ile i czy w ogóle powinno się rekonstruować lewicową estetykę sprzed kilkudziesięciu lat, która często bywa oskarżana o niewspółczesność i zniechęcanie potencjalnych wyborców. Nostalgia częściej jest chyba jednak kojarzona z prawicą – chociażby z racji konserwatywnej tęsknoty za minionym porządkiem rzeczy. Niektórzy upatrują źródło sukcesu wyborczego Donalda Trumpa w jego wizerunku wyciągniętym wprost z lat osiemdziesiątych.

– Abstrahując jednak od polityki – skąd w kulturze taka skłonność do powtarzania pewnych motywów? Umberto Eco pisał o „przyjemności powtórzeń” jako jednej z głównej radości, jaką dostarcza nam popkultura. Dziś napędza ona potężną

część przemysłu popkulturowego – superbohaterskie uniwersa, wielosezonowe seriale czy wszelakie rebooty, remaki i sequele. Wszyscy jesteśmy inżynierami Mamoniami z „Rejsu” – podoba nam się to, co już gdzieś widzieliśmy. Rozpoznanie nawiązania do poprzedniej części jakiejś serii sprawia nam frajdę, wręcz łaskocze po mózgach. I takie łaskotki po prostu dobrze się sprzedają. Jak widać, w rozmowie o popkulturze nie da się uciec od mówienia o kapitalizmie i zyskach.

To kiedy nostalgia przekracza Rubikon i staje się niebezpieczna?

– Odpowiem krótko i bardzo osobiście: wtedy, kiedy staje się programem politycznym, nakazującym ludziom, by żyli „jak dawniej” wbrew własnym przekonaniom i potrzebom.



„Jak spotykasz człowieka, który przeżył Holokaust, to każde twoje pytanie jest naiwne”

– mówi Remigiusz Ryziński, filozof i kulturoznawca

| Piotr Kamionka Reporter

Remigiusz Ryziński: Nie ma jednego scenariusza na życie

Monika Szubrycht

– Łatwej nam operować na mitach, niż na indywidualnej prawdzie. Mit to prawda zbiorowa, którą można przykładać do różnych sytuacji i się w nich odnajdywać. Natomiast jeżeli zaczynasz analizować każdy czyn indywidualnego człowieka, każdą prawdę, robi się trudniej. Uważam, że należy podejmować takie wyzwanie – mówi Remigiusz Ryziński o swojej najnowszej książce pt. „Dziwniejsza historia”.

MONIKA SZUBRYCHT, STYL.PL: „Jeśli jakiegoś życia nie traktuje się jako życia, albo od samego początku nie daje się go pomyśleć w ramach pewnej epistemologii, to ani nie jest ono przeżywane, ani nie bywa utracone, w pełnym tych słów znaczeniu” – to cytata z Judith Butler, który przywołujesz w swojej książce. Nieprzeżywane ani nieutracone – czyli jakie?

REMIGIUSZ RYZIŃSKI: Niebyłe. Jeżeli nie uznasz, że życie jakiegoś człowieka ma wartość, to on tego życia nie żyje. Nie przeżył życia, więc go nie było. Swoim studentom czytałem „Ramy wojny” Judith Butler i pomyślałem, że ten fragment w kontekście mojej książki jest po prostu czystą prawdą. Jeżeli dla kogoś, na przykład Żydzi, nie są ludźmi, to z tej perspektywy ich życie i utrata tego życia nie ma znaczenia. Wielkim grzechem jest nie uznanie wartości drugiego człowieka i jego życia.

– To samo dotyczy środowiska LGBT i wszystkich innych mniejszości, które są wykluczane. W moim przekonaniu każdy człowiek ma taką samą wartość i jednocześnie każdy jest inny. Wartością nadrzędną jest człowiek jako taki. Poza tym każdego człowieka trzeba postrzegać indywidualnie. Uczę etyki i często ze studentami rozważamy bardzo trudne kwestie – dziejowej niesprawiedliwości, zabójstw, aborcji czy pedofilii. Pojawiają się pytania: „jak możesz wybaczyć? Jak zrozumieć Holokaust?”.

Można zrozumieć?

– Próba zrozumienia Holokaustu nie może się powieść. Mogę zrozumieć przestanki, dlaczego to się stało, ale sensu Zagłady nie jestem w stanie zrozumieć. Podobnie jak poziomemu okrucieństwu pedofilii. Mogę zrozumieć mechanizm, ale nie dostrzegam w tym sensu. Każdy człowiek napotyka w życiu kwestie fundamentalne, z którymi sobie nie radzi. Moim fundamentem jest maksyma, że człowiek jest najważniejszy, to nie podlega ocenie. Ocenie podlegają natomiast jego czyny. Każdy czyn przekraczający prawo ma swój paragraf. Po to jest prawo, które musi być obiektywne i dotyczyć wszystkich ludzi po równo.

– Jeżeli sądzisz czyn, a nie człowieka, jest trochę łatwiej. Nie możesz mówić: oko za oko, ząb za ząb. Nie możesz mylić sprawiedliwości z zemstą. Nikt nie chciałby się przekonać, jak to jest trudne, ale dla mnie stanowi wyznacznik prawości życia – sądzę czyn, nie człowieka. Mnie akurat człowiek interesuje i uważam, że nie ma jednego scenariusza na życie.

Napisałeś książkę o ludziach, ale recenzenci będą mówić, że jest ona o gejach, Żydach i starcach.

– Każdy ma prawo mówić o tej książce co chce. Chciałbym tylko, by pamiętali, że moimi bohaterami są prawdziwi ludzie, z prawdziwymi losami i doświadczeniami.

Dlaczego ludziom potrzebne są etykiety?

– Taka jest naturalna potrzeba człowieka, by rzeczywistość mitologizować. Łatwiej nam, w jakimś sensie, operować na mitach, niż na indywidualnej prawdzie. Mit to prawda zbiorowa, którą można przykładać do różnych sytuacji i się w nich odnajdywać. Natomiast jeżeli zaczynasz analizować każdy czyn indywidualnego człowieka, każdą prawdę, robi się trudniej. Uważam, że należy podejmować takie wyzwanie.

– Moich bohaterów łączy wykluczenie i lęk, chociaż każdy z nich jest inny, mają też tę cechę wspólną. Na przykład główni bohaterowie – Michał i Hubert – są mężczyznami i gejami, ale jeden jest Polakiem, a drugi Żydem, w związku z czym ich losy wyglądają inaczej. „Dziwniejsza historia” to książka o problemie wykluczenia, o niesprawiedliwości uprzedzeń wobec na przykład osób nieheteronormatywnych, Żydów czy kobiet. Można powiedzieć, że jej tematem zbiorczym jest analiza wykluczeń w naszej historii.

– Wybrałem mówienie o tym temacie przez pryzmat indywidualnych losów. Każda z tych opowieści jest dziwniejsza od innej, stąd tytuł. Dziwniejsza, a z drugiej strony zupełnie normalna, zwyczajna. Miałem wyjątkowe szczęście znaleźć takich bohaterów, książka pisała się sama. Masz Huberta, który opowiada ci o przedwojennej Warszawie, dziś zupełnie zapomnianej, albo masz Michała, który mówi

o ukrywaniu się w kopcu ziemniaków. Myślisz sobie: „Co to znaczy ukrywać się w kopcu ziemniaków?”. Każdy z nas wie, że Żydzi w czasie wojny ukrywali się, jak mieli szczęście i taką możliwość, za szafą, w piwnicy, za piecem czy w kopcu ziemniaków, ale na zdrowy rozum to jest niepojęte. Wciśnij się za szafę, nie oddychaj głośno, nie ruszaj się, nie jedz...

– Z tym pytaniem przyszedłem do Michała, którego losy były niezwykle dramatyczne. Poradził sobie, ale przez to, co go spotkało jest człowiekiem skomplikowanym. Ma dobrą wolę, chce z tobą rozmawiać, ale jednocześnie jest na przykład wybuchowy. Irytuje go głupie, naiwne pytania. Ale jak spotykasz człowieka, który przeżył Holokaust, to każde twoje pytanie jest naiwne. Gdy poszedłem do niego i zapytałem, co to jest kopiec ziemniaków, bo u mnie w domu mama trzymała ziemniaki w piwnicy, w takim właśnie kopczyku w rogu, zdenerwował się i powiedział: „Kopiec z ziemniaków to jest taka konstrukcja w ziemi” i te słowa są w książce. Więcej już nic nie musisz dodawać. To jest idealny moment spotkania wspaniałego bohatera, który ci pisze książkę.

Wszyscy twoi bohaterowie obdarzają cię niesamowitym zaufaniem. Jak do nich docierałeś?

– Miałem szczęście. Nie jestem dziennikarzem, nie mam jakiejś reporterskiej metody. Po prostu spotykam się z ludźmi i najzwyczajniej w świecie, do jakiegoś stopnia, zaprzyjaźniam się z nimi. Zwyczajnie z nimi rozmawiam, jestem ich ciekaw, jestem głodny tego, co mają mi do powiedzenia. Zapominam o sobie. Wyrażam się wtedy przez moją niewiedzę, w prostych pytaniach np.: „Jak zdobywaliście papierosy?”, „Co to znaczy, że można było wykupić człowieka?”. Dla słuchacza to jest głupie, bo on tam był, a dla mnie jest fascynujące. Mogę o tym przeczytać w książce, ale chcę usłyszeć od nich. Jestem spragniony ich wiedzy, ich życia, ich prawdy i tego, jak postrzegają świat.

– Nigdy ich nie oceniam. Kiedy ktoś donosił w PRL-u do SB, nie oceniam tego pod względem etycznym. Chcę poznać człowieka i jego motyw. W ogóle w życiu staram się kierować zasadą „niczego nie oczekuj, za wszystko bądź wdzięczny”.

Niekiedy przecież wydarzają się piękne rzeczy, a czasem okrutne i one też mają sens. Nawet za nie można być wdzięcznym.

Nie uważasz, że szczerść twoich bohaterów dotycząca na przykład sfery seksualności jest związana z ich wiekiem? Choć zabrzmiałoby to kuriozalnie, chroni ich metryka?

– Zapytałem o to Michała, człowieka, który jest naukowcem, guru badań literackich, postacią ogromnej wagi. W swoich relacjach był bardzo oszczędny, często opowiadając o rzeczach intymnych prosił, żeby tego w książce nie było. Oczywiście to uszanowałem, ale i tak to, co opowiedział wystarczyło mi do stworzenia postaci. W pewnym momencie powiedział mi: „Ale co ja mam do stracenia? Przyjdą i odbiorą mi emeryturę? Przez 20 lat było lepiej, teraz zrobiliśmy krok w tył”. To jest wielka odwaga. Widać tu mądrość wieku, heglowski duch nawracania historii. Koła historii miały ciągle to samo. Nie ma zdziwienia. Jest konstatacja. Tak było i będzie. Oni, po Holokauście, po powstaniu, po epoce stalinowskiej, mają właśnie taki stosunek do życia.

Przeżyli Holokaust i inne koszmary – wojnę, socjalizm, prześladowania. W książce są obrazy, kiedy bohaterowie bawią się doskonale, jednak mam wrażenie, że nawet te chwile podszyte są strachem. Nie można żyć bez lęku, gdy nie jest się takim, jak większość?

– Rzeczywiście, trochę czasy, które ich ukształtowały – niestety – naznaczyły ich stosunek do świata i do rzeczywistości. Nie da się ukrywać swojego żydowskiego pochodzenia przez 50 lat, a potem nawet gdy się wyjdzie z szafy, nie odczuwać, przynajmniej co jakiś czas, lęków. Lęki te zakorzenione są w nietolerancyjnym społeczeństwie, w którym wszyscy ci ludzie żyli i żyją. Strach nie jest ich winą, tylko konsekwencją ich doświadczeń. Hubert jest nieco inny, bo w pewnym momencie zrezygnował z tego lęku. W 1963 wyjechał do Paryża, żeby żyć pełnią życia, po swojemu, bez lęku.. Może teraz w mniejszym stopniu przejmują się tym, co ludzie powiedzą, ale i on ma pewne obawy.

– Wydaje mi się, że w naszych czasach również doświadczamy momentów, w których boimy się oceny. Wszyscy próbujemy zasłużyć na lajki, być lubiani, kochani i doceniani, a jednocześnie boimy się oceny negatywnej i kreujemy swoją zewnętrżność według naszych wyobrażeń o tym, czego ludzie i świat potrzebują, jak chcą nas widzieć.

„Homoseksualizm jest dewiacją i choćbyście nie wiem co pisali, nic tego nie zmieni. Ja cieszę się, że żyję w Polsce, a tu jeszcze długo będziecie marginesem” – to komentarz jednego z internautów do twojej książki, która jeszcze się nie ukazała. Nie tracisz wiary w to, że o pewnych rzeczach warto pisać?

– Pierwszą rzeczą, jaką nauczyłem się, odkąd wyszedłem z pisaniem do ludzi jest to, że nigdy nie czytam żadnych komentarzy, żadnych recenzji – obojętnie czy pozytywnych, czy negatywnych. Moim zadaniem jest napisać książkę. Ocena nie zależy ode mnie. Pozostawiam to innym ludziom i staram się w to nie ingerować, co mnie ratuje i myślę, że w dużej mierze pisanie w ogóle umożliwia. Co mógłbym tej osobie odpowiedzieć? Nie znam jej, nie znam jej historii, może to jest człowiek, który ma traumatyczne doświadczenia, może nie ma pracy, albo opiekuję się chora matką? Może nikt go nie kocha? Nie jestem w stanie polemizować z osobą, która jest dla mnie wyłącznie tym zdaniem. Mogę polemizować ze zdaniem.

– Ja nie uważam, że miłość jest dewiacją ani marginesem, nie uważam, że jest prawem większości czy wybranej grupy. Miłość, seks, cielesność nie są elementami zarezerwowanymi dla jakiejś grupy, a dla innej już nie, dla jakiejś wybranej „rasy panującej”. To są słowa znane wcześniej z historii, zdewaluowane, nieuprawnione.

Znane z historii – tak, obawiam się jednak, że nie zdewaluowane.

– I to jest smutne. W zdaniu, że jeszcze długo będziecie marginesem, jest jednak trochę nadziei, że za jakiś czas nie będziemy. Nie da się zwalczyć rzeczywistości, choć można na nią zamknąć oczy, ale to i tak nie zmieni biegu historii. Jeżeli ktoś stoi na stanowisku, że np. homoseksualistów, czy Żydów – czy w ogóle jakiegokolwiek czło-

wieka – należy wsadzić do pieca i spalić – na to zgody nie ma, dlatego tak ważne jest stanowienie prawa.

– W jednym ze stanów Australii wprowadzono drakońskie prawo, które mówi, że nienawiść wyrażana w czynach czy gestach wobec jakiegokolwiek mniejszości, skutkuje bardzo wysoką karą finansową i trzyletnim więzieniem. Nawet ja sobie pomyślałem: „aż tyle?”. Jeśli jednak przemyślisz sprawę negowania wartości drugiego człowieka, to prawo jest odpowiednie. Gdy widzę ludzi skandujących hasła o śmierci, to czuję wobec nich lęk. Wyjść ze sztandarem mówiącym o śmierci – to jest wielki wstyd. Jak można uznawać, że to ma jakąkolwiek wartość pozytywną?

Według Tischnera dialog jest wtedy, kiedy każda ze stron uznaje dwie zasady: pierwsza – ja częściowo nie mam racji, a druga – mój rozmówca ma częściowo rację. Może nas Polaków trzeba najpierw nauczyć rozmawiać, a potem poruszać ważne tematy?

– To wymaga wielu lat pracy i edukacji, co widać na przykładzie krajów skandynawskich. Tam, pewnych rzeczy po prostu nie wypada powiedzieć. To jest po prostu obciach. Nie wypada myśleć, że ktoś jest gorszy, bo jest biedny, albo ma inny kolor skóry, czy jest kobietą. Język, którym się posługujemy jest efektem szkół, z których pochodzimy, gdzie nie uczy się empatii, rozpoznawania emocji, różnorodności i szacunku.

– Dlatego uważam, że należałoby zmienić edukację: uczyć tego, że jesteś dobry taki, jaki jesteś, uczyć empatii i zrozumienia dla drugiego człowieka, ciekawości w stosunku do niego, nie uprzedzeń. Wyobrażasz sobie lekcje z emocji? Gdzie można by nauczyć dziecko, że ma prawo do lęku? Złości? I jak sobie z tym radzić, jak tych negatywnych emocji nie eskalować, tylko niwelować, jak je rozumieć. Kształcono by zdrowe społeczeństwo.

Boisz się, jak książkę przyjmą twoi bohaterowie?

– Boję się, bo to są fantastyczni ludzie. Cenię ich i lubię. To są ludzie, którzy odchodzą, nie chcę, żeby żałowali, że ze mną rozmawiali. Szanuję ich.

Wśród nich na pierwszym planie jest Hubert. Lubisz go najbardziej? Widać, że jego postać w książce dominuje.

– Najbliżej jestem z Hubertem. Jesteśmy przyjaciółmi. Mówi o sobie: „twój dziadek”. Piszemy z sobą codziennie, czasem po kilka maili. Bywam u niego w Paryżu, widujemy się w Warszawie. Wie, gdzie teraz jestem, a ja wiem, gdzie on jest. Lubię Lullę, który jest niesamowicie pozytywnym, wesołym, bezinteresownie dobrym człowiekiem. Cenię Michała za wiedzę, ale też strasznie szanuję go za siłę i godność, z jaką to wszystko zniósł. Lubię panie – Romę, która tak bardzo uwierzyła w przemianę '89 roku i tak bardzo się zawiodła. Myślała, że po '89 roku wszystko będzie normalnie, że będzie mogła się ożenić, mieć dzieci, rodzinę. Kochać i zwyczajnie chodzić za rękę z kimś, kogo kocha. Zwróć uwagę, jaki jest poziom tych pragnień – chodzić z ukochaną osobą za rękę.

– Cenię Krysię, która obok Michała jest najbardziej doświadczoną przez los osobą. Jest przynajmniej na trzech poziomach wykluczona – jest Żydówką, kobietą i jest nieheteronormatywna. Myślę, że to bardzo skomplikowana postać. Jestem jej ogromnie wdzięczny, że przez chwilę dopuściła mnie do swojego życia. Czuję wdzięczność wobec Jurka, który przyjmował mnie w domu, był otwarty. Poświęcił mi wiele godzin, choć ma tak słaby wzrok, że prawie mnie nie widział i nie słyszał, bo ma też kłopoty ze słuchem. Wspaniały człowiek. Jego fantastyczny partner Zbyszek pilnował, żebym wychodził do kuchni, kiedy Jurek był zmęczony i potrzebował odpocząć. Jest też człowiek, którego nazywam „O” – niesamowicie skomplikowany. Mimo swoich doświadczeń i bycia gejem ma prawicowe poglądy. Fascynuje mnie jego niejednoznaczność.

Twoja książka ocala prawdę. Za chwilę nie będzie bohaterów „Dziwniejszej historii”. Oprócz faktów i wspomnień zachowałeś też specyficzny język. Mam wrażenie, że narracja jest spójna z językiem rozmówców. Dopasowuje się doborem słów i konstrukcją zdań.

– Nie mam jakiejś metodologii pisania, nie myślę: „teraz napiszę piękne zdanie”.

**Chodziło mi o bardziej o twoją elastyczność – jak w filmie Woody’ego Al-
lena „Zelig” – gdzie bohater przejmuje cechy swoich rozmówców, tak ty
potrafisz mówić ich językiem. Nie ma komentatora i głównych postaci, jest
jedność.**

– W dużej mierze jest to zasługa moich bohaterów. Mają fantastyczny język. Mi-
chał, Hubert, Roma czy Jurek z Podkowy mają specyficzny język, którym oddają
swoje niesamowite historie. Wystarczyło słuchać. Jest taki fragment, gdzie cytuję
nekrologi z gazety. To są wspaniałe teksty, jak choćby ten Lulli: „Byłeś moim Don
Kichotem. Nie zostawia się giermka samego”. Nie wymyśliłbym tego.

– W moim pisaniu naprawdę nie chodzi o mnie, żeby siebie pokazać, czy zapre-
zentować niesamowite zdolności językowe. W moim pisaniu jest autentyczna, bar-
dzo mocna chęć stworzenia świata i oddania go ludziom. Wyjątkową i luksusową
sytuacją jest, jeżeli inni chcą to czytać. Nie mam misji w pisaniu, żeby komentować,
czy zmieniać świat. Interesuje mnie to, co jest i jakie jest.

– Stworzenie świata to zamienienie go na słowa, nazwanie go, ale nie defi-
niowanie czy tworzenie adekwatnych pojęć i terminów. Dla mnie nieadekwatne,
koślawe wyrażenia czy zdania, albo potknięcia językowe są po prostu bezcenne.
Wyobrażenia o rzeczywistości, język tej opowieści nie są przeze mnie wymyślone.
Są nadmierne i jednocześnie autentyczne. Jako pisarz non-fiction, muszę mieć
kontrolę nad prawdą obiektywną, ale absolutnie nie modyfikuję słów swojego
rozmówcy. Uważam, że to jest bezcenne, bo za chwilę ich już nie będzie i ten język
zniknie.



„Byłem mięciutki i skory do rozczulania się nad sobą czy też kontemplowania własnego losu”

– mówi Łukasz Orbitowski

| Paweł Wrzecion MWMEDIA

Łukasz Orbitowski: Dzieciństwo to piekło, a ja jestem jego strażnikiem

Adam Wieczorek

– Nienawidziłem bycia dzieckiem. Marzyłem o tym, żeby być dorosłym, że dostanę klucz od domu, pewnego dnia będę mieszkał sam, że będę robił sobie sam zakupy. Odkąd uświadomiłem sobie, że jestem dzieckiem, to ze wszystkich sił próbowałem przestać nim być – mówi Łukasz Orbitowski.

ADAM WIECZOREK, INTERIA: „Tracę Ciepło” doczekało się właśnie nowego wydania. Ile to już lat minęło?

ŁUKASZ ORBITOWSKI: Od napisania minęło 14 lat, a wyszło po raz pierwszy 11 lat temu. To jest kawał czasu.

Napisałbyś to jeszcze raz tak samo?

– Nie umiałbym tego w ogóle napisać. Gdyby ktoś mi kazał napisać taką książkę, byłbym bezradny. Siadłbym, zaczął kombinować, komponować, układać. Starabym się ciąć wątki. A siłą tej książki jest pewien rozmach i nadmiar. To była gówniarzeria, buńczuczność i kompletny brak obciachu. Tu anioł, który je dzieci, tam wioska, która znika. W środku wrzucona opowieść z innego świata, bo coś mi się przypomniało i wszedł jakiś nazista.

Rozmawiamy na krakowskim Kazimierzu. Akcja książki toczyła się dosłownie za rogiem.

– Akcja działa się rzeczywiście tutaj, w miejscu gdzie był punkt przesiedleńczy, gdzie zganiano Żydów z Kazimierza i przygotowywano do przenosin do obozu w Płaszowie. Z kolei tu gdzie siedzimy, czyli na Placu Wolnica, była taka studzienka, a chyba nawet dalej jest. Było tam przedsiębiorstwo, w którym chłopcy myli zaparkowane samochody. Mieli wiaderko, gąbkę i gwoździa. Gwóźdź szedł w ruch, gdy ktoś odmówił skorzystania z wiaderka i gąbki. Musieli komuś zajść za skórę, bo ktoś tę studzienkę zepsuł. Wyłamał kran. Masz pojęcie, jaki to jest wysiłek, żeby złamać zeliwo? Marzyłem, żeby tam pracować, ale to nie było dla mnie.

„Tracę Ciepło” nazywana jest książką o transformacji, ale ja mam wrażenie, że chciałeś wyrzucić z siebie pewną historię.

– Oczywiście, ale takie rzeczy dzieją się mimochodem. Nie umiałbym z nastawienia napisać książki o przemianie, polskim kapitalizmie, socjalizmie, albo o polityce. Jeżeli piszesz powieść gatunkową, a w tym wypadku był to powiedzmy horror, starasz się uwiarygodnić siebie przez znajomość realiów. Zwłaszcza, gdy piszesz o duchach,

żeby czytelnik ci uwierzył musisz się przyłożyć. I tutaj to zadziałało. Nie miałem pojęcia co robię na bardzo wielu poziomach. Nie wiedziałem, że uchwycę moment przełomu. Myślałem o przełomie, ale zupełnie innym. O własnym wchodzeniu w młodość, w seksualność, w zarobkowość. Moim. Na jego tle dokonywał się przełom całego kraju. Pisałem to w 2004 roku, gdy Kazimierz szedł do przodu, ale jeszcze nie był tą ekskluzywną dzielnicą, którą jest teraz. Wtedy tu jeszcze mieszkali ludzie, a teraz już nie. Ja tego też nie wiedziałem. Chciałem pisać o duchach, chłopakach, dziewczynach, o bójkach. Reszta wyszła sama. Każda książka dzieje się w jakiejś chwili i ją chwyta. Jeśli piszesz dobrze i szczerze, uchwycisz ją dobrze.

Jakim byłeś wtedy człowiekiem? Gdyby ten Łukasz spojrzął na tamtego, co by zobaczył?

– Na niego patrzę trochę z pogardą i trochę z czułością. Byłem mięciutki i skory do rozczulania się nad sobą czy też kontemplowania własnego losu. Rozpaczliwie łaknąłem towarzystwa i akceptacji rówieśniczej, przyjaźni, miłości – również takiej romantycznej. Ścierał się we mnie niedopieszczony narcyz i wieczny romantyk. To się jakoś tak ładnie zgadza. Był tam też ogromny pęd do fantazji, żeby czytać, oglądać filmy, grać w gry, żeby się zanurzać. Teraz by mnie nazwali nerdem. Kiedy czytasz, grasz i marzysz, to nie masz ani kolegów, ani dziewczyn, bo masz marzenia. Marzy się w samotności. Byłem zagubiony, niezgułowaty, poszukujący określenia siebie. Wiedziałem, że jestem, ale nie wiedziałem kim jestem.

Teraz już wiesz?

– Myślę, że tak, ale mogę błędzić. Oczywiście, nie jesteśmy jednowymiarowi i nie wyczerpujemy się w jednej definicji. Ani ja, ani ty, ani nikt inny. Jestem ojcem, partnerem, przyjacielem, artystą i synem. Tym ostatnim w znacznie mniejszym stopniu.

Ile z tego Łukasza z tamtych lat zostało w tobie?

– Nie umiem się do tego odnieść, ale najważniejsze rzeczy zostały. Stwardniałem, zrobiłem się trochę zgorzkniały, troszeczkę nadgryziony przez życie. Najważniej-

sza różnica jest taka, że kiedy jesteś dzieckiem, wydaje ci się, że możesz wszystko. Mnie raczej interesuje czy ja jeszcze coś mogę. Mam w sobie dużo dziecka, bo dwie najważniejsze rzeczy z tamtych lat zostały. Pierwsza to czystość w podejściu do relacji z ludźmi. Kiedy poznaję kogoś, od tej osoby najczęściej niczego nie chcę. Nie chcę, żeby mi coś załatwił czy ułatwił. Interesuje mnie ten człowiek, a nie korzyści, które za nim idą. Czystość serca została zachowana. Druga rzecz, to to, na czym zbudowałem swoje życie, czyli wiara w fantazję. Przecież wszystko co robię w wymiarze zawodowym to fantazjowanie. Fantazjuję pisząc książki, w jakiś sposób robiąc telewizję, w pracy przy scenariuszach podobnie. Wszystko się dzieje dzięki zawierzeniu, że życie nie ogranicza się do najbliższych rzeczy materialnych. To są tylko składniki opowieści i my ich oczywiście potrzebujemy żeby żyć.

Nie uważasz, że w twoich najnowszych książkach jest już mniej tej fantazji?

– To dalej jest fantazja i bajanie. Ja dalej wymyślam. Biorąc nawet prawdziwą historię opowiadam ją po swojemu. Strzelę teraz z grubej rury. Weźmy Homera. Była przecież jakaś wojna trojańska. Heinrich Schliemann odkrył ruiny Troi. Był jakiś Achilles, który się łączył z jakimś Hektorem. Homer to opowiedział po swojemu, dodając bogów, którzy zza kurtyny potrząsają polem bitwy. Taka jest też moja rola. Jestem dorosłym mężczyzną, który jedną nogą stoi w krainie dziecięcej wyobraźni. Ona jest zmieniona, bo nie ma tam baśni, jak w „Tracę Ciepło”. Ta część dziecka we mnie umarła, ale sama potrzeba snucia historii została i mam nadzieję, że nie umrze.

Powiedziałeś, że definiujesz się też jako ojciec. Czy widzisz w swoim synu tę wyobraźnię? Czerpiesz z niej?

– W moim życiu są dzieci. Ale nie umiem się w nie wczuć, czerpać z nich i myśleć dzieckiem. Zupełnie. Myślę, że raczej powinienem dawać przykład dorosłości. Chcąc nie chcąc, jestem wzorcem, z którego będą czerpały. To jest ciężar. Czasem trzeba nad tym pomyśleć. Zwłaszcza o tym, jak jestem odbierany, przede wszystkim w swoich słabościach.

– W dzisiejszych dzieciach nie widzę tej skłonności do fantazjowania, którą przejawiałem ja i moi koledzy. Myśmy dużo fantazjowali. Pisaliśmy opowiadania, opowiadaliśmy sobie filmy. Pamiętam, że opowiadaliśmy sobie „Gwiezdne Wojny” na podwórku. Jak starą legendę. A teraz tego nie ma. Światem dzieci rządzi gra i komentarz do niej, robiony przez youtuberów. Nie odkryłem tego, w jaki sposób gry wpływają na wyobraźnię. Nie ulega wątpliwości, że tak. Moją wyobraźnię ukształtowała przede wszystkim literatura. W drugim rzucie komiks. W trzecim film. W czwartym gra. Teraz jest dokładnie na odwrót. Najpierw gra, potem film, może komiks, który dla dzieci stracił rolę istotnego medium, a potem ewentualnie literatura. U współczesnych dzieci po prostu nie widzę efektów wyobraźni. Chodźmy patrząc na rysunki, które są odwzorowaniem innych rysunków, albo postaci z gier. Ja co prawda kopiowałem obrazy Matejki kredkami...

Masz je jeszcze?

– Może moja mama je trzyma. Wywaliłem całe swoje archiwum literackie. Wywalałem je wielokrotnie. Nie mam nic, młodzieńczych prób, listów itp. Na co komu rysunki z dzieciństwa? Po co to oglądać? Nie tęsknię za sobą sprzed pięciu, dziesięciu, trzydziestu lat. Za tym chyba najbardziej. Uważam, że największym nieszczęściem człowieka jest dzieciństwo. Nie ma nic gorszego niż bycie dzieckiem. Może starość jest gorsza, ale jej jeszcze nie doświadczyłem. Bycie dzieckiem to jest piekło na ziemi.

Dlaczego?

– Bo sam o sobie nie stanowisz. Dlatego, że wszyscy ci mówią, co masz robić. Jesteś zależny od innych. Nie możesz sam pójść do sklepu, bo cię nikt nie wypuści. Nawet jak pójdziesz, to nic nie kupisz, bo nie masz pieniędzy. To jest coś przerażającego. Nienawidziłem bycia dzieckiem. Marzyłem o tym, żeby być dorosłym, że dostanę klucze od domu, pewnego dnia będę mieszkał sam, że będę robił sobie sam zakupy. Odkąd uświadomiłem sobie, że jestem dzieckiem, to ze wszystkich sił próbowałem przestać nim być. To jest straszne. Dzieckiem był każdy, każdy musiał to odcierpieć. Zmarnowane piętnaście, jak nie więcej, lat życia.

Kiedy uświadomiłeś sobie ten koszmar?

– Patrzę na to z perspektywy czasu. Mam wrażenie, że stało się to dość wcześnie, w czasie lektury Muminków. Tę przygodę zacząłem od „Komety nad Doliną Muminków”. Tam jest historia, że bohaterowie idą w góry oglądać kometę, płyną jakąś łódką, wspinają się na zbocze wulkanu, walczą z Angosturą i dzieje się tam mnóstwo rzeczy. Ale na samym początku jest taki moment, gdy Muminek, który jest dzieckiem, mówi do mamy, że chce iść z Włóczykijem wysoko w góry obserwować kometę – wrócić za dwa tygodnie. A mama mówi: „Jasne, bawcie się dobrze, zrobię ci kanapki”. A mnie mama nie chciała puścić do babci, która mieszkała trzy przystanki dalej. Pomyślałem sobie, że coś jest nie tak. To można inaczej? To, że Muminek śpi sobie gdzie chce, to tak można? Potem zacząłem czytać powieści przygodowe Jacka Londona i Jamesa Curwooda. Miałem siedem lat. Myślałem wtedy tylko jedno. Chcę być wolny! Nie po to, żeby iść dokądkolwiek, ale po to, żeby móc stanowić o sobie samym.

– Pamiętam, że nienawidziłem szkoły. Ale nie dlatego, że chciałem palić papierosy, tylko chciałem czytać książki, a szkoła mi w tym przeszkadzała. Rób to, nie rób tamtego. Oczywiście takie jest życie. My musimy ograniczać dzieci. Na tym polega wychowanie, że mówisz, co można robić, a czego nie. Uczysz posłuszeństwa. Przecież wiem, że mój los jako dziecka musiał być taki. Dlatego dzieciństwo zawsze jest piekłem, bo zawsze wygląda w ten sam sposób.

No dobrze, ale teraz nie czujesz się jak strażnik piekła, gdy mówisz dziecku, że ma się uczyć czy iść spać?

– Oczywiście, że się czuję jak strażnik piekła. Mam świadomość, że wpycham je w piekło, z którego sam chciałem uciec. Teraz to się dzieje znowu. Mam poczucie, że dzieci, z którymi obcuję na co dzień już wiedzą, że nie warto być dzieckiem. Nie chcą nimi być, chcą być dorośli. Nie chcą mieć obowiązków. Ja też nie myślałem, że będę obowiązkami. Dość szybko zaakceptowałem obowiązki jako coś, co jest uciążliwe, ale bardzo ważne. Czuję rodzaj zażenowania, gdy zmuszam dzieci do jakiejś aktywności.

– Widzę bezwład współczesnych dzieci. Zostawione same sobie zatoną przed konsolą. Jestem daleki od demonizowania gier. Dzieci powinny grać. Gry są super i jak sobie pograją dwie godziny, to nic im się nie stanie. Ale ta skłonność do zapadania się przed ekranem i już nawet nie tyle grania, co oglądania gier, może przełożyć się na wybór postawy rezygnacji życiowej. Dostrzegam, że dzieci poddają się, nim nastąpi pierwsza trudność. Widzą zapowiedź trudności i koniec pieśni – ja nie chcę, nie umiem, nie dam rady. My byliśmy inni. Nasze pokolenie było bojowe, odważne. Głupio odważne, ale jednak.

Gdy jeszcze w naszych życiach nie pojawiły się dzieci mówiłeś, że będziesz prezentował model chłodnego ojca. Że będziesz surowy i twardy. Jak ci to wyszło?

– Oczywiście, że jestem chłodny, choć moi bliscy powiedzą co innego. Staram się egzekwować takie proste rzeczy. Nie ma nic świętszego niż posłuszeństwo.

Chyba sam w to nie wierzysz.

– Zależy, jak rozumiemy chłód i posłuszeństwo. Trudno jest prognozować ojcostwo. Ktoś, kto się na ten temat wypowiada, a sam nie jest ojcem, tak naprawdę nie wie, co go czeka. Możemy się tu podśmiewać, ale mimo swojej inteligencji dzieci są bezmyślne. Jedno z drugim się nie kłóci. Wydaje mi się, że najważniejszą rolą ojca jest pokazanie o co chodzi w życiu. Jak należy się poruszać w świecie i to na wszystkich poziomach. Jak należy jeść, czytać, bawić się, myśleć. To się dokonuje metodą prób i błędów. Kluczowa jest jedna rzecz. Granice! Dzieciak nie ma przecież wdrukowanych granic w głowie. Jakby się dobrze rozpędził, to biegłby tak daleko, że spadłby za horyzont zdarzeń. Tu jest klucz. Pokazać, gdzie jest dopuszczalna przestrzeń i to jest pierwszy krok do sukcesu. W którymś momencie dziecko zaczyna rozumieć, że to jest dla jego dobra. Może się buntować, ale gdzieś wie, że to ma sens. Za granicami jest przestrzeń, gdzie czają się potwory. Mój pomysł na zimne wychowanie tyczy się jasnego stawiania granic. Boję się zbytniego zaufania

dzieciom. Mówią, że jak dziecku dasz swobodę, to się odnajdzie. Nic z tego. Odnajdzie bramę i strzykawkę w tej bramie.

Nie myślisz, że kiedyś te granice, gdzie były potwory były znacznie dalej niż dziś?

– Tak, ale to tylko wzmacnia naszą czujność. Jest i bliżej, i dalej. Weźmy niedawną sytuację, gdy syn zadał mi pytanie, co to jest porno. Usłyszał to w filmie o Spidermanie. Z tym słowem nie wiązała się żadna tajemnica. On go prostu nie rozumiał. Na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi. Żeby wytłumaczyć, co to jest, trzeba wyjaśnić czego wulgaryzacją jest pornografia. Jakoś uciekłem od tej odpowiedzi. Już sam nie pamiętam, co zrobiłem. Ale pytanie wisi w powietrzu i nie jestem w stanie zapobiec wpisaniu tego słowa w przeglądarkę. Wszystkie blokady rodzicielskie przed tym nie ochronią. Za naszych czasów pornografia była czymś, o co należało zabiegać. Zdobywało się świerszczyki i to było w sumie fajniejsze niż ich oglądanie. Nie do końca wiem, jak powszechna jej dostępność obecnie wpłynie na dzieci. A może tych niebezpieczeństw nie ma więcej?

Mam wrażenie, że my mieliśmy więcej swobody. Wychodziło się na podwórko i nikogo nie obchodziło, co się tam dzieje. Skakało się po dachach, rzucało się kamieniami czy szkłem w kolegów i poza bliznami na całe życie nic nam nie było.

– Gdyby teraz zdarzyło się coś takiego, to byłoby zebranie rady szkolnej i awantura na pół Polski. Wydaje mi się, że na to podwórko rodzicowi jest łatwiej wyjść, niż wejść do telefonu. Tam można było zobaczyć, co robi. Telefon jest tajemnicą. Nie jesteśmy tego w stanie całkowicie kontrolować. Dzieci mają swój tajemniczy świat w ekranach i tam się też spotykają. Przypuszczalnie to jest tak samo ważne, jak dla nas podwórko. Było centrum świata. Dla nich kryje się to za ekranem. Boję się, że się rozminiemy. Wiem, że tam są złe rzeczy, ale bardziej obawiam się, że buduje się tam inna wrażliwość, priorytety czy zdolność reagowania na otaczające bodźce. Za dziesięć lat może się okazać, że jesteśmy w pozycji dziadków. Może nie ja

i ty, bo jeszcze ogarniamy technologie i gramy. Ale wielu rodziców, których kontakt z technologiami ogranicza się do pracy, Facebooka i może Instagrama, może mieć poważny problem. Przepaść pokoleniowa będzie zbyt duża. My jeszcze dorastaliśmy bez Internetu, a dzieci mogą się wygooglać od dnia narodzin. Wzrastają w tym świecie. Dla nas to udogodnienie, a dla nich rzeczywistość. Nie boję się, że dziecko spotka krzywdę, bo wejdzie na złą stronę w sieci. Boję się, że nie będziemy się potrafili zrozumieć.



David Vetter urodził się 21 września 1971

| East News

Życie i śmierć Davida Vettera

Aleksandra Bujas

Gdyby David Vetter urodził się w dzisiejszych czasach, prawdopodobnie wiódłby normalne życie. Niestety, na początku lat 70. schorzenie, z którym przyszedł na świat było jednoznaczne z wyrokiem śmierci. Wobec takiej perspektywy, rodzice chłopca w porozumieniu z lekarzami zdecydowali się na kontrowersyjny krok, określany później przez media mianem „makabrycznego eksperymentu medycznego”.

DAVID SPĘDZIŁ NIEZLICZONĄ ILOŚĆ GODZIN W towarzystwie Mary Murphy, psychologa dziecięcego, która z czasem stała się jego przyjaciółką i powiernicą.

- Dlaczego przez cały czas jestem zły? – zapytał pewnego razu.
- Na twoim miejscu każdy by był – odparła Mary.

FATUM

Radość Carol Ann i Davida Josepha Vetterów po narodzinach pierwszego syna nie trwała długo. Małżonkowie dowiedzieli się, że malec dotknięty jest zespołem SCID (ang. severe combined immunodeficiency; ciężkimi złożonymi niedoborami odporności), rzadką wadą genetyczną upośledzającą funkcjonowanie układu immunologicznego, występującą głównie u chłopców. SCID sprawia, że nawet najbardziej błaha infekcja może być zabójcza dla organizmu pozbawionego naturalnej ochrony. Obecnie zespół ten leczy się skutecznie przy pomocy terapii genowej lub, częściej, wykonując przeszczep szpiku kostnego, ale jeszcze pół wieku temu rokowania małych pacjentów były fatalne. Większość z nich, nie doczekawszy się odpowiedniej terapii, umierała przed drugimi urodzinami.

Ów starszy syn Vetterów, którego imię również brzmiało David, przeżył zaledwie siedem miesięcy. Co gorsza, eksperci oszacowali ryzyko powtórzenia się nieuleczalnego zespołu chorobowego u kolejnego potomka płci męskiej na 50 proc. Para wcześniej doczekała się też zdrowej córki, Katherine. Gdy Carol Ann odkryła, że spodziewa się kolejnego dziecka razem z mężem stanęli przed trudnym wyborem, ale z powodów światopoglądowych nie zdecydowali się na przerwanie ciąży.

W ZAMKNIĘCIU

Po serii badań wykonanych po narodzinach chłopca wiadomo było, że sprawdził się najgorszy scenariusz. David Phillip Vetter, urodzony drogą cesarskiego cięcia 21 września 1971 w roku w St. Luke's Episcopal Hospital w Houston, zamiast w matczyne objęcia trafił prosto do specjalnie przygotowanej, sterylnej komory zbudowanej z polichlorku winylu, izolującej go od świata zewnętrznego. Miało to

być rozwiązanie tymczasowe, lecz, jak się okazało, urządzenie tego typu już na zawsze zostało jego domem i więzieniem.

Lekarze nie mieli wątpliwości, że przebywanie poza specjalnie zaaranżowanym, aseptycznym otoczeniem będzie zabójcze dla nowo narodzonego dziecka. Szansą dla chłopca miał być przeszczep szpiku kostnego od starszej siostry, ale badania wykluczyły ją jako potencjalnego dawcę. Rodzice malucha usłyszeli, że wobec tego są tylko dwie możliwości: albo wydostanie chłopca z komory, co będzie oznaczało pewną śmierć, albo pozostawienie go tam do czasu znalezienia bardziej odpowiedniego dawcy lub alternatywnej metody leczenia. Postanowili więc czekać.

Członkowie personelu teksańskiego szpitala dziecięcego, z doktorem Raphaelem Wilsonem na czele, byli postawieni wobec prawdziwego dylematu moralnego; bo czy utrzymywane dziecko przy życiu w klaustrofobicznej kapsule było etyczne i nie nosiło znamion uporczywej terapii? Za budujący przykład posłużyła zakończona sukcesem terapia pary bliźniąt z Europy, która żyła w podobnych warunkach i dzięki postępom w leczeniu mogła opuścić komorę jeszcze przed trzecim rokiem życia.

Niektórzy komentatorzy podkreślają, że medycy niejako przy okazji korzystali z jedynej w swoim rodzaju możliwości „eksperymentowania na żywym organizmie” rozwijającym się w sztucznym, sterylnym środowisku. Podobno jednak rzeczywiście wierzyli, że stan Davida polepszy się z czasem, jego organizm nauczy się zwalczać bakterie i wirusy, a zatem przebywanie w plastikowej „bańce” nie będzie już koniecznością. Nic jednak nie szło po ich myśli. Gdy pacjent ukończył drugi, potencjalnie przełomowy rok życia, zrozumieli, że nic się nie poprawia.

Czas płynął, a chłopczyk żył w niewielkiej, ograniczonej przestrzeni, właściwie nie mając dotyku drugiego człowieka – jedyny kontakt fizyczny z nim możliwy był przy pomocy specjalnych rękawic wbudowanych w ściany komory. Każdy przedmiot czy produkt spożywczy zanim trafił do jego rąk musiał przechodzić długotrwały, skomplikowany proces odkażania. Sterylizowana była nawet woda święcona wykorzystana przy chrzcie Davida. Każda, pozornie zwyczajna czynność związana z codzienną pielęgnacją była wyzwaniem. Dodatkowym utrudnieniem

wpływającym ujemnie na jakość życia malca był nieustający hałas emitowany przez pracujące całą dobę urządzenia – kompresory oraz filtry oczyszczające powietrze wewnątrz komory.

Jak podaje serwis Houstonpress.com, chłopiec stał się „atrakcją” dla VIP-ów, w tym też koronowanych głów, przybywających do Texas Children’s Hospital tylko po to, by go obejrzyć. Poczynania te ze zgrozą obserwowała zatrudniona w placówce psycholog, Mary Murphy, która nie chciała mieć nic wspólnego z eksperymentem budzącym jej sprzeciw. Losy terapeutki i pacjenta miały się spleść dopiero później, po jego powrocie do rodzinnego Conroe.

Mały David, co zrozumiałe, początkowo nie był świadom niezwykłości swojej sytuacji – wtedy jeszcze nie znał innego życia. Wszystko zaczęło się zmieniać w okolicach jego czwartych urodzin, kiedy to lekkomyślnie pozostawiona wewnątrz komory strzykawka była dlań impulsem do nowej zabawy polegającej na dziurawieniu otaczających go przezroczystych ścian. Wtedy po raz pierwszy dorośli wytłumaczyli mu, gdzie i dlaczego się znajduje.

MOJA DROGA MARY

Mniej więcej w tym czasie zdecydowano o przenosinach chłopca do rodzinnego domu. O tym, jak bardzo skomplikowane było to przedsięwzięcie świadczy fakt, że zaangażowana w nie była agencja kosmiczna NASA. David, przebywając w komorze przetransportowanej do domu, w miarę możliwości uczestniczył w życiu rodziny. Bardzo pomagała w tym obecność siostry – oboje zachowywali się jak na rodzeństwo przystało: bawili się, kłócili, a nawet... bili.

Media portretowały Davida jako radosne, szczęśliwe dziecko, z uśmiechem przyjmujące to, co zgotował mu los. Po latach Mary Murphy wyznała, że dorastający David poprosił ją o sprostowanie wszystkich hurraoptymistycznych medialnych doniesień w realistycznej książce. Pomimo to, pozycja pt. „Czy było warto? Prawdziwa Historia Davida Vettera” nigdy się nie ukazała. Jej publikację zablokowano – zbyt wielu osobom, zarówno ze środowiska medycznego, jak i z otoczenia Davida zależało na tym, by informacje zawarte w biografii nie ujrzały światła dziennego.

Próbowano też ośmieszyć autorkę i podważyć jej wiarygodność. Oryginalne źródła cytują pragnącą zachować anonimowość osobę z kręgu znajomych Mary, wskazującą na potężne i mocno zhierarchizowane środowisko medyczne skupione w owym czasie wokół Texas Children's Hospital – placówce, w której przez pierwsze lata życia przebywał David – tym ludziom było bardzo nie na rękę, by ktokolwiek udowodnił, że postąpili źle.

W 1975 roku doktor Barry Molish zaproponował Mary, by udała się z nim do Conroe, celem przeprowadzenia kilku testów z udziałem Davida. Pełna rezerwy kobieta zgodziła się niechętnie, ale na miejscu ciemnooki, śniady chłopczyk zupełnie ją oczarował. Początkowo trudno było jej zrozumieć, co malec mówi – jego słowa ginęły w ryku pracujących urządzeń. Mimo tych trudności rozpoczęto badanie. Mary zapytała chłopca, czym jest drzewo. „Prostokątem zakończonym zielonym owalem” – padła odpowiedź. Pani psycholog była zaskoczona, że dziecko, które



David Vetter w kostiumie, który dostał od NASA

| ASSOCIATED PRESS East News

nie ukończyło jeszcze czterech lat tak dużo wie o geometrii, a zarazem tak niewiele o otaczającym świecie. Tknięta nagłym impulsem wyszła na ulicę, zerwała z drzewa gałązkę i pokazała ją chłopcu, mówiąc, że „zielony owal” w rzeczywistości złożony jest z liści. Mówiła później, że nigdy jeszcze nie widziała na niczyjej twarzy takiego bezgranicznego zdumienia.

Niebawem „kobieta z liściem” została poproszona o pomoc w codziennej opiece nad chłopcem. Okazało się, że jak nikt inny potrafiła do niego dotrzeć, rozbić jego upór czy zażegnać kolejny kryzys, a tych nie brakowało. Nie było wątpliwości, że nawiązali bardzo silną więź.

Z czasem ten bystry chłopak przekonał się, że życie, jakie prowadzi dalekie jest od codzienności innych ludzi. Oglądał wszak telewizję, czytał książki i gazety, bo zadbano o jego edukację, czasem w odwiedziny przychodzili do niego koledzy, a przez okno obserwował rówieśników bawiących się i dowodzących na dworze. Dzieci leżały w trawie, grzebały w piasku, jeździły na rowerach... Czy ktokolwiek jest w stanie wyobrazić sobie, jak musiał się wtedy czuć przyglądający się temu David? Dodatkowo, opowieści lekarzy i rodziców o groźnych mikrobach napędziły mu potężnego stracha. Wizje zagrożeń zarysowano widocznie wyjątkowo obrazowo, bo chłopca zaczęły nękać fobie, a budzący grozę „król zarazków” notorycznie odwiedzał go w snach.

COCA-COLI ŁYK

Przymusowe zamknięcie w ciasnej przestrzeni, którą mógł pokonać robiąc zaledwie sześć kroków coraz mocniej odbijało się na stanie chłopca. W późniejszym czasie do komory dołączono kolejne „pomieszczenie” służące jako pokój zabaw, ale miejsca nadal było boleśnie mało.

W odpowiedzi na narastające problemy NASA sprezentowała chłopcu specjalny kombinezon, dzięki któremu w 1977 roku po raz pierwszy mógł opuścić komorę, a Carol Ann po sześciu latach wreszcie wzięła syna w ramiona. Cała operacja związana ze skafandrem wartym 50 tys. dolarów była jednak tak uciążliwa i skomplikowana (zawierała 24-etapową procedurę przygotowawczą oraz 28 eta-

pów związanych z jego zakładaniem), że chłopiec wykorzystał sprzęt zaledwie kilka razy.

Fizycznie rozwijał się prawidłowo i nigdy nie chorował, ale warunki, w jakich żył odcisnęły piętno na jego psychice. Mary wspomina, że David przez pierwsze lata życia był wyjątkowo grzeczny – aż za grzeczny, w tym względzie ogóle nie przypominał innych kilkulatków. Stawał się coraz bardziej świadomy swojej odmienności, a w późniejszym czasie wszystkie te tłumione frustracje coraz częściej dochodziły do głosu. Powtarzające się ataki wściekłości przerażały zarówno otoczenie, jak i jego samego. Bał się, że w końcu bliscy odwrócą się od niego i pozostawią go na pastwę losu. Bał się, że zaczyna popadać w szaleństwo. Bał się, że jego marzenia nigdy nie się urzeczywistnią, a jednocześnie – że gdy uda mu się kiedyś opuścić komorę, nie będzie umiał odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Przeżywał fascynację śmiercią i ogniem: motyw płomieni trawiących szpital lub dom często pojawiał się w jego rysunkach. Rozwinęła się u niego klaustrofobia, podejrzewano też początki depresji.

Miał dwa wielkie marzenia. Pierwsze z nich dotyczyło oczywiście opuszczenia komory. A kiedy obejrzał w telewizji reklamę coca-coli, zapragnął jej skosztować. Niestety, napój ten poddany sterylizacji stawał się obrzydliwy i niezdatny do przełknięcia.

CO ZABIŁO DAVIDA VETTERA?

Kontrowersje towarzyszyły sprawie od samego początku. 26 lutego 1975 zwołano specjalne konsylium, w którym obok lekarzy i psychologów wzięli udział także teologowie oraz inni eksperci od rozstrzygania etycznych dylematów w medycynie. Mary Murphy i obecne tam osoby duchowne nie podzielili entuzjazmu części medyków. Kapelan Raymond J. Lawrence rozczarowany wynikiem spotkania nie szczędził mocnych słów – jego zdaniem trzech lekarzy od początku zajmujących się Davidem przekonało państwa Vetterów do kontrowersyjnego rozwiązania z komorą, by móc bez przeszkód eksperymentować na chłopcu. Sami zainteresowani stanowczo zaprzeczali, aby kierowali się podobnymi motywami.

Nie było prostych rozwiązań. Rodzice Davida marzyli zresztą o synu, dziedzicu, który rodowe nazwisko przekazałby dalej. Czy postąpili słusznie decydując się na kolejne dziecko mimo realnego zagrożenia?

W 1983 roku, gdy David liczył już 12 lat ostatecznie zdecydowano się na operację przeszczepienia szpiku kostnego od jego siostry. Powodów było wiele. Utrzymywanie go przy życiu wewnątrz komory generowało ogromne koszty. Już wtedy bowiem terapia pochłonęła 1,3 mln dolarów. Obawiano się, że fundusze wkrótce się skończą – w tamtych czasach była to bowiem prawdziwie astronomiczna kwota. Co ważniejsze, nikt nie mógł też przewidzieć, jak zbliżająca się burza hormonalna wpłynie na zachowanie Davida, którego stan psychiczny ciągle się pogarszał. Załamywała go beznadzieja jego położenia, bezradność i całkowita zależność od innych. Istniało realne zagrożenie, że chłopak zrobi sobie krzywdę lub wręcz targnie się na swoje życie.

Nowy zespół lekarzy opiekujących się nastolatkiem zdecydował, że nie można przeciągać tej sytuacji w nieskończoność, zresztą z biegiem czasu stawała się ona coraz bardziej nie do zniesienia dla wszystkich zaangażowanych stron. Doktorzy Ralph Feigin i William Shearer zamiast dalszego przetrzymywania dorastającego chłopaka w klaustrofobicznej komorze proponowali terapię gamma-globulinami, co miałoby modulować procesy odpornościowe w jego organizmie. Państwo Vetter po konsultacji z trzema lekarzami pierwotnie zajmującymi się Davidem nie zgodzili się na taką formę leczenia. Jednak po pewnym czasie, widząc, jak poważna jest sytuacja, nawet tamci eksperci uznali, że coś zrobić trzeba. Ponieważ w ciągu minionych lat medycyna transplantacyjna poszła do przodu, a zakończone sukcesami przeszczepy szpiku od dawców, z którymi biorcy nie mieli pełnej zgodności tkankowej napawały optymizmem, podjęto decyzję.

Przeszczep szpiku kostnego pobranego od Katherine Vetter odbył się 21 października 1983 roku. Operację komplikował fakt, że podczas jej trwania David w dalszym ciągu przebywał w swojej komorze. Zabieg zakończył się powodzeniem, a po czasie okazało się, że organizm chłopca nie odrzucił przeszczepionej mu tkanki. Środowisko medyczne ogłosiło wielki sukces. Dla zachowania wszelkich środ-

ków bezpieczeństwa postanowiono, że pacjent najbliższe miesiące spędzi w jeszcze w komorze, do czasu, aż jego układ immunologiczny będzie w pełni gotowy, by zmierzyć się z tym, co czeka go na zewnątrz.

W grudniu było już wiadomo, że coś jest nie tak. Mijały tygodnie, a stan nastolatka pogarszał się zamiast poprawiać. Na początku lutego chłopak zaczął wymiotować krwią. Lekarze nie czekali ani chwili dłużej – podjęto decyzję o wyciągnięciu go z komory i umieszczeniu w wysterylizowanej sali szpitalnej. Pierwszą rzeczą, o którą David poprosił znalazłszy się na wolności była szklanka coca-coli. Niestety, ze względu na jego kondycję odmówiono podania mu tego napoju. Ostatnie 15 dni życia spędził w szpitalnym łóżku, wtedy to po raz pierwszy bliscy mogli go dotknąć i przytulić – tak naprawdę. Podobno w noc poprzedzającą jego śmierć Mary trzymała go za rękę.

22 lutego minie 35 lat od jego śmierci. Co właściwie się wydarzyło? To nie bakterie zabiły Davida. Ani niesprzyjający świat zewnętrzny. Badania dowiodły ponad wszelką wątpliwość, że przyczyną śmierci chłopca był nowotwór – chłoniak Burkitta. Jak to możliwe? Okazało się, że szpik pochodzący od siostry, zdrowej osoby, zakażony był wirusem Epsteina-Barr, który w jego organizmie, niemającym jeszcze odporności, doprowadził do powstania licznych guzów nowotworowych. Niektóre źródła podają, że niewłaściwie przebadano szpik, inne głoszą, że ilość wirusa była niewykrywalna przy użyciu technologii z lat 80.

Media, które od początku interesowały się przypadkiem Davida określiły historię jego życia jako „zwycięstwo nad przeciwnościami losu”. Mary widzi sprawę inaczej: „To była ludzka ofiara medycznej pogoni za tym, co nowe”.

O Davidzie Vetterze nakręcono kilka filmów dokumentalnych, jego życie posłużyło też za kanwę dwóch produkcji fabularnych, w tym „The Boy in the Plastic Bubble” z 1976, który David podobno obejrzał. Film „Bubble Boy” z 2001 roku zrealizowano w konwencji... komediowej (sic!).



W masakrze w Dniu św. Walentego gangsterzy Ala Capone zabili sześciu członków konkurencyjnej grupy

| [akg-images/EAST NEWS](#)

Prohibicja w USA. Nieudany eksperyment

Sławomir Zagórski

Amerykanie nazwali prohibicję „Szlachetnym Eksperymentem”. Jak się okazało, zakaz produkcji i spożywania alkoholu przyniósł więcej szkody niż pożytku.

PROHIBICJA NIE BYŁA NOWYM WYMYSŁEM. W XX wieku pierwszy taki zakaz pojawił się w Rosji w chwili wybuchu I wojny światowej. W dniu ogłoszenia dekretu o powszechnej mobilizacji, 31 lipca 1914 roku, ukazał się także ukaz cara zakazujący produkcji i sprzedaży alkoholu na terenie całego Imperium. Pierwotnie zakaz miał obowiązywać podczas mobilizacji. Jednak niemal natychmiast został przedłużony na czas nieokreślony – do czasu zakończenia działań wojennych. Zakaz ten wynikał z doświadczeń wojny z Japonią, kiedy mobilizacja utrudniona była przez pijaństwo poborowych.

Rosyjski eksperyment się nie sprawdził. Wzrosła produkcja wódki destylowanej w gospodarstwach domowych i konsumpcji surogatów. Faktycznie po wprowadzeniu zakazu pojawiły się w miastach meliny, a na wsiach zaczęto na potęgę pędzić bimber z trocin, buraków i kukurydzy. Co ciekawe w drogich restauracjach, dostępnych jedynie dla arystokracji i bogatych przemysłowców i handlarzy alkohol można było kupić bez problemu. Podobnie skończyło się to w Stanach Zjednoczonych.

Prohibicja nie była nowym wymysłem. W XX wieku pierwszy taki zakaz pojawił się w Rosji w chwili wybuchu I wojny światowej. W dniu ogłoszenia dekretu o powszechnej mobilizacji, 31 lipca 1914 roku, ukazał się także ukaz cara zakazujący produkcji i sprzedaży alkoholu na terenie całego Imperium. Pierwotnie zakaz miał obowiązywać podczas mobilizacji. Jednak niemal natychmiast został przedłużony na czas nieokreślony – do czasu zakończenia działań wojennych. Zakaz ten wynikał z doświadczeń wojny z Japonią, kiedy mobilizacja utrudniona była przez pijaństwo poborowych.

Rosyjski eksperyment się nie sprawdził. Wzrosła produkcja wódki destylowanej w gospodarstwach domowych i konsumpcji surogatów. Faktycznie po wprowadzeniu zakazu pojawiły się w miastach meliny, a na wsiach zaczęto na potęgę pędzić bimber z trocin, buraków i kukurydzy. Co ciekawe w drogich restauracjach, dostępnych jedynie dla arystokracji i bogatych przemysłowców i handlarzy alkohol można było kupić bez problemu. Podobnie skończyło się to w Stanach Zjednoczonych.

NIEUDANY EKSPERYMENT

Wkrótce okazało się, że zakaz przynosi więcej złego niż dobrego. Alkohol nadal był produkowany w krajach ościennych – Kanadzie i Meksyku. Wzrósł przemysł i nielegalny handel. Musiano oddelegować ponad 1000 agentów rządowych, aby pilnowali przestrzegania ustawy. Mimo licznych nalotów, serii aresztowań i walki z mafiami, nielegalny rynek rósł w oczach. Tylko w Nowym Jorku istniało nawet 100 tys. miejsc, w których można było nielegalnie kupić alkohol. Mimo to zwolennicy zakazu uważali, że sprawdza się i ma pozytywny wpływ na społeczeństwo.

Zaczęli zmieniać zdanie dopiero po masakrze w Dniu św. Walentego, kiedy gangsterzy Ala Capone zabili sześciu członków konkurencyjnej grupy i przypadkowego świadka. Oburzeni byli nawet mafijni bossowie, którzy stwierdzili, że Al powinien trafić do więzienia. Rząd z kolei zintensyfikował działania antymafijne. Ustawa traciła jednak na poparciu społecznym. Zwłaszcza po wybuchu Wielkiego Kryzysu coraz częściej zaczęto domagać się przywrócenia alkoholu w legalnym obrocie.

Dokonał tego Franklin D. Roosevelt 22 marca 1933 roku. 21. poprawka do konstytucji została ratyfikowana 5 grudnia tego samego roku. Od tego dnia ponownie można było legalnie kupić alkohol. Obecnie produkcja, przechowywanie i sprzedaż alkoholu jest legalne, jednak aby prowadzić produkcję na skalę przemysłową, należy spełnić szereg wymogów, które sprawiają, że opłacalność produkcji małoskalowej jest niska. Amerykanie korzystają jednak z tego, że na własne potrzeby mogą wyprodukować ponad 700 litrów alkoholu rocznie.



Ropa naftowa o mało nie doprowadziła do wybuchu III wojny światowej

| PICSEL

Ropa naftowa: Krew naszej cywilizacji

Łukasz Piątek

Prowadziła do wojen, była tańsza od wody mineralnej, a pierwsza kopalnia na świecie, skąd zaczęto ją wydobywać, znajdowała się nieopodal Krosna. Mowa o ropie naftowej, która doczekała się swojej... biografii. Z autorem książki pt. „Krew cywilizacji. Biografia ropy naftowej” panem Andrzejem Krajewskim rozmawiamy m.in. o tym, jak pewien polski farmaceuta stał się pionierem przemysłu naftowego w Europie.

ŁUKASZ PIĄTEK, INTERIA: Skąd w ogóle u pana pomysł na napisanie biografii ropy naftowej?

ANDRZEJ KRAJEWSKI: – To wynik kompromisu między mną a redaktorem prowadzącym z Wydawnictwa WAM – Panem Strączkiem. Chciałem napisać książkę, jak ropa naftowa zmieniała naszą cywilizację w ciągu ostatnich 200 lat. Natomiast teraz jest taki trend, że pisze się biografie – również przedmiotów martwych. Na początku wydawało mi się to trochę infantylne, że się uczłowicza ropę. Po wielu dyskusjach z redaktorem Strączkiem doszedłem do wniosku, że taka forma może być ciekawa. Koniec końców, okazało się, że to jest fajny pomysł, by napisać książkę o ropie naftowej, jako o czynniku, które w jakimś sensie ma swoją wolę.

Powiedział pan „uczłowiczyć ropę naftową”. Coś w tym jest, bo mnie biografia tego surowca przypomina historię od kopciuszka po najpotężniejszego władcę świata.

– Zgadza się. Ten surowiec energetyczny rządzi światem na wielu płaszczyznach.

A wszystko zaczęło się w aptece...

– Zbieg okoliczności sprawił, że kariera ropy naftowej zaczęła się w aptece we Lwowie. Aptekarz, który tam pracował Ignacy Łukasiewicz, miał wielkie ambicje i potrzebę zarobienia dużych pieniędzy, ponieważ jego życie tak się ułożyło, że po wyjściu z więzienia, musiał zaczynać je od nowa. Pewnego dnia w jego aptecce zjawiał się żydowski kupiec, który miał z kolei pomysł, jak tanio wyprodukować alkohol. Ropa naftowa stamtąd, skąd pochodził ów kupiec, wytryskiwała spod ziemi. Była bardziej dostępna i tańsza niż na przykład ziemniaki, z których pędzono wódkę. Łukasiewicz otrzymał od kupca ropę i zaczął eksperymentować. Szybko się okazało, że nie da się uzyskać z niej alkoholu, ale można inne substancje m.in. naftę, benzynę, asfalt. I tutaj wielka zasługa Łukasiewicza, że opracował technologię rafinacji ropy naftowej. Po czym zaczął się zastanawiać, jak na tym zarobić. No i wymyślił, że nafta nadaje się świetnie na paliwo do lampy.

No właśnie – Łukasiewicz zaistniał w naszej świadomości jako ten, który wynalazł lampę naftową, co nie do końca jest prawdą.

– Otóż to! Łukasiewicz miał pomysł na tę lampę, ale konstruktorem i wynalazcą był Adam Bartkowski. Łukasiewicz poprosił go, żeby stworzył coś, co wytrzyma spalanie nafty. A ta ma to do siebie, że spala się bardzo szybko w wysokie temperaturze, wyższej niż używany wówczas powszechnie olej. Po kilku nieudanych próbach i wybuchach, udało się wreszcie stworzyć lampę, która zyskała wielką popularność. Żeby działała, potrzebna była nafta, którą z kolei zaczął produkować i sprzedawać Łukasiewicz. Bardzo biznesowe podejście.

Co ciekawe – pierwsza na świecie kopalnia ropy naftowej powstała w lesie pod Bóbrką – nieopodal Krosna. Zresztą – należała do Ignacego Łukasiewicza.

– Co więcej – była to kopalnia odkrywkowa. Ropa była na tyle blisko powierzchni, że wystarczyło się tylko do niej dokopać i w zasadzie sama wytryskiwała. Później Łukasiewicz przejął technologię wydobywania, czyli wiercenia głębokich szybów, od Amerykanów.

Ale bardziej dochodowym interesem nie było samo wydobywanie ropy naftowej, ale jej rafinacja.

– Łukasiewicz bardzo szybko zrozumiał, że warto mieć szyby naftowe, ale jeszcze lepiej mieć rafinerię. Z pochodnych ropy można było wytwarzać wiele wartościowych rzeczy.

Dziś również jest tak, że biedne kraje wydobywają ropę, ale już przetwarzają i sprzedają tylko te bogate?

– W niektórych krajach bardzo boleśnie to widać. Najlepszym przykładem był Iran, który przez wiele lat objęty był rygorystycznymi sankcjami międzynarodowymi. Iran ma ogromne zasoby ropy naftowej. Natomiast problem polegał na tym, że w Iranie brakowało benzyny. Irakijczycy nie mieli odpowiedniej ilości urządzeń do

przetwarzania ropy. Podobny problem ma Wenezuela. Oni po prostu nie są w stanie przetwarzać wydobywanej przez siebie ropy, bo zaniedbali rozbudowę rafinerii, a dodatkowo dochodzi tu jeszcze zapóźnienie technologiczne tych państw. W Wenezueli cały proces wydobywania ropy naftowej nadzoruje jeden koncern – państwowy. Ten kraj największy rozkwit przeżywał w czasie, kiedy ropa kosztowała 100 dolarów za baryłkę. Mimo wysokich cen był na nią ogromny popyt, więc przynosiła Wenezueli krociowe zyski. Później na nieszczęście Wenezueli ropa zaczęła drastycznie tanieć. Dziś Wenezuela ma problem nawet ze zwiększeniem jej wydobycia. To rzecz paradoksalna, bo mają olbrzymie zasoby, ropa drożeje, a oni nie są w stanie zwiększyć wydobycia. Nie są w stanie przeskoczyć zupełnej dezorganizacji państwa, jaka nastąpiła po spadku ceny ich głównego bogactwa naturalnego.

A jak wygląda obecnie sytuacja w Polsce ze złożami ropy naftowej?

– Część galicyjskich złóż są w tej chwili na terenie Ukrainy z uwagi na przesunięcie granicy w 1945 roku. Te, z których wydobywał Łukasiewicz są już wyczerpane. Przy śladowych ilościach i w dodatku bardzo głębokich złożach wydobywanie jest nieopłacalne.

Wróćmy jeszcze do czasów, kiedy w Stanach Zjednoczonych baryłka ropy była tańsza od wody mineralnej...

– Działo się tak, gdyż koszty wydobywania ropy były niewielkie, a złoża ogromne. Wydobywanie okazywało się większe niż popyt, co prowadziło do takich sytuacji, o których pan mówi. W takiej Arabii Saudyjskiej wydobywanie baryłki ropy spod piasku pustyni nadal kosztuje zaledwie kilka dolarów. Reszta to już czysty zysk.

Mówiliśmy o lampie naftowej, która okazała się strzałem w dziesiątkę, kiedy mowa o zastosowaniu pochodnych ropy naftowej, ale jej największy rozkwit związany jest z wynalezieniem silnika spalinowego.

– Silnik spalinowy okazał się najbardziej wygodnym napędem. Jest lżejszy i wydajniejszy od silnika parowego. A benzyna jest łatwiejszym i wygodniejszym w użyciu

paliwem niż prąd z akumulatora napędzający silnik elektryczny. Samochodów zaczęło przybywać, więc zaczęto wydobywać więcej ropy. I w ten oto prosty sposób cała machina biznesowa się nakręcała. Poza samochodami należy także wspomnieć o wszystkich konstrukcjach mechanicznych używanych podczas wojen.

Warto wspomnieć o ciekawostce – zanim popularność zyskały samochody z silnikiem spalinowym, jeżdżono pojazdami z silnikami elektrycznymi.

– Pod koniec XIX wieku te dwie formy napędów zaczęły być rozwijane. Silnik elektryczny jest banalnie prosty – w odróżnieniu od spalinowego. Zbudowanie samochodu z silnikiem spalinowym niesie ze sobą wiele komplikacji, bo należy zamontować w nim skrzynię biegów, sprzęgło i wiele innych elementów, ułatwiających pracę silnikowi spalinowemu. W przypadku silnika elektrycznego oraz elektromobilu wyglądało to tak, że był bardzo prostą konstrukcją, co za tym idzie – niezawodną. Natomiast ma do dziś jedną, ale za to dużą wadę – potrzebuje źródła prądu.

Problem, z którym nie poradzono sobie do dzisiaj.

– Bo jest to bardzo skomplikowane. Skonstruowanie urządzenia wytwarzającego prąd jest technologicznie trudne. Dopiero teraz Toyota próbuje wprowadzać ogniwa paliwowe w swoim pierwszym samochodzie wodorowym, które wytwarzają prąd. Trzeba jeszcze dodać, że akumulator elektryczny jest bardzo ciężki, dlatego tamte pojazdy z końca XIX wieku ważyły kilkukrotnie więcej niż auta napędzane silnikiem spalinowym. Wówczas drogi były bardzo nierówne, przez co cierpiało zawieszenie, a ponadto akumulator bardzo źle znosił wstrząsy. Silnik elektryczny przegrał tę batalię z silnikiem spalinowym, bo był mniej praktyczny.

Ropa naftowa ma też swoje ciemne strony. O mało nie doprowadziła do wybuchu III wojny światowej.

– Takich sytuacji było wiele, chociaż ta najbardziej dramatyczna to Jon Kippur, kiedy Syria i Egipt najpierw napadły na państwo Izrael, potem Stany Zjednoczone

wparły swojego sojusznika i Izrael de facto wygrał w trzy tygodnie wojnę. W tym momencie Związek Radziecki wsparł Egipt i Syrię, co doprowadziło do sytuacji, kiedy Stany Zjednoczone i Związek Radziecki stanęły przeciwko sobie. Groziło to wybuchem III wojny światowej. Gdyby Moskwa przerzuciła swoje oddziały na Bliski Wschód, to prawdopodobnie rozpoczęłby się wielki konflikt zbrojny.

Gdyby dziś wynaleziono coś, co miałoby takie same lub lepsze właściwości jak ropa naftowa, było tańsze w wydobyciu, przyjaźniejsze dla środowiska, to mógłby nam grozić jakiś światowy konflikt? Przecież ci najpotężniejsi nie zrezygnują tak łatwo z kury, która znosi złote jaja.

– Jest część państw, które przeżyłyby katastrofę gospodarczą, gdyby przestały sprzedawać swoją ropę. Mam tu na myśli przede wszystkim Rosję. Przykładem podobnego stanu rzeczy jest wspomniana wcześniej Wenezuela, której ropa nie przynosi zakładanych dochodów, dlatego dochodzi tam obecnie do wstrząsów politycznych. Jak zareagowałaby Rosja? Trudno przewidzieć, ale na pewno byłyby to reakcje historyczne. Jeśli chodzi o Zatokę Perską, to można przypuszczać, że tam także doszłoby do gigantycznych wstrząsów politycznych, załamania się tamtejszych rządów. Społeczeństwa nagle odcięte od głównego źródła dochodu, biedniejące – przeważnie podnoszą bunt. Zakładam, że byłaby fala wojen, która przetoczyłaby się przez te rejony świata.

Zatem jesteśmy niewolnikami ropy naftowej?

– Kraje rozwinięte – tak, bo potrzebują jej dla swojej gospodarki. Nagłe zniknięcie ropy równa się wielkiemu załamaniu gospodarczemu. Jesteśmy od niej uzależnieni w transporcie samochodowym. Tych pochodnych jest mnóstwo – tworzywa sztuczne, różnego rodzaju kosmetyki itd.

Ile jeszcze jest pokładów ropy naftowej na świecie?

– Dotychczasowe przewidywania okazywały się zupełnie błędne. W tej chwili mówi się, że pokłady wyczerpią się za 50-100 lat, ale cały czas odkrywa się nowe złoża.

Poza tym są łupki bitumiczne, eksploatowane w Stanach Zjednoczonych na olbrzymią skalę dzięki nowym technologiom. Zasoby ropy z łupków szacowane są na jeszcze większe aniżeli klasyczne. Wygląda na to, że przez obecną stulecie ropy naftowej nie zabraknie.

Co pana osobiście w tej biografii ropy naftowej najbardziej zaniekawiło, urzekło, może zadziwiło?

– To, jak wszystko jest ze sobą powiązane. Cały układ zależności, czynniki, które tak mocno na siebie wpływają i zacieśniają się. Jeśli jakieś państwo podejmuje działania polityczne – wojny, interwencje, to zawsze opinię publiczną zjednuje się bardzo wzniosłymi hasłami – prawa człowieka, demokracja, wolność. Wydzwięk tych hasłem jest bardzo pozytywny, bo przecież mowa o pozytywnych wartościach. Przy czym najczęściej mamy do czynienia z realnym interesem, który sprowadza się do tego, że dany kraj chce utrzymać lub umocnić swą pozycję strategiczną, zdobyć dostęp do złóż surowców. Jednym słowem pragmatycznie dba o swoje korzyści. Wówczas sięga się po wszelkie dostępne środki w tym siłę militarną, żeby je sobie zagwarantować. Takie działania są bardzo cyniczne. Dlatego pragmatyka musi być ukryta pod warstwami wzniosłych idei.



Misje, jakie odbywał w Bośni Meyer były właściwie gotowymi scenariuszami filmowymi

| Facebook; archiwum prywatne

Helge Meyer: Boży Rambo w piekle wojny

Rafał Walerowski

Armie całego świata od zawsze licytują się w technologicznych wyścigach zbrojeń po to, by w razie konfliktu dysponować jak najnowocześniejszym „orężem”. Ten przypadek pokazuje jednak, że na wojnie bohaterską historię może napisać sprzęt zupełnie niepozorny i na pierwszy rzut oka – bardzo przestarzały. O ile jest w rękach odpowiedniej osoby. Przed wami Helge Meyer i jego „Ghost Car”.

„**G**HOST CAR”, CZYLI SAMOCHÓD-DUCH. Taki przydomek zyskał pojazd, jakim żołnierz duńskich sił specjalnych, Helge Meyer poruszał się podczas wojny w Bośni w latach 1991-1995. Gdy stacjonując w amerykańskiej bazie niedaleko Frankfurtu nad Menem dowiedział się o sytuacji w Jugosławii, postanowił po prostu pojechać tam swoim czarnym Chevroletem Camaro Z28 z 1979 roku, kupionym od Amerykanów za 4000 marek.

Przez cały czas służby w Bośni Meyer nie wystrzelił nawet pojedynczego naboju. Jego jedyną bronią był potężny, choć niepozorny muscle car, którym przemieszczał się po ogarniętych wojną domową terenach, niosąc pomoc potrzebującym. Dzięki temu i on sam dorobił się przydomka. Mówiono o nim „Boży Rambo”.



Przez pewien czas Camaro przemalowane było na żółto

| Facebook; archiwum prywatne

„Ten pseudonim został mi nadany przez kapelana w niemieckiej bazie. Jako specjalista kształciłem się w sztukach walki, ale to Biblia jest moją jedyną bronią. Nigdy nie miałem broni ręcznej w wojnie na Bałkanach, ale zawsze miałem przy sobie Biblię” – opowiada Helge Meyer.

Na Bałkanach nasz bohater nie od razu zyskał zaufanie i sympatię miejscowej ludności. Wyglądał niczym najemnik rodem z Mad-Maksa. Nosił nieoznakowane mundury, a jego wóz miał niemieckie rejestracje „SL MN93”. Początkowo wiele osób brało go za agenta CIA albo po prostu szaleńca, który pcha się tam, gdzie nie trzeba.

Ale Duńczyk wiedział, co robi i z pomocą amerykańskich żołnierzy odpowiednio przygotował swój ukochany pojazd do działań wojennych. W miejsce tylnej szyby wstawił stalową płytę. W miejscu zderzaka przykręcił potężne orurowanie, zaś rolę spojlera pełniły „pługi” służące do usuwania min. Z atrapy chłodnicy zniknął znaczek Chevroleta. W jego miejscu pojawił się za to element... humorystyczny. Żółta, kąpielowa kaczuszka.

To nie wszystko, jeśli chodzi o modyfikacje. Camaro miało na swoim wyposażeniu także kevlarowe panele, pancerne szyby, specjalny maskujący lakier, odbijający promienie podczerwieni, opony typu run-flat, wykrywacz ciepła, radiostację, dwie gaśnice, noktowizor i instalację „nitro”, która zapewniała nagły przyrost mocy.

Jak nagły? Seryjny silnik V8 o pojemności 5.7 litra dysponował mocą 220 koni, lecz po wciśnięciu magicznego guzika jego moc wzrastała do imponujących 440 koni mechanicznych!

Forteca na czterech kołach mogła zabrać na pokład do 400 kilogramów towaru (przeważnie były to ubrania, leki, bandaże, opatrunki i żywność) ważyła naprawdę sporo, ale przy tym była również bardzo szybka. Gdy sytuacja tego wymagała, „Ghost Car” potrafił rozpędzić się do 200 km/h w zaledwie 13 sekund.

Misje, jakie odbywał podczas służby w Bośni Meyer były właściwie gotowymi scenariuszami wojennego filmu. Duńczyk dostarczał pomoc do odciętych od świata miejsc właściwie dniem i nocą. Za dnia musiał ukrywać się przed policją i armią, choć kilkakrotnie urywał się pościgom. Jak wspomina, przetrwał też parę ostrzałów, ale opancerzenie wozu zrobiło swoje. Skórę ratowała mu także świetna orientacja w terenie i znajomość wielu bocznych dróg. Raz miał wyjątkowe szczęście, gdy podczas dostarczania pomocy w Vukovarze, został namierzony przez snajpera.

Namierzony i trafiony! Siła strzału odrzuciła hełm kilkanaście metrów dalej. Potem okazało się, że tkwił w nim pocisk kalibru 9 mm...

„Moja rodzina odkryła prawdę o tym, co robiłem dopiero po latach. Zaczęli się bać o moje życie, bo zawsze uważali mnie za wariata, ale zawsze mówiłem im, że Bóg obiecał, że nic nie stanie się ze mną i z Camaro. Tak właśnie było – obie strony dotrzymały umowy” – śmieje się.

Gdy „Boży Rambo” docierał swoim Camaro w nowe miejsce, zawsze spotykał się z podobnymi reakcjami. Niepewność, wstrzymany oddech, a nawet strach. Ludzie, którzy przeżywali piekło wojny, tracili domy, bliskich, sami nie wiedzieli, co jeszcze może ich spotkać. Tymczasem spotykał ich gest dobroci. Nieznany bohater rozdawał im to, czego najbardziej wówczas potrzebowali. Dorośli dostawali odzież, lekarstwa, koce, a dzieci zabawki i słodycze. Uśmiechy choć na chwilę wracały na ich twarze.

„Jeździłem na wycieczki po Bałkanach. Każda podróż zwykle trwała od dwóch, do pięciu dni w miesiącu. Czasami były to dwie takie wyprawy miesięcznie. W zależności od tego, gdzie i kiedy wybuchnie nowy konflikt” – wspomina Meyer i zdradza przy okazji, że jego konwoje charytatywne nie były oficjalną misją pokojową, lecz własną inicjatywą przy drobnym wsparciu amerykańskich żołnierzy z niemieckiej bazy.

„Sfinansowałem wszystkie moje wycieczki na Bałkany i nie otrzymałem żadnej zapłaty. Jedna wyprawa kosztowała mnie 1000 marek niemieckich. Łącznie wydałem 160 tysięcy marek na moje 160 podróży na Bałkany w okresie od 1991 roku do końca wojny”.

Ale dla niego są rzeczy ważniejsze od pieniędzy. Uratowane ludzkie istnienia i dozgonna wdzięczność tych, którym pomagał.

„Zaprzyjaźniłem się z wieloma Muzułmanami na Bałkanach. Dziękowali mi za pomoc i klepali po ramieniu, mówiąc, że nie spodziewali się pomocy od kogoś, kto wierzy w boga” – relacjonuje.

72-letni dziś żołnierz w garażu nadal ma swoje ukochane Camaro, któremu na liczniku stuknęło już ponad milion kilometrów! Po wojnie Helge przemalował samo-

chód na żółto, lecz ostatnio wóz znów przybrał wojenne barwy. Powód? Przygotowywana ekranizacja jego przygód na podstawie książki wydanej w 2009 roku.

Choć oficjalnie przeszedł na emeryturę, Meyer podkreśla, że nie czuje się emerytem. Na Bałkany nie wraca. Nie ma pieniędzy, ani czasu. Lecz zapytany o obecne zajęcie, odpowiada krótko „Antyterroryzm”.

„Nie jestem żadnym bohaterem, tylko zwykłym człowiekiem, który wierzy w Boga. On stworzył mnie, abym przetrwał to wszystko i to mi wystarczy. Podkreślam: Nie jestem bohaterem, ale znałem bohaterów, którzy niestety teraz spoczywają pod ziemią” – kwituje „Boży Rambo”.



„W ekologii nie jest ważne, na kogo głosujemy” – mówi Areta Szpura

| Materiały prasowe

Ekologia nie jest fanaberią bogatyń ludzi

Katarzyna Pawlicka

– W tym momencie co minutę produkuje się milion plastikowych butelek. Każda z nich będzie używana przez kilka minut, góra godzin, i wyląduje na śmietniku. Butelki plastikowe emitują szkodliwe gazy cieplarniane do atmosfery i tak to się nakręca. Pamiętajmy, że dwa stopnie ocieplenia rozwalą cały system, który znamy – mówi Areta Szpura, autorka książki „Jak uratować świat, czyli co dobrego możesz zrobić dla planety”.

KATARZYNA PAWLICKA, INTERIA: – Jak Polska będzie wyglądać za 30 lat, jeśli nie zmienimy naszych przyzwyczajeń?

ARETA SZPURA: – Obraz jest dramatyczny. W Polsce mamy wody na 20 lat! Jeśli nie zaczniemy nią sensowniej zarządzać, nie będziemy mieli co pić. Brakuje też czystego powietrza. Zdążyliśmy się przyzwyczaić do smogu, ale wciąż nie zdajemy sobie sprawy, jak wielkie szkody wyrządza w naszych organizmach. Już teraz widzimy, że jest mało opadów, co prowadzi do suszy lub przeciwnie, pada non stop przez kilka dni. W konsekwencji pożywienie jest coraz droższe.

– Do zmian klimatu i tak dojdzie, ale jeśli nie zaczniemy działać teraz, staną się nieodwracalne. Pojawiliśmy się na ziemi całkiem niedawno, a już wyrządziliśmy niewyobrażalne szkody. Co 15 minut ginie jeden gatunek. Ostatnio usłyszałam wspaniałe porównanie, że Ziemia jest kulką, która leci z dużą prędkością na ścianę. Zderzenie jest nieuniknione, pytanie tylko, jakie będą konsekwencje tej kolizji. Może planeta tylko się trochę poturbuje, a może uderzy z takim impetem, że będzie po nas. Nie wiemy, co się dokładnie wydarzy, ale musimy zdać sobie sprawę, że zagrożony jest byt człowieka.

Jako Europejczycy i tak jesteśmy chyba uprzywilejowani dzięki umiarkowanemu klimatowi?

– Większość konfliktów jest powodowana zmianami klimatycznymi. Vivienne Westwood stworzyła kilka lat temu prostą mapę, na której wielki, ciągnący się od równika, czerwony pas pochłania olbrzymią część ziemi. Mowa o całej Ameryce Południowej, Afryce, Australii, części Ameryki Północnej i Azji. To tereny, które nie będą nadawały się do zamieszkania, jeśli temperatura wzrośnie średnio o 3 stopnie. Co ich mieszkańcy będą robić? Zaczną uciekać. Przyjdą właśnie do Europy, a my będziemy musieli zacząć dzielić się tym, co mamy. Nie będzie to dla nas łatwe, szczególnie w Polsce, gdzie nikt nie uczy, jak zachować się w razie katastrofy. Takie szkolenia odbywają się np. w krajach skandynawskich. Każda rodzina ma w pogotowiu plecak z najważniejszymi dokumentami i zapasem żywności w puszkach.

– Naprawdę nie chodzi tylko o plastik, słomki czy o niekupowanie ubrań. By przeżyć, musimy zmienić cały system. Nie wystarczy przerzucić się z jednej energii na drugą lub wybierać lepsze dla środowiska materiały. Jedynym wyjściem jest mocne ograniczenie konsumpcji. Wszystko, co mamy, dostaliśmy za darmo od planety. Niestety, szybko zaczęliśmy monetyzować te dobra, ale wkrótce przyjdzie za to zapłacić.

Raz jeszcze wrócę do Polski. Od 1989 roku minęło tak mało czasu, że jeszcze nie zdążyliśmy nasycić się dostępnością wszelkich dóbr. Będzie nam chyba trudniej niż naszym zachodnim sąsiadom z nich zrezygnować?

– A może właśnie nie zabrnęliśmy aż tak daleko i łatwiej się cofnąć? Nasi rodzice, a już na pewno dziadkowie nie produkowali gór śmieci, żyli rozsądniej. To jest nasza przewaga. Poza tym w genach mamy zamiłowanie do rękodziela i oszczędności.

Z drugiej strony mamy przemysł węglowy. Przez dziesięciolecia przekonywano nas, że jest dumą Polski i jedną z najważniejszych gałęzi narodowego przemysłu. Nadal zresztą ta narracja obowiązuje. Tymczasem badacze nie mają wątpliwości, że dyskurs powinien być odwrotny.

– Nie wiem, dlaczego politycy są ślepi i głusi na naukowe opracowania i twarde dowody. W ekologii nie jest ważne, na kogo głosujemy. Wszystkich powinna łączyć troska o planetę. Mam nadzieję, że politycy też wreszcie to dostrzegą. Problem polega na tym, że zazwyczaj myślą w perspektywie kadencji, a więc czterech lat. Na szczęście ludzie się budzą, a im większa świadomość społeczna, tym większy nacisk na władzę. W Stanach ruch Green New Deal jest olbrzymi. Mam nadzieję, że reszta krajów się nim zainspiruje.

1 lipca zaczyna obowiązywać Wspólny System Segregacji Odpadów.

Wszyscy będziemy dzielić śmieci na 5 kategorii. To dobre rozwiązanie?

– Posiadanie kilku koszy pod zlewem może być upierdliwe, a samo sortowanie odpadów dość skomplikowane. Ale pomyślmy, że są kraje, gdzie tych koszy jest

ponad 50! Mam nadzieję, że dzięki tej ustawie ludzie zapragną produkować mniej śmieci. Ich redukcja powinna być naszym celem. Odpowiednia segregacja nie usprawiedliwia używania rzeczy jednorazowych. Tym bardziej, że światowy recykling jest na poziomie 9 proc. Znikoma ilość tego, co wyrzucamy, jest odzyskiwana do ponownego użycia.

Czy w takim razie recykling jest nam w ogóle potrzebny?

– Oczywiście! Im lepiej będziemy segregować, tym jest większa szansa na odzyskanie surowca. Musimy myśleć, co dzieje się z rzeczami, które wyrzucamy i nie traktować ich jak śmieci, tylko cenne materiały. Mam np. problem z, popularnymi ostatnio, bio plastikami. Rozłożył się wówczas, gdy trafił do kompostownika przemysłowego. Jeśli zmieszamy je podczas segregacji ze zwykłym plastikiem, zepsują całą partię. Podobnie z drewnianymi sztuccami... Jedynym słusznym wyjściem jest korzystanie z tradycyjnych, wielorazowych talerzy i sztucców. Także na działce, biwaku czy ognisku.

Czym zastąpić same worki na śmieci? Przecież one też zazwyczaj są zrobione z plastiku?

– Przestałam kompletnie z nich korzystać. Suche odpady mam w koszu, z którym schodzę do śmietnika. Kosz na bioodpady wykładam gazetami. Tak zresztą robiło się kiedyś i to działa. Nie czuję, żeby mój komfort życia się przez to obniżył. Przynajmniej mam powód, żeby w sobotę kupić gazetę (śmiech).

Wiadomo, że powinniśmy rezygnować też z wody butelkowanej. Jakie mamy alternatywy? Czy w całej Polsce kranówka jest zdatna do picia?

– Od kilku lat piję wyłącznie wodę z kranu i mam się świetnie. Najnowsze badania mówią, że 97 proc. dostępnej w Polsce kranówki jest zdatne do picia. Woda z kranu często ma dużo lepszy skład i jest dokładniej kontrolowana niż woda źródlana sprzedawana w plastikowych butelkach. Nie mówiąc o tym, że mamy do niej dostęp właściwie w każdym momencie i płacimy grosze. Rezygnując z tej butelkowa-

nej, w perspektywie roku spokojnie zaoszczędzimy kilkaset złotych. Jeśli kochamy wodę gazowaną, możemy kupić syfon i robić ją w domu.

– Najważniejsze są oczywiście aspekty ekologiczne. W tym momencie co minutę produkuje się milion plastikowych butelek. Każda z nich będzie używana przez kilka minut, góra godzin, i wyląduje na śmietniku. Butelki plastikowe emitują szkodliwe gazy cieplarniane do atmosfery i tak to się nakręca. Pamiętajmy, że dwa stopnie ocieplenia rozwalą cały system, który znamy. Bardzo dużo zamrożonych związków i gazów cieplarnianych jest w lodowcach. Kiedy dojdzie do ich rozpuszczenia, większość miast na świecie zaleje woda. Może też dość do kolejnego wielkiego wybuchu. Niesamowicie, że wiemy o tym wszystkim i dalej nic nie robimy.

Wiesz, skąd bierze się ta lekkomyślność?

– Zastanawiam się. Często nie widzimy problemów, które są najbliżej nas. Mózg ma opcję wyparcia, z której chętnie korzystamy. Muszę jednak dodać, że myślących i działających osób jest coraz więcej. Na ulicę wychodzi młodzież, która ma świadomość ogromu szkód i zagrożeń, jakie niesie za sobą niepohamowana konsumpcja.

W książce pokazujesz, że troska o planetę nie wymaga od nas wielkiego poświęcenia. Zainicjowałaś akcję „Tu pijesz bez słomki”. Dlaczego pomyślałaś akurat o tym, stosunkowo niewielkim, kawałku plastiku?

– Słomki są super symbolem, ponieważ są plastikowe, jednorazowe i... zbędne. Nie trafiają też do recyklingu, bo są za małe. Zaczęłam od nich, by zacząć dyskusję o plastiku i ociepleniu klimatu. Dobrze skupić się na początku na jednej rzeczy i zmniejszyć cel, żeby się nie zniechęcić. Chodziło o pokazanie, że nasza mała decyzja naprawdę ma sens, znaczenie i wpływ. Poczucie sprawczości daje kopa do działania. Kawiarnie zaczęły dawać zniżki na kawę do własnego kubka, wprowadziły serwetki z makulatury, papierowe torebki czy pudełka na jedzenie.

Które przedmioty codziennego użytku powinniśmy wyeliminować lub znaleźć dla nich lepsze zamienniki?

– Ekologia nie jest fanaberią bogatych ludzi. Wręcz przeciwnie, to zysk dla gospodarstwa domowego. Najłatwiej zacząć od analizy kosza na śmieci. Zobaczyć, co w nim jest. Zdarza się, że po zakupach zostaje nam niewiele produktów i wielka sterta opakowań. Dziś pakuje się niemal wszystko: pomidory, sałatę, sery, jogurty... Może jest szansa, że któryś z tych produktów możemy kupić bez zbędnego plastiku? Może mamy na osiedlu warzywniak, do którego możemy przyjść z własnym siatkami? Jest coraz więcej sklepów sprzedających kasze czy zboża na wagę. Nawet duże sieci zaczynają wprowadzać takie działy.

– Podobnie w łazience: zamiast kupować co tydzień nowy żel pod prysznic, możemy wrócić do korzystania z mydła w kostce. Są też szampony w kostce, które sprawdzą się na co dzień i w trakcie podróży. To samo z bambusowymi szczoteczkami do zębów. Łatwo zrobimy samodzielnie np. dezodorant. Sodą, octem i kwasem cytrynowym wyczyścimy cały dom bez konieczności kontaktu ze żrącymi substancjami.

I bez wydawania pieniędzy na ekologiczne produkty, które są często drogie, a do tego pakowane w plastikowe opakowania.

– Naprawdę zyskujemy grając w drużynę razem z planetą. Dużo osób pytało mnie, dlaczego moja książka nie ma grzbietu. Podjęłam taką decyzję, by nie używać plastiku i kleju. Przy okazji dużo łatwiej się ją otwiera, co jest nieoczekiwanym profilem.

– Jest wiele świetnych artykułów traktujących o tzw. blue economy, czyli projektowaniu w zgodzie z naturą. Powstają budynki, które nie potrzebują ogrzewania ani klimatyzacji, bo uczą się od roślin. Wszystkie rozwiązania, których potrzebujemy już istnieją, tylko nie dystrybuujemy ich równo na świecie. Większość złych działań wynika z niewiedzy, dlatego powinniśmy edukować: rodzinę przy obiedzie, sąsiadów, znajomych. Od tego zależy nasze przetrwanie.

Tylko przemysł paliwowy szkodzi planecie bardziej niż odzieżowy. Czy są gorsze lub lepsze dla przyrody materiały? Faktycznie powinniśmy całkowicie zrezygnować z poliestru, który przedłuża trwałość ubrań?

– Nie ma jednej dobrej odpowiedzi poza tą, by po prostu nie kupować nowych rzeczy. Mam plan na ten rok, żeby nie kupować nic z pierwszego obiegu. Samej chęci nabywania nie pozbędziemy się tak szybko, ale możemy zrobić wymianki ubrań wśród znajomych, w każdym mieście są second handy. Jeśli idzie o materiały, kupowanie z drugiej ręki jest najlepszym sprawdzianem. Widzimy, że rzecz przetrwała kilka prań i nie wygląda jak szmata, więc prawdopodobnie posłuży jeszcze długo. Poza tym możemy kupować rzeczy lepszej jakości w dużo lepszej cenie.

– Jeśli już kupujemy coś nowego, ważne, żeby wybierać naturalne materiały, które szybko się rozłożą, np. len, bawełnę organiczną. Recykling ubrań dopiero raczkuje. Pamiętajmy też, że skóra jest naszym największym organem. Jeżeli rzecz kosztuje 10 złotych, do jej produkcji na pewno użyto najtańszych barwników. Nie mówiąc o warunkach, w jakich została wyprodukowana.

Co jakiś czas w mediach pojawiają się informacje o poparzeniach chemicznych z tanich butów lub ubrań.

– Ludzie, którzy pracują w sieciówkach, wykładają towar z dostawy w rękawiczkach, żeby uniknąć poparzeń. Te historie są bardzo często wyciszane, z wiadomych względów, przez koncerny. Kiedy zaczęłam przygodę z ekologią, wkręciłam się w eko marki i trochę mnie poniosło. Zaczęłam kupować, np. kurtkę z butelek z recyklingu. Cieszyłam się bardzo, ale kiedy wróciłam do domu, zobaczyłam, że mam trzy kurtki i właściwie nie potrzebuję kolejnej. Kupowanie z zasady nie jest eko. Poza tym ubrania robione z plastikowych butelek, prędzej czy później zostaną wyrzucone i będą zalegać na śmietniku.

– Szkło możemy przerabiać w nieskończoność bez utraty jakości surowca, a plastik możemy przetopić tylko kilka razy i za każdym razem jest coraz słabszy, nie może mieć kontaktu z żywnością. Serek ma datę ważności dwa tygodnie, a jego opakowanie 500 lat! Oczywiście, plastik sam w sobie nie jest złym materiałem, tyl-

ko powinien być używany zgodnie z jego przeznaczeniem, czyli np. w transporcie. Już lepiej robić z niego pomniki niż ciuchy. Nie mówiąc o mikroplastiku, który przy praniu (włókienka odchodzą i są tak małe, że nie zobaczymy ich gołym okiem) przedostaje się do wód, które później pijemy.

Od czego w takim razie najlepiej zacząć zmiany?

– Całkowicie zrezygnować z toreb foliowych, zwłaszcza cienkich zrywek, w które pakujemy owoce, warzywa czy pieczywo, a po powrocie do domu rozrywamy i wyrzucamy do kosza. Dwie cytryny damy radę włożyć do kieszeni, nawet jeśli nie mamy materiałowej torebki. Natura jest naprawdę mądra i nie bez przyczyny dała owocom i warzywom skórki. Kiedy używam swoich woreczków, zawsze spotykam się ze zrozumieniem. Co więcej, panie kasjerki dopytują, gdzie można kupić podobne.

– W tym momencie każde zwierzę ma w sobie kawałki plastiku. Tak samo jest z ludźmi. Nie możemy poradzić sobie z tym, co już wyprodukowaliśmy, a dopiero teraz firmy ogłaszają, że od 2030 roku zaczną używać plastiku, który w 100 procentach nadaje się do recyklingu. Gospodarka zamkniętego obiegu musi być na pierwszym planie. Naprawdę nie musimy zmieniać życia o 180 stopni, tylko małymi krokami wprowadzać ulepszenia i cieszyć się z nich.



„Spośród ewangelistów jedynie Łukasz przywiązuje wagę do tego, że Bóg przychodzi również do kobiet”

– mówi Zuzanna Radzik

| Tomasz Urbanek East News

Katolickie feministki chcą zmian w kościele

Izabela Grelowska

We wczesnym chrześcijaństwie kobiety pełniły ważne funkcje w Kościele. Nauczały, były apostołami i diakonami. Kiedy i dlaczego utraciły swoją rolę? Jakiego są tego konsekwencje? O kapłaństwie kobiet, władzy w Kościele i o tym, czy umierając na krzyżu Chrystus odkupił również kobiety, rozmawiamy z Zuzanną Radzik, teolożką, autorką książek „Emancypantki. Kobiety, które zbudowały Kościół” i „Kościół kobiet”.

IZABELA GRELOWSKA, STYL.PL: Opowieść o św. Tekli to doskonały materiał na film.

ZUZANNA RADZIK: – Tekla jest bardzo współczesną bohaterką. Mogłaby być patronką akcji #metoo, bo od samego początku doświadcza, że jej ciało znaczy dla mężczyzn coś, czego ona nie chce. Św. Paweł odmawia jej chrztu, bo uważa, że jest zbyt piękna. Tekla wędruje jego śladem i zostaje napadnięta na ulicy przez obcego mężczyznę, który próbuje ją „pocałować”. To ewidentna sytuacja molestowania seksualnego, na które ona się nie godzi. Broni się i zostaje oskarżona o znieważenie dostojnika miejskiego. Jest sądzona i skazana na śmierć. Na arenie, naga, przemawia przed naczelnikiem miasta. Kiedy kończyłam ten rozdział, na Marszu Kobiet w Los Angeles Natalie Portman opowiadała, jak po filmie „Leon zawodowiec” jako 13-latką doświadczała seksualnego zainteresowania fanów i hejterów. Jak uczyła się pracować ze swoim ciałem, żeby nie budziło takich emocji i jakie koszty emocjonalne poniosła w związku z tym. Zrozumiałam wtedy, że Portman i Tekla to ta sama historia rozdzielona o 19 wieków.

Tekla spotkała się z dużym poparciem innych kobiet. Nie wiem, czy w dzisiejszych czasach mogłaby liczyć na tak solidarną postawę.

– Prawdopodobnie tekst powstał w kręgach kobiet i wdów. Odnosi się do tematów, na które ówcześni mężczyźni raczej nie byli wrażliwi, i bardzo dowartościowuje kobiety. W tej opowieści świat się dzieli na to, co żeńskie i to, co męskie. Lwica staje po stronie Tekli, lew jest przeciw niej.

Można potraktować kręgi wdów jako pierwsze chrześcijańskie feministki?

– Byłabym ostrożna z anachronicznym używaniem terminów, ale tekst przedstawia kobiecy punkt widzenia. Powstał w II wieku, w momencie kiedy kobiety zaczynają tracić różne role w Kościele. Kościół jest jeszcze nieoficjalną instytucją, ale już ma swoich biskupów, stabilizuje się. Wykuwa się konkretny kształt tego wcześniej anarchistycznego ruchu. Kształtują się struktury, określa się kto jest heretykiem,

kto jest „poza”. I często poza Kościołem lądują grupy prokobiece. Dużo się zmienia i one wyraźnie czują, że ten proces następuje.

– Autorzy Listów Apostolskich są wyraźnie zainteresowani uregulowaniem tematu wdów. Widać, że przyszedł czas, by energię kobiet w Kościele skanalizować w bezpieczny sposób. Z pewnością świat na zewnątrz też nie chce rewolucji genderowej. Kościół pilnuje się, żeby pod tym względem nie rzucać się w oczy. Widzimy to u św. Pawła, który z jednej strony mówi, że „nie ma mężczyzny ani kobiety”, a z drugiej poucza, jak kobiety powinny się zachowywać i jest to dalekie od rewolucji.

Ta formuła chrzcielna „nie ma mężczyzny ani kobiety” robi ogromne wrażenie. Czy Kościół miał w swoich początkach jakiś potencjał równościowy, który być może został zaprzepaszczony?

– Bardzo wiele wskazuje na to, że rzeczywiście była to formuła chrzcielna. Jakie były jej konsekwencje? Mogło być tak, że wchodziło się do basenu, wypowiadano te słowa, ale po wyjściu wracano do świata, który się nie zmienił. Kobiety nadal ubierały się jak kobiety, mężczyźni jak mężczyźni. Wszyscy wiedzieli, jak się zachować na zgromadzeniach, ale odnosili się do siebie inaczej, bo wiedzieli, że są równi. Podobne zalecenia św. Paweł ma w stosunku do niewolników – nie każe ich uwalniać, ale traktować jak braci. Może na tym zatrzymywały się aspiracje i równość przeżywano w sekrecie.

– Ale mamy też przykład Kościoła rzymskiego, który jest pełen kobiet pełniących ważne role. Jest apostoł Junia, diakon Febe, Pryska, która gości Kościół w swoim domu i naucza. Są też wymieniane inne kobiety, które trudzą się dla ewangelii. Co się stało, że ich publiczna działalność została ograniczona? W pewnym momencie musiały zauważyć, że sprawy wyślizgują się im z rąk. To spowodowało bunt i frustrację, która wyziera z opowieści o Tekli.

Bunt?

– Tak. Tekla w końcu sama chrzci się na arenie, po czym oświadcza Pawłowi, że teraz idzie głosić. Nie potrzebuje pośrednictwa, ani pozwolenia. To jest świadectwo,

że coś się w tym temacie gotuje. Tekla stała się bardzo popularną świętą, zainspirowała wiele kobiet. Z okruszków, które znajdujemy w starożytności: z fragmentów apokryfów, czy z inskrypcji, dowiadujemy się, że istniała mocna tradycja przywództwa kobiet, które często odwołują się do Tekli czy diakona Febe z Listu do Rzymian. To kropki, które zaczynają układać się w obraz.

Czy istnienie Febe może mieć wpływ na dyskusję o tym, czy kobiety mogą być diakonami?

– Febe została nazwana diakonem, ale nie wiemy, co to dokładnie oznaczało. Rzeczownik sugeruje posługę. Z pewnością pełniła ważną funkcję. Możemy spekulować, ale podkreślam, że nie została określona jako diakonisa, co oznaczałoby posługę skierowaną tylko do innych kobiet, np. służenie przy ich chrztach. Febe wyraźnie została nazwana diakonem. Jej postać i cała wymieniona w Liście do Rzymian lista kobiet pełniących ważne funkcje skłania do postawienia pytania, dlaczego nasz Kościół tak nie wygląda. To jest lepszy sposób na rozpoczęcie dyskusji niż „my byśmy chcieli”. Warto się zastanowić dlaczego Febe mogła być diakonem, a Junia mogła być apostołem. Dlaczego mogły mieć takie role w Kościele, które dzisiaj nie są dla kobiet dostępne.

Junia apostoł jest chyba bardzo niewygodna, skoro w tłumaczeniach Pisma Świętego zmieniono jej płeć. To rodzi pytanie, na ile możemy mieć zaufanie do tłumaczeń, skoro dopasowują fakty do tezy.

– Bibliści, którzy na początku XX wieku przygotowywali krytyczne wydanie Nowego Testamentu, uznali, że kontekst sugeruje płeć męską. Śmieję się, że chyba chodzi o kontekst, w którym żyli ci bibliści, czyli świat z roku 1927, gdzie kobiety nie są apostołami, i nie pełnią żadnej rangi w Kościele, a w społeczeństwach dopiero co dostają prawo głosu. Bo z pewnością nie wynika to z kontekstu starożytnego. Imię Junias nie istniało, natomiast imię Junia było bardzo popularnym imieniem żeńskim. Co więcej Ojcowie Kościoła nie mają żadnych wątpliwości, że chodziło o ko-

bietę, dziwuję się jedynie, że miała taki autorytet. Główną pobudką biblistów było to, że nie wyobrażano sobie, żeby kobietę nazwać apostołem.

– W edycji z lat 90. bez słowa komentarza Junia znowu stała się kobietą. Niestety do tego czasu na podstawie wydań krytycznych dokonano tłumaczeń na języki narodowe. Są one skażone tym błędem.

Kobiety nie tylko pełniły ważne funkcje w Kościele. Stawia pani tezę, że Bóg bardziej bezpośrednio kontaktuje się z kobietami. To Maria rozmawia z aniołem podczas zwiastowania. Z aniołami rozmawiają też kobiety przy grobie Jezusa.

– Spośród ewangelistów jedynie Łukasz przywiązuje wagę do tego, że Bóg przychodzi również do kobiet i że są one ważnymi graczami w historii zbawienia. Ale we wszystkich ewangeljach kobiety, które przychodzą do pustego grobu są wymienione z imienia, musiały to być zatem postacie znaczące, których nie można było pominąć. Trudno jest sobie wyobrazić, że przekazały uczniom nowinę, a potem nagle przestały mówić. Myślę, że one nadal głośno mówiły.

Wśród nich Maria Magdalena „apostołka apostołów”...

– Maria Magdalena jest wymieniana w grupie kobiet u grobu we wszystkich czterech Ewangeljach. Musiała mieć ogromny autorytet, który później próbowano zgasić. Ostatecznym ciosem było kazanie papieża Grzegorza Wielkiego o Marii Magdalenie jako o nierządnicy. Zrobił z niej po prostu dziwkę i ta opinia przylgnęła do niej na wieki.

Dobry sposób, by zdyskredytować kobietę.

– Idealny. W ten sposób odebrano jej autorytet apostołski. Teksty odkryte w Nadż Hammadi potwierdzają, jak ważną postacią była we wczesnym chrześcijaństwie. Dobrze, że papież Franciszek podniósł rangę dnia, w którym wspominamy Marię Magdalenę, do święta takiego samego jak wspomnienie innych apostołów. Myślę, że kobiety powinny to podchwycić i pochylić się nad jej apostołskim powołaniem.

Ale kobiety były też dyskredytowane jako takie. W wielu wczesnochrześcijańskich opowieściach widzimy, że kobieta musi nie tylko przewyciężyć swoje ludzkie ograniczenia, ale też niejako wyjść ze swojej kobiecości, jakby ona sama w sobie przeszkadzała w życiu duchowym.

– Starożytność, nie tylko chrześcijańska, myślała o kobietach w sposób bardzo niepocholebny. Wzmagaly się nurty pogardzające cielesnością, z którą kobieta była mocniej wiązana poprzez swoją fizjologię: krwawienie, porody, połogi, karmienie. Uważano, że nie jest zdolna do takich wyżyn ducha jak mężczyzna. Ojcowie Kościoła zastanawiali się nawet czy męczennica dzielnie znosząca śmierć nie staje w jakiś sposób mężczyzną.

– Kobiecość trzeba było pokonać. Wiązała się z dłuższą, cięższą drogą. Dzisiaj mamy odwrócenie tej sytuacji. Obecnie chrześcijański stereotyp łączy kobiecość z łagodnością i empatią. Te cechy są bliższe ideałowi życia chrześcijańskiego i to mężczyźni muszą się bardziej natrudzić, by go osiągnąć. Kobietom odbiera to zasługi, bo przecież dla nich poświęcenie się dla innych to też jest koszt i wysiłek. Stereotypy na temat płci panujące w danych czasach mają wpływ również na życie duchowe.

Ale jest wątek wspólny. Kobiecość jest wiązana z pewną duchową ułomnością.

– Tak. Jeśli, jak kiedyś zrobiła to teolog Monika Waluś, przeanalizujemy argumentację papieży, którzy w XIX i XX wieku ogłaszali kobiety świętymi, to często napotkamy na sformułowania: „Stała się taka mężna”, „Kobieta, której prawie wyrosła broda”. To są w miarę współczesne teksty, w których obserwujemy zdziwienie, że można się wybić od kobiecości do świętości.

Bo świętość jest jednak męska?

– Cały czas, nie tylko w starożytności, tak myślano. Możemy znaleźć na to dowody.

Czy blokada wokół tematu kapłaństwa kobiet jest związana z przekonaniem, że jest granica rozwoju duchowego, której kobiety nie mogą przekroczyć?

– Przyczyn jest wiele. Na pewno istnieje silne przywiązanie do tradycyjnej teologii, która mówi, że nie ma takiej możliwości. Ludzie są z tym pogodzeni, nie lubią zmian. Ale zwraca uwagę nerwowość, z jaką ta dyskusja jest zamykana. Biskup William Morris z Australii został zmuszony do rezygnacji przez Benedykta XVI, tylko dlatego, że napisał w liście pasterskim, że wyświęcałby kobiety, gdyby Watykan się na to zgodził. Nie chciał tego robić wbrew Watykanowi, po prostu podniósł temat. Możemy to zestawić z historią kardynała Theodore McCarricka, który przez wiele lat molestował i nikt nie kazał mu rezygnować z bycia biskupem. To pokazuje jak śmiertelnie poważnie jest traktowane nawet lekkie wychylenie w temacie kapłaństwa kobiet. Dlatego ludzie są bardzo zdyscyplinowani. Trzeba naprawdę nie mieć nic do stracenia, żeby oficjalnie zabrać głos w tej sprawie. Jeśli pełni się zawodowo jakieś funkcje w Kościele, będzie to prowadzić do zwolnienia.

A dlaczego w ogóle miałyby się podejmować tę dyskusję?

– Dlatego, że w Kościele władzę mają tylko duchowni, a duchownymi są zawsze mężczyźni. Według kościelnej nomenklatury nawet zakonnice są świeckie. Wszelka władza, jaką dysponują świeccy w Kościele jest zawsze delegowana i może być zabrana. I coraz bardziej znaczące jest pytanie, w którym momencie się na to zgodziliśmy.

– Jak możemy wprowadzać zmiany w Kościele, żeby był przejrzysty, żeby nie dopuszczał do afer pedofilskich, które idą później na konto całej wspólnoty, a nie tylko molestujących biskupów czy księży, jeśli nie mamy żadnego sposobu pociągania do odpowiedzialności naszych własnych dostojników kościelnych? Dlatego rozmowa między kobietami i mężczyznami, a także między duchownymi i świeckimi, o tym kto sprawuje władzę w Kościele jest potrzebna. Blokowanie tematu kapłaństwa kobiet wynika z obawy przed utratą władzy.

Pojawia się też argument, że kobiety nie mogą być kapłanami, ponieważ w czasie sprawowania mszy ksiądz niejako reprezentuje Chrystusa, który był mężczyzną. To oznaczałoby, że chrystusowe bycie mężczyzną jest ważniejsze niż bycie człowiekiem.

– Tak. Możemy zapytać, czy jeśli Chrystus wcielił się tylko w mężczyznę, to czy nastąpiło też odkupienie kobiet? Czy to naprawdę będzie taki dysonans, jeśli kobieta wypowie słowa: „To jest ciało moje”? Czy można zakładać, że ludzie wierzą w transsubstancjację, a nie poradzą sobie z tym, że kobieta stoi przy ołtarzu, kiedy ona się dokonuje?

– Nie rozumiem, dlaczego akurat bycie mężczyzną jest tą cechą, którą musimy kontynuować od apostołów. Dlaczego nie bycie obrzezanym Żydem, albo rybakiem. Jeśli cechy fizyczne są takie istotne, to dlaczego męskość jest jedyną, do której się przywiązaliśmy? To są poważne pytania, ale pozostają bez odpowiedzi, bo nie ma dyskusji na temat kapłaństwa kobiet. O czym zatem możemy rozmawiać, jeśli chodzi o kobiety w Kościele? Chyba, że w ogóle nie ma chęci takiej rozmowy. Ale nas jest więcej niż połowa z miliarda dwustu milionów katolików na świecie. Chyba warto wziąć nas pod uwagę.

Wydaje się, że Kościół ma całkiem sporo do powiedzenia na temat kobiet...

– Może przydałoby się jednak więcej namysłu, a mniej kompulsywnego wydawania stanowisk. Świat się zmienia, inaczej mówi się o rolach płciowych, a tu wciąż wydawane są listy pasterskie potępiające gender. Lepiej byłoby się uspokoić i zastanowić. Teologia ciała Karola Wojtyły nie załatwia sprawy, bo również jest uwikłana w stereotypy płciowe swoich czasów. W wielu momentach opiera się o stwierdzenia typu „bo kobieta to widać, że jest taka i taka”.

– W konsekwencji mamy teraz duszpasterzy internetowych, którzy głoszą mądrości w rodzaju „kobiety dbają o szczegóły, więc lepiej dekorują domy”, „mąż wraca z pracy, a żona gotuje obiad”. Dla kobiet tworzona jest pewna matryca, w której powinny się zmieścić. Problem w tym, że tworzą ją biskupi i duszpasterze, którzy nie znają się na takich kobietach jak na przykład ja. Nikt z nich do mnie nie

przychodzi i nie pyta: „Jak ty żyjesz dziewczyno, jakie są przed tobą wyzwania?”. Ja tylko słyszę, jakie one są według nich.

Głosy kobiet nie są brane pod uwagę?

– Przed jedną z konferencji poświęconych kobietom kardynał Gianfranco Ravasi wpadł na pomysł, że warto by się skonsultować z samymi zainteresowanymi. Kobiety miały przysyłać minutowe filmiki o tym, jak to jest być katolicką kobietą. Prośba została ogłoszona przed samymi świętami, kiedy kobiety mają roboty po uszy. Nie wzięto też pod uwagę, że Kościół nie kończy się na Francji czy Stanach Zjednoczonych i nie każda katolicka kobieta na świecie może po prostu wziąć telefon do ręki i nagrać minutowy filmik. To zostało określone jako konsultacje, ale nie miało prawa przynieść jakichkolwiek wymiernych rezultatów. Dlatego pojawiły się głosy kobiet katolickich, które chcą być przez biskupów usłyszane. Chcemy przerwać to zakłęte koło, w którym powołuje się biskupa do spraw teologii kobiet, podczas kiedy od 40 lat kobiety piszą teologię.

Co to znaczy być katolicką feministką?

– Feminizm katolicki nie jest jednolity, ale dla nas wszystkich ważne jest przekonanie, że chrześcijaństwo naprawdę ma w sobie przesłanie fundamentalnej równości kobiet i mężczyzn, a Kościół może być wspólnotą, w której ono się realizuje. To może być trudne, to może być wielka zmiana, rozciągnięta w czasie, ale powinniśmy mieć przynajmniej jakiś plan.

– Ja chciałabym innego Kościoła. Uważam, że Bóg daje Kościołowi dary poprzez jego członków. Odrzucając kobiety od posługi, odrzucamy boże dary. Formatując kobiety według arbitralnie przyjętych założeń nie traktujemy poważnie tego, co mogą one dać Kościołowi.

Po lekturze „Kościoła kobiet” odniosłam wrażenie, że katolickie feministki funkcjonują na obrzeżu Kościoła, a sama instytucja jest tak skostniała, że

nie wywołają na niej nawet rysy. Czy widzicie sens trwania przy Kościele, który nie daje żadnych widoków na zmianę?

– Przy całej niewygodzie jaką odczuwam, jest to nadal mój Kościół. Nigdy się z niego nigdzie nie wybierałam. Mam nadzieję, że nie dojdzie do momentu, w którym ktoś by mnie przekonał, że nie ma tu dla mnie miejsca. Nie chcę być chrześcijanką poza wspólnotą. Chrześcijaństwo to nie jest tylko moja relacja z Bogiem, ale relacja z Bogiem, która otwiera mnie na świat i innych ludzi. Wspólnota jest tego weryfikacją.

Są też inne wspólnoty...

– Ja jestem bardzo katolicka. Kult świętych, sakramenty i teksty tego Kościoła są dla mnie ważne. Wśród luteranów czy metodystów byłabym farbowanym lisem. Oczywiście mogłabym zamknąć się w domu, okopać tekstami, postaciami świętych i przetrwać. Ale nie potrafię się w ten sposób odizolować, nie godzę się też na to, by ktoś zawłaszcział mój Kościół. To nie jest tylko moje doświadczenie, jest nas naprawdę dużo, o czym przekonałam się choćby z listów, jakie dostałam po publikacji „Kościoła kobiet”. Tę książkę pisałam trochę sama dla siebie, jako opowieść, która mnie przytrzyma i pokaże mi samej, że da się być kobietą w Kościele.



„Absurdem jest brak edukacji w kontekście antykoncepcji” – mówi Anja Rubik

| Paweł Wrzecion MWMEDIA

Bajki o bocianie i noworodku w kapuście należy sobie odpuścić

Katarzyna Pawlicka

Anja Rubik nie musi walczyć ze stereotypem modelki. Od lat pokazuje, że nie ma przeszkód, by piękne ciało szło w parze z inteligencją, empatią i wrażliwością społeczną. W ubiegłym roku ruszyła z kampanią „#sexedpl” i udowodniła Polakom, że o seksie można rozmawiać spokojnie, rzeczowo, bez cienia wulgarności. Teraz wydała podręcznik dla młodzieży, w którym próżno szukać tematów tabu.

KATARZYNA PAWLICKA, INTERIA: Przeczytałam ostatnio przerażającą wypowiedź ginekologa, prof. Romualda Dębskiego. Wspominał pacjentkę, która zaszła w ciążę w wyniku stosunku przerywanego i bała się, że jej dziecko urodzi się w kawałkach... Wtedy pomyślałam sobie, że chyba nie tylko nastolatkom potrzebują solidnej i wielopoziomowej edukacji seksualnej.

ANJA RUBIK: – Nie jest tak, że ludzie, którzy uprawiają już seks, nie potrzebują edukacji seksualnej. Trzeba zacząć od tego, że wiele osób w ogóle nie wie, co to jest edukacja seksualna. Mylą ją z kamasutrą, ograniczają do metod antykoncepcji oraz infekcji przekazywanych drogą płciową. Tymczasem edukacja seksualna to pojemny worek mieszczący w sobie takie tematy jak dorastanie, zmiany zachodzące w ciele i umyśle, wiedzę o orientacjach seksualnych, cielesności, przyjemności, którą można czerpać z seksu.

– Tworząc podręcznik „#sexedpl” dużo nauczyłam się o sobie i jeszcze więcej o tolerancji i akceptacji. Seks dotyczy każdego z nas: naszego zdrowia, samopoczucia. Młodzież jest natomiast w szczególnej sytuacji, bo dopiero wkracza w jego świat. Jak ma się do tego przygotować odpowiedzialnie, gdy nie wie nic o funkcjonowaniu i budowie narządów płciowych? Na lekcjach wychowania do życia w rodzinie przekazuje się im dużo mylnych informacji. W większości te zajęcia prowadzone są przez osoby bez kwalifikacji.

Które z mitów przekazywanych młodzieży w szkole są twoim zdaniem najbardziej szkodliwe?

– Mitów jest tak dużo, że mogłabym siedzieć godzinami i wymieniać. Powiem więc o informacjach, które znalazły się w dopuszczonym przez Ministerstwo Edukacji podręczniku szkolnym. Przeczytamy tam, że kalendarzyk małżeński jest metodą antykoncepcji, a jeśli jesteś gejem, musisz się leczyć. Masturbacja według autorów jest przejawem niedojrzałości, natomiast ginekolog to nie dentysta – nie chodzi się do niego regularnie. Nie mówiąc o stereotypach płciowych – jeżeli twoja koleżanka ma problemy z matematyką, pomóż jej, bo dziewczynki z zasady gorzej radzą sobie z przedmiotami ścisłymi.

Wygląda na to, że jeśli chodzi o poziom edukacji seksualnej w polskiej szkole, jest gorzej niż w latach 90.

– To jest po prostu bardzo słaby podręcznik. Po ubiegłorocznej kampanii zaczęłam dostawać mnóstwo wiadomości od młodych ludzi, którzy pisali o tym, co usłyszeli w szkole czy od znajomych. Powtarzały się te same sformułowania, np., że okres to krwawe łzy macicy, która płacze, bo nie ma w środku dziecka, albo że jak się podmyjesz coca-colą, to nie zajdziesz w ciążę. Wiele z tych informacji pochodzi od księży, np. „jeżeli kobieta zaszła w ciążę przez gwałt, to znaczy, że chciała mieć dziecko”; „jak uprawiasz seks pierwszy raz, to nie zachodzisz w ciążę”, że seks w małżeństwie jest obowiązkiem.

– Duży procent polskich nastolatków zaczyna życie seksualne od stosunku analnego, żeby zachować błonę dziewiczą i uchronić się przed ciążą. Nie myślę przy tym o infekcjach przenoszonych drogą płciową, a statystyki mówią o powrocie rzeżączki, kiły – chorób, które były właściwie na wyginięciu. Wzrasta też liczba osób zarażonych HIV, w większości wśród młodzieży.

– Żyjemy w czasach, gdzie i mężczyźni i kobiety wpadają w pułapkę oczekiwań i stereotypów. Mężczyźni boją się wrażliwości, a kobiety nie są w stanie sprostać byciu idealną gospodynią domową.

Wiedzę o dojrzewaniu i seksie czerpałam z książki „Co się dzieje z moim ciałem” wydanej w 1994 roku – całkiem przyzwoitej, ale przeznaczonej wyłącznie dla dziewczyn i pomijającej temat orientacji seksualnych czy przemocy seksualnej. „#sexedpl” nie wyklucza ze względu na płeć, porusza często zagadnienia pozornie niezwiązane z wąsko pojętą edukacją seksualną.

– Część merytoryczną współtworzyłam ze świetną psycholożką – Basią Baran. Dużą inspiracją była dla mnie zeszłoroczna kampania, która uświadomiła mi, jakie tematy powinny się w książce pojawić. Wiedziałyśmy, że wśród nich musi znaleźć się pierwszy raz, rozmowa z ginekologiem, informacja o tym, czym zajmuje się urolog, bo wielu mężczyzn nie wie, do jakiego lekarza zgłosić się z problemem. Czytałam profile każdego z zaangażowanych w powstawanie „#sexedpl” ekspertów.

Udział w powstawaniu książki mieli też nastolatkwie. Czy coś wzbudziło w pierwszych czytaniach ich sprzeciw?

– Czytali każdy rozdział i wysyłali mi notatki. To był trudny proces, szczególnie dla ekspertów, którzy mają ogromną wiedzę i chcieli wnikliwie przedstawić swój temat. Mnie z kolei bardzo zależało, żeby książka była prosta, dostępna, żeby czytało się ją fajnie. Nastolatkwie pisali do mnie, co jest nudne, a co ciekawe. Pod wpływem ich opinii zmieniałam język, czasem coś wykreślałam lub rozwijałam. Często było też tak, że obawiałam się, czy jakiś fragment będzie zrozumiały, tymczasem młodzież nie miała żadnego problemu z jego odbiorem. Pierwszych czytelników bardzo irytowało, gdy zagadnienia się powtarzały. „Ja nie jestem głupi, już o tym pisałaś” – mówili. O niektórych rzeczach specjalnie piszę więcej niż raz, bo są wyjątkowo ważne. Oczywiście część wizualną książki także stworzyła młodzież. Zorganizowałam konkurs na Instagramie, na podstawie którego zrobiłam casting. Zgłosiło się 60 osób z całej Polski, były też Polki i Polacy mieszkający za granicą. Następnie, Zuza Krajewska sfotografowała ich w różnych, codziennych sytuacjach. Pytałyśmy dziewczyny i chłopaków, gdzie się spotykają, gdzie się chodzi na randki i jak spędzają wolny czas. Dzięki temu historie uchwycone na zdjęciach były autentyczne. Powstały podczas wyjść z przyjaciółmi, randek, pocałunków. Wszystko, by ten podręcznik był jeszcze bardziej ich.

W „#sexedpl” sama znalazłam terminy, o których znaczeniu nie miałam pojęcia, wspomnieć choćby tranzyję czy grooming.

– Młodzież wie, co to jest grooming czy sexting, ale często nie ma pojęcia, co to są upławy, lekarz pierwszego kontaktu.

Być może o tych zjawiskach pisze się dużo w internecie.

– Problem polega na tym, że w internecie jest wszystko. I zanim dzieciak dotrze do dobrego źródła i sprawdzonych informacji, przeczyta po drodze mnóstwo głupot, które po prostu mogą mu bardzo zaszkodzić. Dlatego na naszej stronie i w książce podajemy linki do stron rzetelnie przedstawiających temat.

Jaka jest w tym wszystkim rola rodzica? Kiedy powinien zacząć rozmawiać z dzieckiem o seksie? Rodzicom często wydaje się, że ich córka jest jeszcze małą dziewczynką, a syn słodkim urwisem. Tymczasem niepostrzeżenie osiągną pełnoletność.

– Zdecydowanie od najmłodszych lat. To nie powinien być temat, który zawstydza. Jeśli nagle pojawi się pytanie dotyczące seksu, a my nie jesteśmy na nie gotowi lub nie znamy odpowiedzi, nie kłammy – dzieci bardzo szybko orientują się, że są oszukiwane. Bajki o bocianie i noworodku w kapuście należy sobie odpuścić. Zaproponujmy, że możemy razem poszukać odpowiedzi. Jeśli kochamy swoje dziecko i tłumaczymy spokojnie, na pewno nie przesadzimy z nadmiarem informacji. Dzieciaki mimowolnie podchodzą do tematu seksu i dojrzewania w bardzo naturalny sposób. Ważne, by sztucznie nie tworzyć tabu.

– Niedawno rozmawiałam ze znajomą mieszkającą w Nowym Jorku, która ma 7-letniego i 11-letniego syna. W szkole młodszego poruszano już temat złożonej seksualności. Chłopiec nie miał żadnego problemu z przyswojeniem tej wiedzy, podszedł do niej bez uprzedzeń, nie robił sensacji. Starszy syn wie dokładnie, co czeka go w najbliższej przyszłości – jak będą wyglądać zmiany w ciele i w głowie. Takie przygotowanie jest szalenie istotne.

Mówisz o edukacji seksualnej w Nowym Jorku. Jak wypadają polscy nastolatki na tle swoich europejskich kolegów?

– W USA poziom edukacji seksualnej zależy od stanu – w Nowym Jorku jest akurat bardzo dobrze. W Europie edukację seksualną na wysokim poziomie mają Niemcy, Holandia, Wielka Brytania, Szwecja. U nas jest nieciekawie, wypadamy po prostu źle i potwierdzają to wszystkie statystyki. Polska młodzież (i nie tylko – ten sam problem dotyczy dorosłych) ma bardzo niską samoocenę, dużo kompleksów. Borykamy się z przemocą wobec kobiet, nietolerancją. Odpowiedzialność za taki stan rzeczy zrzuca się często na rodziców. Tymczasem oni sami nie przeszli edukacji seksualnej, więc jak mają wskazywać drogę dzieciakom? Nie wiedzą, nawet jeśli chcą, jak się za to zabrać.

Albo boją się krytyki i oskarżeń. Podstawowym argumentem przeciwników uświadamiania młodzieży i otwartego rozmawiania z nią o seksie jest tzw. „seksualizacja”, którą zarzucano także tobie. Tymczasem badania mówią, że wiedza na temat seksu opóźnia wiek inicjacji.

– Prawda. Kiedy młody człowiek wie, co się dzieje z jego ciałem, potrafi to racjonalizować i w rezultacie nie czuje takiej presji otoczenia. Osoby, które edukację seksualną mylą z seksualizacją, nie wiedzą, czym jest ta druga. W przypadku dorosłych to ocenianie czyjeś wartości na podstawie tego, czy jest seksowny (według obowiązujących standardów) czy nie. Seksualizacja dzieci to jeszcze coś innego – narzucanie im naszej wizji seksowności, czyli np. wszystkie konkursy dla małych miss.

– Żyjemy w czasach ogromnych sprzeczności i absurdu. Jesteśmy bombardowani z każdej strony seksem: reklamy, moda, teledyski, filmy. Seks jest wszędzie, a nie możemy o nim porozmawiać w naturalny, spokojny, piękny sposób. I to jest duży problem. W szkole uczymy się różnych rzeczy, które nigdy nam się nie przydadzą, a o naszym ciele możemy usłyszeć tylko na lekcjach biologii. Od matury do teraz uprawiałam seks więcej niż raz. Twierdzenia Pitagorasa nie użyłam chyba wcale.

Dlaczego w Polsce tak trudno rozmawia się o seksie?

– Cała nasza kultura jest zbudowana na religii katolickiej, w którą wpisane jest ogromne zawstydzenie seksem. Możemy zaobserwować pewne zmiany, ale one wciąż przebiegają zbyt wolno. Moja mama opowiadała mi, że kiedy ona była w ciąży, był to stan, który wypadało ukrywać – w końcu brzuch był jasnym dowodem, że uprawiałaś seks. Absurdem jest też brak edukacji w kontekście antykoncepcji.

Angażujesz się także w inne kampanie społeczne, odmawiasz noszenia naturalnych futer, rezygnujesz z plastikowych słomek czy opakowań. Jak odpowiadasz na zaczepki tych, którzy zarzucają ci niekonsekwencję?

Podkreślają, że w dzisiejszych czasach nie da się żyć w stu procentach etycznie?

– We współczesnym świecie problemów społecznych oraz zagrożeń jest tyle, że można się pogubić, pomyśleć, że działanie jednostki nie ma żadnego wpływu. To nie jest prawda! Są działania, które nie kosztują wiele wysiłku, a dają ogromną satysfakcję. Od trzech lat współpracuję z organizacją Parley, której misją jest oczyszczenie Oceanów z plastiku. Miałam swój udział m.in. w stworzeniu strategii Parley AIR, to jest skrót od – A avoid/unikaj; – I intercept/przechwycić; – R redesign/przeprojektuj. To koncepcja, która polega na zaprzestaniu tworzenia nowego plastiku, zebrania tego, który już zalega w Oceanach i wykorzystania go w nowy sposób. Celem jest, by stosować opisany proces do momentu, aż możliwe będzie zupełne wyeliminowanie plastiku z naszego życia. Stąd między innymi pojawiające się kampanie nawołujące do rezygnacji ze słomek czy plastikowych opakowań jednorazowego użytku. Chodzi o to, by sposób produkcji i pakowania zmienić zarówno na poziomie dużych firm i korporacji, jak i naszych codziennych nawyków! Kartą przetargową są jak zwykle pieniądze. Jeżeli firma poczuje, że traci klientów, bo konkurencja bardziej dba o ekologię, wprowadzi zmiany też u siebie. By to się stało, potrzebny jest sprzeciw konsumentów.

Organizatorzy Kraków Live Music Festiwalu w tym roku wprowadzili kubki wielokrotnego użytku...

– Plastik pojawił się w latach 60. Przez wiele tysięcy lat żyliśmy bez plastiku i jakoś funkcjonowaliśmy.

– Ostatnio zapytałam jednego z moich idoli – kapitana Paula Watsona, zaangażowanego w ochronę oceanów – jak znajduje siłę do walki, skoro wielu wydaje się, że sprawa jest już przegrana. Odpowiedział, że gdyby odpuścił, nie mógłby spokojnie spojrzeć w lustro. Dodał też, że podejmując działanie, nie można myśleć, czy na pewno przyniesie rezultaty. To jest dla mnie bardzo inspirujące – robimy coś, bo wierzymy w zmianę, a niekoniecznie myślimy, czy przyniesie spodziewane plony.

Od zawsze miałaś potrzebę angażowania się w akcje społeczne?

– Gdy miałam 7, 8 lat, organizowałam w szkole akcje ochrony przyrody. Trzy lata później prowadziłam pierwsze zbiórki dla schronisk i domów dziecka. Serwowałam jedzenie w przytułku dla bezdomnych.

Mogłaś liczyć na wsparcie rodziców?

– Moja mama zawsze wspierała mnie w każdej z tych inicjatyw. To utwierdzało mnie, że warto działać i że dam radę zrobić to, co zaplanowałam. Pomaganie daje ogromną satysfakcję. To bardzo przyjemne uczucie.

W świecie mody też jest chyba miejsce na działalność społeczną, charytatywną i proekologiczną?

– Moda ma ogromny wpływ na ludzi, ten rynek śledzą miliony i dlatego jest super przestrzenią, by informować, nagłaśniać społeczne problemy. Sama moda musi się zmienić, tworzyć rzeczy w bardziej świadomy sposób. Na razie zajmuje niechlubne drugie miejsce na liście przemysłów produkujących największe zanieczyszczenia. Twórcy to zauważają. Widzą też, że ludzie zaczynają kupować mniej ubrań, ale lepszej jakości. Firmy nie mogą przejść obojętnie obok tego trendu, inaczej zaczną tracić pieniądze. Wiadomo, że w markach będących w rękach jednej rodziny, te zmiany zachodzą szybciej. Adidas obiecał ostatnio, że do 2022 roku przestanie produkować tzw. dziewiczy plastik. W zeszłym roku firma wyprodukowała 4 mln butów z plastiku pochodzącego z oceanów. To nie jest idealne rozwiązanie, ale bardzo ważny krok. Plastik nigdy nie znika. Rozpada się na cząsteczki, które wchodzą w powietrze, wodę, plankton. Kiedy jemy rybę, na pewno jemy też plastik. W tej chwili stosunek plastiku do planktonu w Morzu Śródziemnomorskim wynosi jeden do dwóch. Dziwimy się, że jest coraz więcej raka, różnych dziwnych chorób...

Tymczasem w sieciówkach nadal królują ubrania z poliestru.

– To też plastik. Jesteśmy społeczeństwem uzależnionym od plastiku. Ja też nie żyję idealnie i rozumiem wątpliwości klientów. W sklepach wciąż trudno znaleźć alter-

natywę w postaci opakowań szklanych czy tekturowych. Ważne, by wtedy, kiedy mamy wybór, korzystać z niego mądrze. Warto zmienić nawyki, nosić płócienną torbę czy małe torebki na owoce i warzywa.

Książkę „#sexedpl” można kupić już w księgarniach i w internecie. Ale to chyba nie koniec edukowania Polaków. Jak wyglądają twoje plany na najbliższy czas?

– Razem z ekspertami zorganizowaliśmy w Warszawie warsztaty dla młodzieży oraz młodych kobiet i mężczyzn poruszające tematy dojrzewania oraz seksu. Swoje stoisko miała też organizacja Parley.

Co z mniejszymi miejscowościami?

– Myślę intensywnie o busie Sexed.pl, który jeździłby po Polsce, ale na to potrzebuję dużego sponsora. Razem z polskim wydaniem miesięcznika „Vogue” zrobiłam konkurs fotograficzny dla młodych ludzi. Nadesłali piękne prace poruszające temat poszukiwania własnej seksualności czy odkrywania cielesności. Stworzyły wystawę, która będzie podróżować po całej Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem niewielkich miejscowości. W przygotowaniu jest także piosenka, by dotrzeć do młodego odbiorcy przez popkulturę.



Zdrowa dieta może być różnorodna i świetnie smakować

| PICSEL

Jak polubić zdrowe jedzenie?

Dominika Gębiś

Słowa „zdrowa żywność” są modne, więc coraz więcej osób próbuje wprowadzić zmiany w swoich jadłospisach. Już po kilku tygodniach poddają się, bo zdrowe jedzenie jest czymś, co, jak twierdzą, nie przechodzi im przez gardło. Czy jest jakiś sposób na to, byśmy zdali sobie sprawę, że gotowana marchewka czy szpinak może cieszyć podniebienie?

WARTO WIEDZIEĆ, ŻE ZMIANA NAWYKÓW ŻYWIENIOWYCH to nie to samo, co dieta. To drugie kojarzy się zazwyczaj z krótkotrwałymi zmianami w jadłospisie, po których będziemy mogli bezkarnie wrócić do dawnych przyzwyczajeń. Każdy, kto walczy z otyłością, ma problemy zdrowotne lub po prostu chce mieć więcej energii oraz zachować młodość na długie lata, nie powinien używać stwierdzenia: „jestem na diecie”, ale zamienić je na „kształtuję zdrowe nawyki żywieniowe”. Tylko takie działanie przyniesie długotrwałe efekty. Ważne, aby uświadomić sobie również, że do wszystkiego można się przyzwyczaić. To, że teraz nie możesz patrzeć na gotowane warzywa nie oznacza, że za jakiś czas nie staną się one obowiązkowym i, co najważniejsze, smacznym elementem codziennego jadłospisu.

Styl odżywiania każdego z nas wynika z nabywanych przez lata nawyków. Nie możemy więc oczekiwać, że po kilku dniach zdrowej diety nagle zaczniemy objadać się brukselką czy jarmużem. To, jak wiele innych rzeczy, wymaga czasu i cierpliwości. Na szczęście istnieje kilka sztuczek, które pomogą „oszukać” kubki smakowe, by szybciej polubiły zdrowe produkty.

OGRANICZ DO MINIMUM NIEZDROWE PRZYJEMNOŚCI

Często jadasz słodkie, tłuste lub słone potrawy? Nic dziwnego, że twoje kubki smakowe zubożały już na te bodźce. Aby poczuć satysfakcję z jedzenia potrzebujesz więcej niezdrowych przekąsek. Na szczęście ta sama zasada działa też w drugą stronę – im mniej szkodliwych produktów jesz, tym mniej z czasem będziesz ich potrzebować. W odzwyczajaniu się od „śmieciowego” jedzenia pomoże metoda małych kroków. Jeśli do słodzenia herbaty czy kawy używasz dwóch, trzech łyżeczek cukru, to zacznij słodzić o połowę mniej. W kolejnych tygodniach zmniejszaj tę ilość stopniowo, aż w końcu napoje te zaczną ci smakować bez słodzących dodatków. Podobnie jest ze słodyczami czy słonymi przekąskami.

PRÓBUJ, TESTUJ

Gust kulinarny kształtuje się od dzieciństwa. Badania pokazują, że u dzieci, które regularnie próbują nie lubianych pokarmów, awersja do zdrowego żywienia

w końcu mija. Jeśli od wczesnego dzieciństwa podaje się dzieciom zróżnicowane produkty, to bardzo prawdopodobne, że kiedy dorosną, będą bardziej otwarte na nowe smaki. Upodobania kulinarne można również kształtować w wieku dorosłym. Pomyśl o jakimś warzywie, za którym nie przepadasz, ale jest dla ciebie „zjadliwe”. Przez jakiś czas jedz je codziennie, lub co drugi dzień. Zobaczysz, jak szybko zmienisz zdanie na temat jego smaku. Podobno wystarczy już pięć, sześć porcji nie lubianego pokarmu, by się do niego przekonać.

ŁĄCZ SMAKI

Staraj się tak łączyć posiłki, żeby znalazły się w nich zarówno produkty, które lubisz, oraz te, za którymi nie przepadasz. Buraki czy szpinak połącz z serem feta, do owsianki dorzuć ulubione owoce oraz orzechy, mięsną zapiekanekę możesz urozmaicić brukselką czy brokułami.

NIE UFAJ WĘCHOWI

Często zdarza się tak, że to nie smak budzi niechęć do jedzenia, a jego zapach. Przykład? Podczas gotowania kalafiora czy brokułów wydziela się charakterystyczny aromat, który dla wielu osób jest równoznaczny ze złym smakiem tych warzyw. Co zrobić, aby zapach posiłków nie stał na przeszkodzie do zmiany nawyków żywieniowych? Zmysł węchu jest najmniej wrażliwy wieczorem, dlatego kolacja to najlepszy moment na eksperymentowanie z mniej lubianymi warzywami.

STWÓRZ PRZYJEMNĄ ATMOSFERĘ

Udowodniono, że jedzenie ładnie podane i udekorowane, spożywane w miłej atmosferze smakuje lepiej. Mówi się, że nie jemy tylko ustami, ale też oczami. To, w jakich warunkach jesz, może zmienić twoją opinie na temat konkretnych produktów. Na podstawie badań stwierdzono też, że po to, co na talerzu znajduje się po prawej stronie, dużo chętniej wyciągamy widelec. Na nasze kubki smakowe ma też wpływ... muzyka. Głośne i męczące dźwięki, których słuchamy podczas posiłku sprawiają, że jedzenie mniej smakuje. Atrakcyjność produktów

spożywczych podniesiesz, jeśli włączysz w czasie posiłku łagodną, spokojną muzykę, którą lubisz.

PRZYRZĄDZAJ DANIA W INNY SPOSÓB

Zrób listę swoich ulubionych potraw. Pomyśl, czy nie da się ich przygotować w zdrowszy sposób – np. majonez zastąp jogurtem, makaron biały zamień na pełnoziarnisty, ser żółty na mozzarellę, a wieprzowinę na mięso z indyka. Postaraj się sprytnie przemycać warzywa do codziennych posiłków. Do jajecznicy dołóż warzywa pokrojone w słupki. Dodawaj je też do zup, sosów, zapiekanek, gulaszy. Warzywa i owoce rozdrabniaj w blenderze na pożywne koktajle.

NIE BÓJ SIĘ PRZYPRAW

„Zaprzyjaźnij się” z pieprzem, solą morską, ziołami, imbirem, cynamonem czy curry, które potrafią zmienić smak każdej potrawy. Zamiast smażyć – piecz, gotuj lub grilluj. Dzięki temu posiłek będzie nie tylko mniej kaloryczny, ale również lekkostrawny. Często to właśnie sposób przygotowania, a nie produkt, decyduje o tym, czy dana potrawa jest zdrowa.

Na zmiany nigdy nie jest za późno. Produkty znienawidzone w dzieciństwie można polubić, oszukując nieco kubki smakowe, a zmiana nawyków żywieniowych to kwestia przyzwyczajenia. Warto eksperymentować w kuchni. Dzięki prostym modyfikacjom, produkty na pozór niesmaczne mogą okazać się jednymi z ulubionych. Zdrowa żywność jest na wyciągnięcie ręki, więc odkrywaj nowe smaki, a być może za jakiś czas okaże się, że schabowy z frytkami nie jest już najlepszym obiadem pod słońcem.



„Nawet konserwatywne kobiety, noszące czadory, opowiadają się za chustą z wyboru”

– mówi Aleksandra Chrobak

| PICSEL

Iran. Modne dziewczyny robią rewolucję

Izabela Grelowska

Kosmetyki, ciuchy, selfie, Instastory. Zwykłe dziewczynskie sprawy. To błahostki często lekceważone i wyśmiewane, ale w Iranie dla całego pokolenia kobiet stały się jedną z dróg walki o siebie. Aleksandra Chrobak, autorka książek „Fashionistki zrzucają czadory” i „Beduinki na Instagramie”, opowiada o modnych Irankach, które makijażem nie tylko podkreślają własne rysy, ale i zmieniają oblicze kraju.

IZABELA GRELOWSKA, STYL.PL: Wyobrażamy sobie, że ulice Iranu są czarne od czadorów...

ALEKSANDRA CHROBAK: – I że wszędzie wiszą portrety obecnie urzędującego ajatollaha. Ale Iran już tak nie wygląda. W 2007 roku, jeszcze za mrocznych czasów Ahmadinedżada, widywałam sporo czadorów zwłaszcza na prowincji. W miastach popularniejsze były manta, krótkie ciemne płaszczyki przypominające trencze.

– Dziś manto, które kiedyś było forpocztą mody młodzieżowej, staje się ostoją konserwatyzmu. Mułowie organizują pokazy mody, na których widzimy kobiety nie w czadorach, ale właśnie w mantach i chustach. Takim orężem próbuje się walczyć o rząd dusz młodych kobiet.

A Iranki ubierają się już zupełnie inaczej.

– Noszą najnowsze fasony, piękne, kolorowe stroje, znakomicie uszyte, podkreślające kobiece kształty. Kultura wizualna w Iranie jest bardzo mocna. Jej najnowszą odłogą są projektantki mody, które swoimi pracami walczą z systemem, nieustannie poszerzając granice obyczajowe.

Stawiasz tezę, że moda, fryzury, makijaże, zdjęcia na Instagramie to narzędzia walki z reżimem. To, co u nas kojarzy się z rozrywką a nawet próżnością, tam jest ważną polityczną manifestacją?

– W Iranie niemal wszystko ma polityczny wymiar. Fashionistki to twarz rewolucji obyczajowej. One stopniowo kruszą system poprzez forsowanie reguł, które w ogóle nie spełniają standardów muzułmańskich. Myślę, że chusta przestanie być obowiązkowa już za kilka lat. W Teheranie nawet teraz widuje się dziewczyny z odkrytymi włosami. W samochodzie chusta właściwie już nie obowiązuje. Dziewczyny nie zasłaniają włosów nawet, gdy szyby są opuszczone i brak tej ostatniej fizycznej granicy, która oddzielałaby prywatne od publicznego. Chusta opada na ramiona, odsłaniając blond loki, a ona prowadzi, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą nagrywając Instastory. Tak to teraz wygląda.

Ale odwilż musiała też nastąpić z drugiej strony. Strażnicy rewolucji trochę odpuścili.

– Musieli odpuścić. Po wojnie iracko-irańskiej nastąpił baby boom i teraz większość społeczeństwa jest przed trzydziestką. Władze muszą coś tym ludziom dać. Naciski działają. To dzięki kobietom zmieniono prawo i nie można już aresztować za niewłaściwy hidżab albo za trzymanie się za rękę na ulicy.

Bo nastąpiły też przemiany obyczajowe. Młodzi ludzie normalnie chodzą na randki.

– Tak. Jeszcze 10 lat temu para mogła wyjść jedynie w towarzystwie przyzwoitki. W tej chwili w modnych barach z sziszą nikt nie zwraca uwagi, kto z kim siedzi przy stoliku i jaka jest między nimi relacja. Zdarzają się nawet ukradkowe pocałunki i nikt nie wzywa policji. Rodzice też akceptują te przemiany.

Matki, które same były prowadzone na przedślubne kontrole do ginekologa, inaczej traktują swoje córki i synowe?

– Tak. Nawet konserwatywne kobiety, noszące czadory, opowiadają się za chustą z wyboru. Radykalne postawy się nie zakorzeniły. Pamiętajmy, że w jednej rodzinie mamy babcię, która chodziła w perkalowych sukienkach, matkę, która wychowała się w czadorze i córkę fashionistkę, farbującą się na blond. W dziejach Iranu terror basidżów to epizod i Irańczycy w dużej mierze tak o tym myślą.

Religia nie dominuje życia codziennego?

– Według statystyk w piątki do meczetu regularnie chodzi 1,4 proc. społeczeństwa. Młodzi ludzie marzą raczej o Miami niż o Mekce. Religijność nie odgrywa dużej roli w życiu ludzi. Zachodnie media piszą nawet o fali ateizmu, zalewającej Iran. Kultura szyicka wciąż jest ważna zwłaszcza na prowincji, ale Irańczycy utożsamiają się raczej z kulturą perską niż z islamem, na co wpływa między innymi zniesmaczenie reżimem. W miastach takich jak Sziraz w ogóle nie czuje się na karku oddechu ajatollaha. Panuje raczej kultura konsumpcyjna, która wypełnia lukę po religijności.

Ale czadory nie zniknęły zupełnie?

– Czadorów jest coraz mniej. Kobiety konserwatywne noszą je z własnego wyboru. Ideę zgrzebnego czarnego czadoru narzucił Ajatollah Chomeini. Przed rewolucją były to często stroje bogato zdobione np. w deseń w pawie pióra. Ta moda powoli powraca, pojawiają się np. czarne cekiny lub czerwona róża z cekinów. Niby w tonacji podobnej, ale to już nie jest czysta czerń. Widać to szczególnie podczas uroczystości rodzinnych w kręgach konserwatywnych. W Iranie odbywają się one w gronie mieszanym – inaczej niż w krajach arabskich, jak ZEA, gdzie kobiety bawią się osobno i mogą zrezygnować ze strojów zakrywających.

– Przy takich okazjach kobiety chcą błyszczeć, więc zdobione czadory i makijaże wracają do łask. Panie z mniej tradycyjnych środowisk bawią się w sukienkach np. z Mango.

Manta też są dalekie od ideału zakrywania kobiecych kształtów.

– Zasady nie są precyzyjnie określone i Iranki nieustannie je naginają. Teoretycznie rękawy powinny być do łokcia, a biust i pupa zakryte. Ale płaszczyki na przestrzeni lat ewoluowały. Z czasem stawały się coraz krótsze, bardziej seksowne i fikuśne, zaczęły się pojawiać falbanki, kolory.

– Iranki nie noszą workowatych strojów, jak się czasami wydaje turystkom. Irańska fashionistka ubierze raczej spodnie rurki, czasami porwane na kolanach, trampki i np. kimono, które sięga do połowy bioder. To prawdziwy styl mody miejskiej, dosyć luźny, lubiany przez dziewczyny. Te, które mają pieniądze i podróżują po świecie, noszą popartowe tuniki.

– Dziewczyny, które nie wyjeżdżają i cały czas muszą walczyć o swoją kobiecość, wybiorą rzeczy jeszcze krótsze. One mają największe parcie na wyrażanie samych siebie i zakładają tak ciasne tuniki, że guziki niemal odpadają. Biust jest mocno zarysowany, talia podkreślona.

– Sukienki nie są popularne, bo w kulturze perskiej strój składał się ze spodni i tuniki. To się utrzymuje, tyle że materiały i kroje są inne. W niektórych miejscach w Teheranie można zobaczyć dziewczyny o mocno powiększonych biustach

w obcisłych sukienkach do połowy łydki a la Kim Kardashian. Tak ubierają się „pantery”.

Styl „panter” jest dosyć oszalamiający...

– Pantery zerwały z tradycyjnym kanonem perskiej urody: czarne oczy w kształcie migdałów, zrośnięte brwi i twarz okrągła jak księżyc w pełni. Idą raczej w kierunku lalki Barbie.

– Ich życie jest wciąż ograniczone przez reżim, ale teraz mają więcej pieniędzy, i zaczynają sobie to rekompensować na polu mody, urody i wyglądu. Na pierwszym miejscu jest botoks, częste są implanty policzków. W Iranie trudno znaleźć kogoś, kto nie przeszedł operacji plastycznej, nawet sprzedawca, który handluje ziołami na rogu ulicy, ma zrobiony nos. Pod nóż idą i fashionistki i skromne dziewczynce w hidżabach.

– Pantery farbują się na blond, bo to symbol Zachodu i wyzwolenia. Trudno go zrobić na grubym i ciemnym irańskim włosie, ale mimo wysokich cen salony fryzjerskie są oblegane. Do tego bardzo mocny makijaż.

– Ale nie tylko zamożne dziewczyny stawiają na wygląd. Dużo tanich kosmetyków kolorowych sprzedaje się w metrze. Wagon może w momencie zamienić się w jarmark, gdzie kobiety wzajemnie sobie doradzają, są nawet pokazy makijażu. To pokazuje jak ważną częścią ich życia jest makijaż, dbanie o urodę.

Mówisz o dwóch tendencjach. Jedna to zapatrzenie się na Zachód, druga – czerpanie z przedmuzułmańskiej kultury perskiej. Myślisz, że fascynacja Zachodem jest chwilowa?

– Na dzień dzisiejszy, kto żyje, krytykuje rząd. Paradoksalnie kultura perska i zachodnia łatwo się ze sobą mieszają. Irańczycy czują się Persami. Uważają, że zawsze byli otwarci, a mułowie i islam który przyszedł z krajów arabskich to obcy element. Czują, że to jest chwilowa opresja, która się skończy, a wtedy oni powrócą do bycia sobą. To nie reżim, z którym się w ogóle nie identyfikują, napawa ich dumą, ale wspomnienie imperium perskiego. Powracają symbole zaratusztriańskie,

przedislamskie, które stają się wyrazami kontrkultury. Społeczeństwo jest w większości otwarte na świat zachodni. A jak się zmieni się stosunek Zachodu do nich? To ogromny znak zapytania.

Napisałaś, że Irańczycy czują się po raz kolejny zdradzeni przez Zachód.

– Tak. Zawsze ktoś wtykał nos w ich sprawy, w pierwszej połowie XX wieku Rosjanie i Brytyjczycy. W latach 50. Amerykanie przeprowadzili zamach stanu, zabierając krajowi szansę na demokrację. Pieniądze z ropy latami trafiały za granicę, a nie do kieszeni Irańczyków.

– Duże nadzieje przyniosła prezydentura Baraka Obamy, który jest w Iranie uwielbiany. Niestety Donald Trump zmienił kurs, co wywołało mocne obawy przed Izraelem i Arabią Saudyjską. Poczucie zagrożenia sprawia, że rząd może jeszcze bardziej konsolidować władzę i utwardzać postawę. Ale Irańczycy dużo nadziei pokładają też w Europie.

Piszesz, że nastroje sprzyjają zmianie, ale czy jest alternatywa dla tego rządu?

– Irańczycy chcą, żeby mułowie odeszli, ale problem w tym, kto miałby zająć ich miejsce. Nie ma struktur opozycyjnych, nie ma partii. Przyjść może jedynie ktoś, kto będzie jeszcze bardziej zamordystyczny, a potrzeba ludzi wykształconych, dobrze przygotowanych, zdolnych przeprowadzić zmianę konstytucji itp. Niektórzy przebąkują o powrocie następcy tronu, syna szacha. Akcje szacha w ostatnich latach w ogóle poszły w górę. Irańczycy plują sobie w brodę, że go nie zrozumieli. Szach miał ambicje stworzenia wielkiego Iranu, który byłby łącznikiem między Wschodem a Zachodem i te idee teraz powracają, bo Irańczycy czują się zmarginalizowani na arenie międzynarodowej.

Mój teherański gospodarz Dariusz jako młody chłopak też krzyczał na ulicy „śmierć szachowi”. Dzisiaj ma poczucie winy, że przyłożył rękę do rewolucji, która odbija się taką czkawką. Irańczycy zrozumieli to, kiedy posypały się areszty, a egzekucji było więcej niż za czasów szacha.

Z drugiej strony pomysł z przywróceniem dynastii wydaje się dość rozpaczliwy...

– Pobrzmiwają w nim raczej echa religii i idei mesjasza, a nie demokracji. Niewątpliwie byłby to kolejny dyktator, ponieważ Iran nie ma struktur demokratycznych, których stworzenie wymagałoby czasu. W społeczeństwie jest na to klimat, ale wiele zależy od polityki międzynarodowej. Miejmy nadzieję, że Trump nie zniszczy potencjału demokratyzacji, jaki jest obecnie w Iranie.



Jadav Payeng sadzi drzewa od 1979 roku

| You Tube

Jadav Payeng: Cały las rękami jednego człowieka

Bartosz Kicior

Nie wszyscy bohaterowie noszą peleryny. Podczas gdy w mediach roi się od wirtualnych wojowników o środowisko, jeden człowiek postanowił dosłownie wziąć sprawy w swoje ręce. Zamiast pisać żarliwe posty na Twitterze czy wygłaszać mowy na konferencjach, poświęcił swoje życie i samodzielnie posadził las, aby uratować swoją wyspę. Po 40 latach las ma już pięć i pół kilometra kwadratowego.

LUDZIE OD DOBRYCH 150 LAT raczej niszczą środowisko niż mu pomagają. Są jednak przykłady osób, które zaprzeczają temu trendowi. Jadav „Molai” Payeng z Jorhat w stanie Assam w Indiach znany jest jako „Człowiek Lasu”. W 40 lat własnymi rękami i bez żadnej pomocy uratował ekosystem swojej wyspy Majuli sadząc tysiące drzew, które rozrosły się w ogromny las.

Jego historia zaczęła się w 1979, kiedy miał 16 lat. Wtedy wyspę Majuli nawiedziła potężna powódź, która zmyła uprawy i zniszczyła dziką przyrodę. Payenga najbardziej dotknął widok setek węży wodnych wyrzuconych na piaszczysty brzeg rzeki Brahmaputra. Pozbawione schronienia przed palącym słońcem zwierzęta powoli wysychały na śmierć.

Zorientował się, że węże umierały, bo w okolicy nie było żadnych drzew. Lata działalności ludzkiej i karczowania okolicznych lasów огоłociły ziemię z roślinności i narażyły glebę na erozję. Początkowo szukał pomocy u lokalnych władz. Tam jednak popukano się w czoło i wytłumaczono zapalonemu młodzieńcowi, że żadne drzewa nie wyrosną w tym miejscu.

Usłyszał, że jeśli bardzo chce, to może ewentualnie spróbować posadzić w marnej ziemi bambusy. I tak się zaczęło. Codziennie sadził jedną roślinę. Przez 30 lat.

Większość ludzi uważała pomysł posadzenia lasu przez jednego człowieka za niedorzeczny. Niemniej lokalna starszyzna wspierała go zaopatrując w nowe sadzonki. Payeng skonstruował także autorski system nawadniania – użył glinianych dzbanków z małymi otworami, które umieścił na platformach nad roślinami. Woda powoli kapła z nich przez parę dni odżywiając ziemię.

Pomimo licznych i bolesnych ugryzień sprowadził na swoją uprawę czerwone mrówki, które użyźniały glebę. Pojawiły się owady, a później małe zwierzęta. Przez długi czas ograniczał się tylko do bambusów, potem sprowadził inne drzewa, takie jak tek. To pobudziło jeszcze rozwój przyrody, w lesie pojawiły się ptaki, słonie czy tygrysy.

Oczywiście, jak to ludzie mają w zwyczaju, nie wszyscy byli zadowoleni. W 2008 roku stado słoni w poszukiwaniu jedzenia przeszło się po okolicznych polach i ukryło w jego lesie. Wściekli rolnicy żądali natychmiastowego wycięcia dżungli, aby

zwierzęta poszły sobie gdzie indziej. „Molai” stanął jednak w obronie lasu i jego mieszkańców.

Od tamtego czasu współpracuje z wydziałem leśnictwa stanu Assam. Władze nazwały dżunglę „Lasem Molaia”, a on sam otrzymał od prezydenta Indii nagrodę Padma Shri (jedno z najważniejszych odznaczeń w kraju). Pomimo kolejnych protestów mieszkańców, Jadav Payeng ciągle opiekuje się swoim lasem.



„Artysta może zainspirować się absolutnie wszystkim” – mówi Katarzyna Smutniak, modelka i aktorka

| Andras Szilagyi MWMEDIA

Katarzyna Smutniak: Bunt jest wolnością

Katarzyna Drelich

Bunt jest potrzebny w wymiarze europejskim – nie tylko przeciwko próbom cenzury i dyskryminacji, ale przede wszystkim przeciwko niszczeniu obrazu Europy. Europy, którą mieliśmy tworzyć na kanwie piękna, mądrości. Obraz ten jednak sami doszczętnie niszczymy – mówi aktorka Katarzyna Smutniak, grająca jedną z głównych ról w filmie „Słodki koniec dnia”.

KATARZYNA DRELICH, STYL.PL: – Dlaczego „Słodki koniec dnia” to film ważny?

KASIA SMUTNIAK: – Wydaje mi się, że ten film wypełnia jakąś lukę w kinematografii europejskiej. Trudno o nim powiedzieć, że to film polski. Są w nim poruszone tematy bardzo uniwersalne, w sposób niesamowicie intymny, a jednocześnie odważny. Tematy, które nie były dotąd podejmowane. Sam fakt, że główna postać grana jest przez Krystynę Jandę, która jako artystka i jako kobieta jest w pewnym sensie ikoną, nadaje filmowi realizmu. Ona jest w polskim społeczeństwie uosobieniem ogromnej siły, odwagi i buntu.

Naszemu społeczeństwu potrzebny jest taki bunt?

– Nie tylko naszemu. Bunt jest potrzebny w wymiarze europejskim – nie tylko przeciwko próbom cenzury i dyskryminacji, ale przede wszystkim przeciwko niszczeniu obrazu Europy. Europy, którą mieliśmy tworzyć na kanwie piękna, mądrości. Obraz ten jednak sami doszczętnie niszczymy. W Europie stały się najtragiczniejsze rzeczy, które zostały wprowadzone w praktykę. Z tego robi się tabu, zmienia się historię. Nie możemy iść do przodu bez pamięci o przeszłości, przecież my nie zaczynamy od zera. Powielamy błędy, które teraz są jeszcze bardziej niebezpieczne, bo przeszliśmy przez nie już kilkadziesiąt lat temu. Młode pokolenie jeszcze tego nie dostrzega, bo nie żyło za czasów komuny.

– Urodziłam się w 1979 roku, czyli trochę „pomiędzy”, ale porównując schematy działań jestem przerażona, jak nie umiemy otworzyć oczu i dostrzec analogii. Potrafimy się zatrzymać słuchając newsa, że jedno dziecko walczy o życie i to jest absolutnie zrozumiałe. Ale nie potrafimy się zatrzymać, kiedy tych dzieci jest kilka tysięcy. To naturalne, że pewnych faktów nie jesteśmy w stanie przyjąć, kiedy przytłacza nas ogrom jakiejś tragedii. Nie jesteśmy w stanie tego strawić. To prowadzi do ignorancji kwestii fundamentalnych.

Kiedy mówisz o tym, jak nie potrafimy dostrzec tragedii tysięcy dzieci, to na myśl przychodzi mi twoja wieloletnia działalność charytatywna w Nepalu. Na co ona otworzyła ci oczy?

– Tam jest o tyle łatwiej, że jest możliwość zrobienia czegoś i po prostu wprowadzenia tego w praktykę. To jest długoletni plan. Nasza fundacja zajęła się nie tylko budową szkoły w Mustangu – regionie, w którym jej nie było, ale przede wszystkim zachowaniem kultury tybetańskiej w obrębie tego regionu. On znajduje się między Nepalem a Tybetem, ale religijnie i kulturowo to jest Tybet, nie Nepal. Kompletnie zakochałam się w tej kulturze. Miałam taką refleksję, że moglibyśmy od nich uczyć się wielu rzeczy, życzliwości, szacunku do drugiego człowieka.

– Dlaczego ja jako Polka czuję się odpowiedzialna za coś, co dzieje się na drugim końcu świata? Bo to jest mój świat. To będzie świat dzieci moich dzieci. Pomyślałam, że skoro w tym regionie nie ma nic, to trzeba zacząć od szkoły, od edukacji. Ta działalność otwiera mi oczy na to, że nie mam tylko jednej ojczyzny – jest nią cały świat, bez granic.

Mówiąc o granicach – w filmie „Słodki koniec dnia” postać grana przez Jandę tragedię ludzi, którzy zginęli w zamachu porównuje do dzieła sztuki. Zastanawia mnie, gdzie według ciebie jest ten moment pomiędzy faktycznym dziełem sztuki, a przekroczeniem granicy dobrego smaku.

– Dla artysty ta granica nie istnieje. Artysta może zainspirować się absolutnie wszystkim. I o tym też traktuje ten film. Owszem, ciężko jest po obejrzeniu go opowiedzieć się za lub przeciw – w kontekście kontrowersyjnych słów głównej bohaterki. Ale jeśli mówimy o wolności słowa, to nie ma dla niej granicy. Owszem, są granice moralne, osobiste, wynikające z czynów. Ale dla mnie bardziej ciekawe w filmie jest nie to, co Maria powiedziała, ale jaki mechanizm zadziałał potem. Jak to zostało różnie zinterpretowane. Ona tego nie dementowała, nie komentowała. Zbuntowała się na rzecz wolności.

– Dzisiaj wszystko jest komentowane, osądzane – co w zasadzie jest dobre. Internet daje nam nieograniczone możliwości dostępu do pewnych informacji. Ale nie

jesteśmy w stanie wybrać tego, co jest prawdziwe, a co nie. Kto zdecydował o tym, że Wikipedia jest biblią? Skoro ktoś może wejść i napisać tam cokolwiek, to skąd mamy pewność, że wszystko co tam czytamy, jest prawdą? Jeszcze nie radzimy sobie z tą wolnością. Ta wypowiedź bohaterki filmu – noblistki, która jest poetką, czyli teoretycznie osobą zupełnie wolną, która wyraża swój punkt widzenia, nagle staje się bronią przeciwko niej samej. Ten film pokazuje, jakie konsekwencje ma stawianie granic wolności słowa.

Jeszcze innym rodzajem buntu w tym filmie jest bunt wieku. Nie tego nastoletniego, ale dojrzałego – główna bohaterka, mimo że ma szczęśliwą rodzinę zakochuje się w dużo młodszym mężczyźnie. Jej córka – postać grana przez ciebie – naturalnie nie jest temu przychylna. A ty prywatnie uważasz, że można zakochać się w każdym wieku?

– Oczywiście! To niewiele od nas zależy. W filmie jest to bardzo szczerze pokazane. Przedstawiona jest jej relacja z mężem, z którym rozmawia otwarcie o swoim uczuciu do innego mężczyzny, ale świadczy to też o jej miłości do niego. Czy to jest zakochanie, czy to jest moment, w którym spotykasz kogoś, w kim widzisz samego siebie jak w zwierciadle – to może stać się w każdym wieku, niezależnie od sytuacji życiowej. Moja postać, owszem, nie zgadza się z tą uczuciową porywczością swojej matki, co jest dosyć naturalne. Buntuje się w pewien sposób, bo jest z tą matką niesamowicie zżyta. Buntuje się córka, buntuje się matka, która daje sobie prawo do miłości w dojrzałym wieku.

Czym jest dla ciebie bunt?

– On nie zna wieku, nie jest tylko przywilejem młodości. Bunt jest wolnością.



Zmarłych możemy wspominać nie tylko na cmentarzu

| PICSEL

Caleb Wilde: Umiera człowiek, nie miłość

Katarzyna Pruszkowska

– Ludzie po śmierci nie znikają. Miłość trwa dalej, pamięć cały czas podsuwa nam obrazy bliskich, których fizycznie nie ma (...). W naszej kulturze często jedynymi fizycznymi miejscami, które „oficjalnie” są przeznaczone do wspominania zmarłych są cmentarze i groby. A przecież miejsce naszych bliskich, także zmarłych, jest przy nas – mówi Caleb Wilde, przedsiębiorca pogrzebowy i autor książki „Wyznania przedsiębiorcy pogrzebowego”.

KATARZYNA PRUSZKOWSKA: Pamięta pan pierwsze zetknięcie ze śmiercią?

CALEB WILDE: – Wychowywałem się wśród przedsiębiorców pogrzebowych. Mój ojciec pochodzi z rodziny, która pracuje w branży od pięciu pokoleń, przodkowie mojej mamy także zajmowali się organizacją pogrzebów. Dziadkowie mieszkali w domu, w którym mieścił się zakład pogrzebowy, organizowali tam ceremonie pogrzebowe, wystawianie zwłok. Dlatego ciała zmarłych, oczywiście odpowiednio przygotowane, widywałem już od wczesnego dzieciństwa. Dziadek pozwalał nam nawet bawić się w chowanego w pokoju, gdzie znajdowała się wystawka trumien. Obowiązywała tylko jedna zasada: nie mogliśmy chować się w trumnach, bo były za drogie, a uszkodzić można je łatwo.

Widok śmierci był czymś naturalnym?

– Tak, najzupełniej.

Bał się pan śmierci?

– Śmierci nie, ale tego, co nastąpi po niej, bardzo. Moi dziadkowie i rodzice są chrześcijanami, religia była dla nas bardzo ważna. A tak się składa, że amerykańskie chrześcijaństwo bardzo koncentruje się na teologii piekła, stąd bogata symbolika i koszmarne wizje piekieł. Tego się właśnie bałem, i to bardzo – że trafię do piekła.

– Poza tym członkowie mojej rodziny regularnie używali śmierci jako straszaka. Kiedy kołysałem się na krześle, dziadek mówił: „Nie kołysz się, bo pochowałem kiedyś chłopaka, który robił to samo, spadł i skręcił sobie kark”. Albo opowiadali historie o czarnych jak smoła płucach palaczy, żeby zniechęcić mnie do sięgnięcia po papierosa. Takie używanie śmierci w celach „wychowawczych” jest dość popularne w rodzinach przedsiębiorców pogrzebowych.

Po latach zaczął pan pracować w branży. Czy dzięki wychowaniu było łatwiej?

– Nie. Kiedy zaczynałem pracę, jako młody chłopak, nie miałem żadnych mechanizmów obronnych, które mogłyby pomóc mi radzić sobie z tragediami, których

byłem świadkiem. Przez lata nie potrafiłem zrozumieć ani sensu śmierci, ani dostrzec w niej niczego dobrego. Tylko ciemność, ból, rozpacz. To doprowadziło mnie nie tylko do wypalenia zawodowego, ale także wpędziło w depresję. Miałem myśli samobójcze, okaleczałem się. Wiedziałem, że jeśli nic się nie zmieni, będę musiał zmienić pracę.

Nie rozmawiał pan o tych trudnościach z dziadkiem, tatą?

– Nie, myślę, że mężczyźni nieczęsto rozmawiają o swoich słabościach. W każdym razie nie w mojej rodzinie i nie w tej branży. Dziadek i ojciec nie rozmawiali ze mną o swoich wątpliwościach. Pewnie zakładali, że daję sobie jakoś radę. Tak, jak oni dawali.

– Dziś wiem, że nie tylko ja miałem takie problemy, bo pracownicy zakładów pogrzebowych coraz częściej przyznają się do PTSD (zespołu wstrząsu pourazowego – przyp. red.), które do tej pory kojarzyło się raczej z żołnierzami wracającymi z Iraku czy Afganistanu. Przedstawiciele innych wymagających profesji, np. strażacy czy policjanci, mają grupy wsparcia. A pracownicy branży pogrzebowej nie. Zakłada się, że żeby w ogóle mogli wykonywać swoją pracę, muszą na nią zobojętnieć. A to nieprawda.

Co w takim razie pomogło zmienić myślenie o śmierci?

– Pewnego dnia miałem zająć się przygotowaniem pogrzebu dwójki dorosłych i dwójki dzieci, którzy zginęli w wypadku samochodowym. Pojechałem po dzieci do szpitala i miałem nadzieję, że będę mógł przygotować ich ciała tak, żeby rodzina mogła się z nimi pożegnać. Niestety, kiedy otworzyłem worek, zobaczyłem niemal doszczętnie spalone ciała. Niedługo później zastałem z wycieńczenia i trafiłem do szpitala. To był moment decydujący. Pomyślałem, że albo zmienię swoje myślenie dotyczące śmierci, albo zmienię zawód. Od tamtej pory próbowałem dostrzec w śmierci coś innego niż ciemność i w końcu zaczęło mi się to udawać.

Co pan dostrzegł?

– Piękno. Trudne, niepodobne do ulotnych chwil szczęścia, które czujemy patrząc na zachwycający widok podczas wędrowania po górach czy słuchania szumu oceanu. To inny rodzaj piękna, znacznie trudniejszy do dostrzeżenia. Śmierć może pomóc żyjącym pokonać lęk, zbliżyć społeczność, pomóc uleczyć dawne rany i połączyć się żyjącym członkom rodziny.

– Może podam ci przykład. Kilka dni temu prowadziłem ceremonię pogrzebową mężczyzny, który w młodości molestował swoje dzieci. Zanim umarł, jedna część rodziny zdecydowała się na pojednanie, druga do końca nie chciała o tym słyszeć. Podczas ustalania szczegółów pogrzebu ci drudzy stali w kącie, dosłownie, i się nie odzywali. Kiedy ceremonia dobiegała końca, jedna z córek pedofila wyciągnęła rękę do brata, który nie chciał podejść do ojca i się z nim pożegnać. W końcu się przemógł. Stali nad otwartą trumną, obejmował siostrę i wspólnie płakali. Nie twierdzę, że zmarły zasługiwał na taką łaskę przebaczenia, bo krzywdzenie własnych dzieci, dzieci w ogóle, jest dla mnie najohydniejszą zbrodnią. Ale śmierć tego mężczyzny sprawiła, że jego dzieci, po raz pierwszy od lat, spotkały się ze sobą i do siebie zbliżyły. To był dla mnie bardzo wzruszający moment. Właśnie to mam na myśli mówiąc o pięknie śmierci.

Czy zmiana myślenia o śmierci miała wpływ na pańską wiarę?

– Tak. Po pierwsze, nie wierzę już w istnienie piekła. Po drugie, zmienił się mój obraz Boga. Wcześniej miał oblicze surowego sędziego, który być może zsyła na ludzi cierpienie „za karę”, a już na pewno temu cierpieniu nie zapobiega, choć przecież może. Teraz wierzę w Boga, który nie zsyła na nas cierpienia, ale nam w nim towarzyszy. Wypadki i tragedie się po prostu zdarzają, nie są karą za grzechy. Weźmy na przykład młodą mamę, której niemowlę udusiło się kawałkiem folii z bożonarodzeniowego cukierka. Jestem przekonany, że mówienie jej o Jezusie, który rozumie jej ból i cierpi wraz z nią przyniesie więcej pociechy, niż mówienie o jakichś boskich wyrokach. Taki właśnie jest Bóg, w którego wierzę – złamany naszym bólem.

Myśli pan, że w ogóle istnieją słowa, które mogą przynieść w takiej sytuacji ulgę?

– Sądzę, że nie. W takiej sytuacji słowa nieczęsto mają moc uzdrawiania, za to łatwo można nimi zranić. Dlatego pocieszanie osoby, która jest w żałobie, nie powinno być naszym celem.

A co może nim być?

– Obecność. Ja mówię tylko: „Bardzo mi przykro z powodu twojej straty”. Zamiast mówić, staram się być. To zwykle przynosi pewną ulgę. Można po paru dniach od pogrzebu zadzwonić do bliskich zmarłego i zapytać: „Czego ci teraz trzeba?”, „Jak dziś mogę ci pomóc?”. Może to być sprzątnięcie, ugotowanie obiadu, zajęcie się dziećmi, wspólny spacer. To daje o wiele więcej, niż słowa, pod warunkiem, że nie narzucamy osobie w żałobie naszych pomysłów, tylko uważnie wsłuchujemy się w jej potrzeby.



„Wejście na górę nie było łatwe, wymagało skupienia i kondycji” – mówi Miłka Raulin

| MWMEDIA

Siła marzeń jest ważniejsza niż siła mięśni

Izabela Grelowska

Czy można pracować na etacie, samotnie wychowywać dziecko i realizować najbardziej ambitne marzenia? Miłka Raulin, najmłodsza Polka, która zdobyła koronę Ziemi, przekonuje, że tak. I ma receptę, jak to zrobić!

IZABELA GRELOWSKA, STYL.PL: Zdobyłaś Koronę Ziemi, ale zacznijmy od końca. Jak było na Evereście?

MIŁKA RAULIN: – Było ciężko, ale trudniejsza od zdobycia szczytu była droga do Everestu. Musiałam zdobyć fundusze, pokonać anemię. Było sporo przygód i zdarzeń. Przed samym wyjazdem niemal potrącił mnie samochód.

Poprzednie góry zdobywałaś po prostu w czasie urlopu. Zdobywanie Everestu to zupełnie inna kategoria wypraw.

– Tak. Kiedy ma się 26 dni urlopu, wyprawy w góry wysokie to niezła gimnastyka. W przypadku Everestu dostałam urlop bezpłatny, ale to też było warunkiem mojego zatrudnienia się. Na rozmowie kwalifikacyjnej powiedziałam, że za 5 lat będę potrzebować dwumiesięcznego urlopu bezpłatnego. Firma się zgodziła, a ja przyjąłam ofertę pracy. Wyprawa na Everest była w pewien sposób wyjątkowa. Miałam czas przyzwyczać się do góry, oswoić się z nią bo człowiek musi być z nią w pewnym sensie spójny. Długoterminowe wyprawy wiążą się z tym, że trzeba wziąć urlop bezpłatny i zostawić dziecko. I to m.in. jest druga strona medalu projektu Siły Marzeń.

Jak się czułaś wchodząc w „strefę śmierci”?

– Jeśli można by wyznaczyć synonim dla słowa Everest to z pewnością byłoby to słowo ból. Tam wysoko powietrze jest rozrzedzone, a co za tym idzie zawiera mniej życiodajnego tlenu. Ciśnienie na Evereście to około 330 hPa. Gdybyśmy chcieli wjechać na szczyt windą, nie przeżylibyśmy tego. Strefa śmierci to miejsce, w którym bez względu na to, co zjemy, nasz organizm niczego nie przyswaja. Wtedy szalenie istotne okazuje się to, w jakiej jesteśmy kondycji zarówno fizycznej jak i psychicznej, jakie mamy w swoim organizmie zapasy i jak jesteśmy zaaklimatyzowani. Bycie powyżej 7500 m n.p.m. nie jest przyjemne. Źle się chodzi, źle się oddycha, źle się trawi, źle się śpi. Cały organizm buntuje się przeciwko byciu w takim środowisku.

Przeżyłaś euforię na szczycie tak, jak w przypadku wielu innych gór?

– Sam atak szczytowy był absolutnie magiczny. Czekałam na ten moment siedem lat. Miałam cudowną pogodę, co dało komfort wchodzenia i cudowne widoki, kiedy słońce budziło się ponad ośnieżonymi szczytami. Rysunek tej panoramy na zawsze wrył mi się w pamięci z niezwykłą ostrością. Wystarczy, że zamknę oczy i ten obraz powraca. Tak bardzo cieszyłam się wchodzeniem na Everest, że co kilka kroków dawałam upust emocjom i po prostu płakałam ze szczęścia.

Trudniejsze było samo wejście na górę czy zebranie pieniędzy?

– Zebranie pieniędzy. Wejście na górę nie było łatwe, wymagało skupienia i kondycji, ale koszty są bardzo duże. Wyprawa kosztowała 85 tys. dolarów. To wartość 50 metrowego mieszkania na obrzeżach Warszawy. Przekonanie sponsorów, że taki człowiek jak ja, czyli zwykła „Kowalska”, ma szansę osiągnąć coś wielkiego, jest trudne. Szczególnie jeśli przychodzi się z ulicy i nie ma się kontaktów, zaplecza i wsparcia tatusia, który wszystkich zna. Nie raz dostawałam po nosie, ale może właśnie tak miała wyglądać moja droga. Bardzo dużo się nauczyłam. Jestem wdzięczna za to doświadczenie. Jestem wdzięczna za wszystko, co niesie mi życie.

Jak wyglądały przygotowania? Miałaś merytoryczne wsparcie, czy wszystkie informacje musiałaś zdobywać sama?

– Jeśli chodzi o stronę finansową działałam metodą prób i błędów. Nikt mnie nie uczył pozyskiwania funduszy na projekty wysokobudżetowe. Musiałam obudzić w sobie żyłkę handlowca, negocjatora i organizatora. Jeśli chodzi o moje przygotowanie wspinaczkowe to nabywałam je w trakcie wypraw oraz na profesjonalnych kursach wspinaczkowych. W pewnym momencie zaczęłam się naprawdę intensywnie szkolić. Robiłam wszystkie możliwe kursy. Lawinowy, szczelinowy „wierzchołki alpejskie”, skałkowy. Doszkalalam się też z zakresu medycyny wysokogórskiej.

W książce piszesz, że każdy mógłby dokonać tego, co ty. Powiem ci tak: nie wierzę.

– Wejść na Everest może każdy, kto ma pieniądze i prowadzi w miarę sportowy tryb życia. Czynnikiem decydującym o zdobyciu szczytu jest pogoda, aklimatyzacja i nasza kondycja. Wiadomo, że jeśli ktoś wstanie z za biurka i wpadnie na pomysł, żeby iść na siedmiotysięcznik, ośmiotysięcznik to nie jest to dobry pomysł. Ale jeśli ktoś w miarę intensywnie trenuje, biega półmaratony, maratony i nie ma problemów zdrowotnych, to jestem przekonana, że ma kondycję fizyczną pozwalającą na zdobycie ośmiotysięcznika. Największym problemem w górach wysokich są koszty. Gdybym mogła się przygotować lepiej od strony sportowej, a nie myśleć skąd zdobyć kasę, to może pobiłabym jakiś rekord. Bo choć nie trenuję jak sportowiec, to mam wielką wolę walki i sportowego ducha. Ale doba ma tylko 24 godziny i nie da się być dobrym we wszystkim.

Jak udawało ci się pogodzić pracę, opiekę nad dzieckiem i przygotowania?

– Brakowało mi czasu, ale mam głowę sportowca, a porażki są dla mnie motywatorem, by być w czymś jeszcze lepszą. Lubię rywalizować. Lubię wyzwania. Wypełniałam moje obowiązki i biegałam w nocy. Na pewno nie były to treningi, jakie chciałabym mieć.

Korona Ziemi to bardzo zróżnicowane góry. Czy gdybyś miała to robić jeszcze raz, zmieniłabyś kolejność?

– Nie, choćby dlatego, że zawsze miałam świetną pogodę. Sezon, w którym byłam na Denali, był najlepszym sezonem od kilku lat. Podobnie było na Evereście. Rekordowa liczba wejść, bo przez kilka dni pod rząd dopisały warunki. Gorszą pogodę miałam jedynie na Górze Kościuszki i na Elbrusie. Myślę, że wszystko było tak, jak miało być. Lekcje pokory, które miałam przyjąć, przyjął. Pokłoniłam się górze i stwierdziłam, że nie będę więcej pozwalać sobie na nonszalancję.

Podkreślasz, jak ważna jest konsekwencja, ale dodajesz, że czasem trzeba umieć odpuścić.

– Konsekwencji w działaniu nie można mylić z nieumiejętnym podejmowaniem decyzji. Konsekwencja służy osiągnięciu celu. Zła decyzja może nas doprowadzić do utraty zdrowia i życia. Tak jest nie tylko w górach, ale też w życiu. Byłam konsekwentna podczas pozyskiwania funduszy na wyprawę, ale nie wiem czy można nazwać konsekwencją wchodzenie w złych warunkach pogodowych. To raczej głupota.

Co odpowiadasz osobom, które zarzucają ci, że jako matka nie powinnaś zostawiać dziecka, by chodzić po górach?

– Dziwi mnie, że takie słowa zawsze padają ze strony kobiet. Uważam, że jak się zostaje rodzicem, to nie trzeba rezygnować ze swoich marzeń. Przecież dziecko kiedyś dorośnie i powie „Mamo, dziękuję ci za 20 lat twojego życia, ja teraz wychodzę i zaczynam nowy etap, w którym nie będziesz już dla mnie najważniejszą osobą”. Mam świadomość, że jestem tylko jakimś wycinkiem w życiu mojego syna. Muszę pokazać mu świat, pomóc mu w edukacji, nauczyć go szacunku do ludzi i zwierząt, przekazać rzeczy ważne, ale nie muszę jako kobieta i matka rezygnować z siebie. Mogę mieć swoje pasje, będąc mamą, tak jak miałam je wcześniej.

– Dlaczego ktoś miałby mnie za to oceniać. Ja nie oceniam kobiet, które siedzą w domu z trojgiem dzieci. Nie rozumiem tego, bo sama nie zdecydowałam się na takie życie, ale nie pytam ich: Nie bałaś się być matką trójki dzieci? Jak mogłaś dokonać takiego wyboru? Jak mogłaś zrezygnować z siebie? My znamy tylko jeden sposób patrzenia na matkę, który zakorzeniony jest głęboko w naszej kulturze. A przecież przy wsparciu rodziny, będąc nawet matką trojga, dzieci można się realizować i nie zapominać o swoich marzeniach.

Zatytułowałaś książkę „Siła marzeń”, a nie zdobyłam „Koronę ziemi”. Co chciałaś przekazać czytelnikom?

– Siła marzeń ma gigantyczną moc. Każdy ma swoją Siłę Marzeń, ale często jest ona zakopana pod stertą obowiązków. U mnie też tak było. W pewnym momencie

zorientowałam się, że nasze pragnienia są w życiu bardzo ważne i nadają kształt naszej codzienności. Trzeba się w siebie wsłuchać, odkryć, co nas uszczęśliwia, a każde marzenie potraktować jak projekt, który powinien mieć początek i koniec. W trakcie realizacji Korony Ziemi, gdy dzieliłam się swoimi przygodami z wypraw i przygotowań do nich, zrozumiałam, że moją misją jest odkrywanie w innych ich siły marzeń. I pokazywanie na własnym przykładzie, że każde nawet najbardziej szalone marzenie jest możliwe.

Czy miałaś momenty zwątpienia?

– Nie, choć zdarzały się gorsze dni, kiedy wstawałam rano i nie wiedziałam, czy dam radę. Dzwoniłam wtedy do mojego narzeczonego i on dodawał mi sił. Ważne jest, by mieć wokół siebie osoby, które nas wesprą, gdy jest nam gorzej.

Być może twoja książka zachęci innych do zdobywania Korony Ziemi. Co byś im doradziła?

– Żeby jak najwcześniej zapisali się na profesjonalne kursy, najlepiej do instruktorów z Polskiego Związku Alpinizmu. Trzeba być świadomym tego, co góry mogą zrobić, by móc unikać błędów, które można przypłacić życiem. Koniecznie trzeba mieć co najmniej 3 plany awaryjne. Ważne jest też, żeby nie panikować, kiedy coś idzie nie tak. Ale i nie robić niczego za wszelką cenę. Jeśli góra daje nam znaki, że nie chce byśmy ją zdobywali, to trzeba jej posłuchać.

Część wypraw odbyłaś samotnie. Jak na to teraz patrzysz, lepiej być w grupie czy samemu?

– Samotne wyprawy mają kilka zalet: odbiór świata jest niezaburzony, więcej się obserwuje i więcej dostrzega.

– Jeśli jedziemy w grupie, to musimy bardzo umiejętnie dobierać osoby, z którymi wybieramy się w podróż. Trzeba mieć świadomość ich i swoich umiejętności, ale też tego jak współpracujemy, jak dana osoba radzi sobie w sytuacjach kryzysowych. Góry wysokie to świetne miejsce do testu charakterów naszych współtowarzyszy

i nas samych. Nie każda znajomość zda górski egzamin. Dlatego warto jeździć w góry wysokie ze sprawdzonymi osobami.

O wyprawach w góry wysokie słyszy się często, że to męski świat. Jak się w nim odnajdujesz?

– Góry nie są męskim światem w takim stopniu, jak się wydaje, i na pewno nie w takim, jak na przykład kolejarstwo, w którym pracuję na co dzień. W górach wszyscy jesteśmy równi. Kobiety mają trochę gorzej, bo fizycznie nie są w stanie nosić bardzo dużych ciężarów. Ale góra traktuje wszystkich tak samo i jak chce dać pstryczka w nos, to da. Okazuje się, że mięśnie nie są tam najistotniejsze. Liczy się hart ducha, wola walki, upór, a często siła marzeń jest większa niż siła mięśni.



Nie możemy wymagać od dzieci czegoś, co przekracza ich możliwości

| PICSEL

Często nie wiemy, co jest dobre dla dziecka

Monika Szubrycht

– Mówimy: „Robimy to dla waszego dobra”, ale nie dokonujemy refleksji. Co to znaczy dla waszego dobra? Możemy powiedzieć: „Tak, odbiorę ci dzisiaj trochę dzieciństwa, ale będziesz mieć wspaniałą przyszłość”. A ja powiem: „Jeżeli odbierzesz mi tego dzieciństwa za dużo, mogę nie mieć żadnej przyszłości” – przekonuje dr Marek Kaczmarzyk.

MONIKA SZUBRYCHT. INTERIA.PL: Myślę, że po pana wykładzie nauczyciele pozwolą swoim uczniom pić wodę na lekcjach.

DR MAREK KACZMARZYK: – Mało wiemy o biologii funkcjonowania naszych systemów poznawczych. Ciągłe próbujemy o tym uczyć, ciągle próbujemy o tym mówić i mocno koncentrujemy się na ośrodkowym układzie nerwowym. To dobrze, bo od niego powinniśmy zacząć. Wiadomo, że mózg jest tym miejscem, gdzie dydaktyk dokonuje zmian, ale człowiek to nie tylko mózg, a mózg jest bardzo wrażliwą strukturą, która też jest wyczulona na całą resztę. Wystarczy małe zaburzenia tej reszty – czy to związanej z pokarmem, czy z ilością przyjmowanego płynu, bądź z temperaturą otoczenia. Nawet kwestia długości światła, którym się posiłkujemy, zmienia fizjologię ośrodkowego układu nerwowego i czasem nam sprzyja, a czasem może nam przeszkadzać.

To znaczy?

– Sprzyja nam wtedy, kiedy bardzo jasne, wysokoenergetyczne światło, nawet sztuczne, jest używane rano – powoduje blokowanie mechanizmów reakcji na melatoninę i szybko przywraca nas do rzeczywistości. Ale ta sama sytuacja wieczorem nam bardzo, bardzo przeszkadza. Wysokoenergetyczne promieniowanie jest stosowane, żeby uzyskać wysoki kontrast w wyświetlaczach telefonów komórkowych i tabletów. Powoduje ono wydzielanie w podwzgórzu takiej substancji, która jest antagonistą melatoniny. Nazywa się hipokretyną – jest to hormon czuwania. W momencie, kiedy powinniśmy się położyć spać, wyciszać, kiedy melatonina zaczyna na nas oddziaływać i powinna nas kierować w stronę relaksacji, hipokretyna robi rzecz odwrotną. Czyli nie ma nic gorszego niż przed snem zajrzeć sobie na Facebook, odebrać pocztę i przez kilka minut pochłaniać czy wystawić siatkówkę na działanie wysokoenergetycznego, bliskiego fioletowi promieniowania widzialnego, bo wtedy mamy dwie godziny bez snu.

Wydaje mi się, że ostatnią rzeczą, jaką robi nastolatek przed spaniem, jest sprawdzenie wiadomości, czy ilości polubień na FB.

– Żeby to tylko nastolatków dotyczyło. (śmiej)

Tylko my sobie wielkiej krzywdy tym nie zrobimy.

– To jest dyskusyjne. Biorąc pod uwagę, że przeciętny nastolatek zasypia koło godziny pierwszej, wpół do drugiej – i to jest jego naturalny rytm – to człowiek dorosły, który ma ten rytm przesunięty w lewo, patrząc o godzinie 22.00 w ekran o wiele bardziej sobie nabałagani w rytmie snu niż ten nastolatek. To nam bardzo opóźnia moment, kiedy wreszcie będziemy mogli zasnąć. Nastolatek natomiast potrzebuje 1,5 godz. snu więcej niż dorosły, a w okresie bycia nastolatkiem prawie każdy człowiek ma zaburzenia snu – gdy dołożymy kolejny czynnik, mamy jeszcze większe kłopoty.

Z czego wynikają zaburzenia snu u nastolatków? Emocje?

– Oczywiście, emocje mają tutaj ogromne znaczenie, ale emocje to funkcjonowanie ośrodkowego układu nerwowego. Nastolatek to jest taki człowiek, u którego ten ośrodkowy układ nerwowy, a szczególnie kora mózgowa, jest w bardzo silnej przebudowie. W efekcie wszystko funkcjonuje niezbyt sprawnie i to na wielu poziomach. Między innymi jednym z tych poziomów jest właśnie zaburzenie snu. Większość nastolatków, szczególnie pomiędzy 12. a 17. rokiem życia, ma jakieś zaburzenia snu – od totalnej bezsenności, która może trwać dwa tygodnie, kiedy dziecko śpi po pół godziny czy godzinę. To ma wpływ na jego układ odpornościowy, a także na jego koncentrację, aż po stany kataleptyczne. Ile razy widzimy, że nastolatek siada na chwilę i zasypia. Nam się wydaje, że on nie jest zainteresowany, szczególnie, jeżeli dzieje się to na lekcji, albo złośliwy, albo nie spał w nocy, bo imprezował, ale to nieprawda. Oni mają tego typu problemy ze snem.

Szybciej zauważą takie problemy rodzice czy nauczyciele?

– Ci, którzy patrzą. I to patrzą wiedząc. Bo jeżeli ktoś nie wie, to uzna ziewanie nastolatka o 8.00 rano za chamstwo, złośliwość, albo po prostu brak zainteresowania.

Ale jeżeli ktoś wie, że u niego rytm melatoninowy przesunięty jest w prawo i o godzinie 7.30 – 8.00 poziom melatoniny nie jest jeszcze dzienny, to po prostu wie, skąd się to bierze. Będzie się mniej złościł, będzie bardziej wyrozumiały. A może zacznie o ważnych rzeczach mówić nieco później.

Jeżeli mamy taką wiedzę, popartą dowodami, dlaczego uczniowie zaczynają lekcje tak wcześnie?

– Niektóre systemy edukacyjne zwracają na to uwagę. Wiele szkół, szczególnie tych, które mogą sobie na to pozwolić, przesuwa zajęcia na późniejsze godziny. To dotyczy także rozmów w domu. Rodzice często przy porannej kawie próbują ze swoimi nastoletnimi pociechami nawiązać kontakt. Po południu nie mają czasu, dzieci mają zajęcia dodatkowe, wieczorem rodzice są już zmęczeni, więc kiedy porozmawiać z nastolatkiem? O godzinie 7.30 prosimy nastolatka: „Porozmawiaj ze mną, bo później nie będziemy mieć czasu”, a on nam odpowiada monosylabami, coś tam odburkuje. Wydaje nam się, że czuje niechęć do dyskusji z nami, a z perspektywy rytmu dobowego nastolatek o 7.30 jest mniej więcej w takim miejscu, w jakim jego dorosły opiekun był o 3.30 czy 4.00. Jeżeli więc dorośli chcą wiedzieć, dlaczego ich dzieci nie chcą z nimi rozmawiać rano, to niech poproszą kogoś, żeby ich obudził o 4.00 rano i powiedział: „Słuchaj, porozmawiaj ze mną troszkę, bo teraz mam na to ochotę”.

Nie chciałabym takiego eksperymentu...

– A nastolatki przerabiają takie eksperymenty codziennie, albo co drugi dzień.

Obiecuję nie odzywać się do moich dzieci przy śniadaniu.

– Odzywać się trzeba, tylko to nie jest dobry moment, żeby wchodzić w jakieś głębokie relacje i wymagać odpowiedzi. Nie jest to również odpowiedni moment, żeby zlecić nastolatkowi coś ważnego, np. „Pamiętaj, że musisz odebrać siostrę z przedszkola”. Jak pani to powie o 6.30, a potem nie powtórzy jakimś SMS-em

czy innym komunikatem, to sobie siostra poczeka w przedszkolu i będziemy mieć rozróżbę wieczorem.

Mówił pan też o tym, że nasze dzieci uczą się więcej niż my nauczyliśmy się w ich wieku. Czy rodzice zdają sobie z tego sprawę?

– Małe sprostowanie – my wymagamy więcej, niż od nas wymagano, ale mózg jest narządem takim, jak każdy inny i ma swoje biologicznie uwarunkowane ograniczenia. Nie jest tak, że to, czego zażądamy, otrzymamy. Jest pewna granica, poza którą nie jesteśmy w stanie przejść. Innymi słowy: być może oni nie uczą się dziś więcej, bo po prostu nie mogą, tylko, że my od nich więcej wymagamy. Bardziej się złościmy niż nasi rodzice na nas, że nie potrafili tego zrobić. Efektem tej presji jest wzrastający odsetek samobójstw wśród nieletnich. To jest wielki problem. W 2017 roku odnotowano najwyższy odsetek samobójstw wśród nieletnich w ciągu 25 lat.

Skąd tak dramatyczny wynik?

– Myślę, że przede wszystkim to jest to, o czym mówiliśmy przed chwilą – presja rodziców. Wymagamy od dzieci rzeczy, których one nam nie mogą dać. Nie dlatego, że nie chcą, tylko dlatego, że to, czego wymagamy, przekracza wszelkie granice możliwości, również na poziomie poznawczym. A one nam wierzą, wierzą i ufają. Wbrew temu, co możemy myśleć o nastolatkach, nie są przeciwko nam, nie są zbuntowani, wręcz przeciwnie. Jeżeli ktoś, komu pani ufa, mówi, że jak się dobrze postarasz, to na pewno ci się uda mieć same piątki, mieć świadectwa z paskiem itd., a ty tego nie potrafisz zrobić, to gdzie kierujesz pretensje? Do siebie. Zawiodłem. Niestety, to jest najczęstsze zdanie w listach pożegnalnych samobójców: „Przepraszam kochani rodzice, że zawiodłem”. Sytuacja jest naprawdę dramatyczna. My często zwracamy uwagę na dziecko bez opieki, z rodziny, która poświęca mu mniej czasu, ale okazuje się, że w ogromnym niebezpieczeństwie są też te dzieci, które z pozoru mają optymalne warunki i chce się od nich: „Tylko się uczcie”. Wydaje nam się, że oni nie mają żadnych innych problemów, nic się w ich

życiu nie dzieje, tylko mają się uczyć i będzie OK. Tak, będzie OK, jeżeli nie będziemy wymagać rzeczy niemożliwych.

Opiekujemy się nimi tak bardzo, że nie zostawiamy miejsca na życie?

– Tak. Po prostu wymagamy rzeczy absolutnie niemożliwych. Jest świetna książka niemieckiego psychoterapeuty Michaela Schulte’a-Markworta „Wypalone dzieci. O presji osiągnięć i pogoni za sukcesem”. Autor opisuje, że zgłaszają się do niego dzieci 12-, 13-letnie z wszystkimi syndromami wypalenia zawodowego, z takim stanem psychicznym, z jakim się zgłaszają ludzie po 15 latach pracy w korporacji.

Co się z nami stało? Z nami rodzicami?

– Uwierzyliśmy w to, że jak się ktoś naprawdę mocno postara, to może wszystko. To nie jest prawda.

To dlaczego, skoro wierzymy w ten mit, nie realizujemy go w stosunku do siebie?

– Ależ realizujemy i mamy z tego samego powodu te same problemy. Wymagamy od siebie absolutnie zbyt wiele – coraz więcej, coraz szybciej, coraz mocniej, a kiedy dochodzimy do ściany, to co? Albo zawiodłem, albo staram się zrobić coś, żeby od tej ściany się odbić, łącznie z narkotykami, łącznie z innymi sztucznymi metodami nakręcania się, co nas kosztuje bardzo wiele.

Jednak wielu dorosłych w porę się opamiętuje. Zostawiają korporacje, zmieniają swoje życie, kupują dom na Mazurach i rzucają wszystko, co robili do tej pory. A dziecko? Ono nie ma takich możliwości.

– Bo dziecko wierzy nam. Proszę pomyśleć, czy w wieku 10, 12, 15 lat dziecko może uważać, że przebieg mitozy i mejozy albo rozwiązywanie równań kwadratowych ma dla niego jakiegokolwiek sens? Nie może. To proszę mi powiedzieć, dlaczego się tego uczą? Tylko z jednej przyczyny – bo my tego od nich chcemy, a oni ufają, że my wiemy co robimy. Tylko, że problem polega na tym, że my nie zawsze wiemy, co robimy.

Często nie wiemy.

– Właśnie. Trochę nie wiemy, albo robimy to z automatu. Mówimy: „Robimy to dla waszego dobra”, ale nie dokonujemy refleksji. Co to znaczy dla waszego dobra? Możemy powiedzieć: „Tak, odbiorę ci dzisiaj trochę dzieciństwa, ale będziesz mieć wspaniałą przyszłość”. A ja powiem: „Jeżeli odbierzesz mi tego dzieciństwa za dużo, mogę nie mieć żadnej przyszłości”. Tak jest i to się dzieje na naszych oczach. Cenne jest to, co pani powiedziała – dorosły już coraz częściej dokonuje autorefleksji i wycofuje się. Natomiast młody człowiek nie ma jeszcze tych społecznych narzędzi – on nie zarobił na ten domek. Nie zna też świata tak, jak my, więc ufa temu, kto zna, czyli nam. Rzecz w tym, że między światem wyścigu szczurów i ciągłej konkurencji, a losem naszych dzieci stoimy już tylko my. Jeżeli my się przyłączymy do tamtego świata, to dzieci będą w tarapatach.

Co możemy zrobić?

– Nie przyłączać się do tego świata.

A nas, rodziców, kto ma nauczyć właściwego postępowania? Z obserwacji wiem, że dorośli są niezwykle przewrażliwieni na punkcie bycia dobrym rodzicem.

– Dlatego nie należy nikogo pouczać, tylko należy wyjaśniać. Jestem jako biolog w komfortowej sytuacji, ponieważ dyscypliny przyrodnicze nie służą do pouczenia, tylko służą do wyjaśniania, więc jako uczciwy biolog wyjaśniam. To skutkuje.

Są specjalne kursy dla rodziców, ale mam wrażenie, że ci, którzy powinni się na nich znaleźć, myślą o sobie: jestem takim świetnym rodzicem, niczego nie mogę się nauczyć.

– Nie wiem, czy jest tak dużo rodziców zadufanych w sobie, żeby mówić: „Jestem świetnym rodzicem”. Nie o to chodzi, że dorosły uważa się za doskonałego rodzica, tylko, że większość propozycji kierowanych do rodziców jest propozycjami pouczającymi. Jeżeli on ma przyjść i słyszeć po raz setny, jaki jest fatalny i co powinien

zrobić, żeby być wspaniałą – przepraszam bardzo – samemu by mi się nie chciało pójść na taki kurs. To musi być po prostu wiedza. Możemy przyjechać na takie sympozjum (wywiad został przeprowadzony podczas IV Sympozjum Neurodydaktyki – dop. red.), posłuchać wykładów na TEDzie, poszukać. To naprawdę jest.

– Potem, jak już informacje zaszczepią się w mojej głowie, to pomyślę: „Może powinienem wiedzieć trochę więcej, może to, co mi się wydawało, że jest u mojego dzieciaka, tak naprawdę takie nie jest”. To nie jest kwestia błędu – ludzie mają prawo, żeby im się wydawało, wtedy szukają. Widzę to na spotkaniach z rodzicami. A nie są to wyłącznie rodzice z kursów, na przykład jestem zapraszany na spotkania z rodzicami w szkołach po wywiadówkach, czy w ich trakcie. Nigdy nie spotkałem się z odbiorem typu: „Co pan tu opowiada, po co nam to.” Nie. Zawsze jest uwaga. Oczywiście, jedni konsumują informacje głębiej, inni nie, ale to jest normatyw w przekazie. Ktoś coś mówi, to nie znaczy, że drugi będzie chciał tego słuchać.

Proszę mi jeszcze powiedzieć, jak było z tą wodą? Dlaczego uczeń powinien pić?

– Problem polega na tym, że dzieciaki się bardzo szybko odwadniają. Mają stosunkowo wysoki metabolizm. Duża powierzchnia skóry w stosunku do masy powoduje, że ucieczka wody, chociażby przez parowanie skórne, jest duża, a czasu na to, żeby czegoś się napić, nie mają, bo na długiej przerwie najczęściej są inne sprawy do załatwienia, niż pójście do sklepiku, czy wypicie wody mineralnej. Lekcja byłaby takim miejscem, gdzie wydaje mi się, nic by się nie stało, gdyby ta woda mineralna na stole czy obok stanęła, a dzieciak automatycznie, odruchowo wypił sobie kilka łyków. Dzięki temu byłby bezpieczny na poziomie fizjologicznym i naprawdę – uwodnienie tkanki, również tkanki mózgowej, gdzie jest tej wody bardzo dużo, ma wpływ na to, jak on funkcjonuje poznawczo.



Obecni ojcowie to mężczyźni angażujący się w rolę ojca od samego początku życia dziecka

| PICSEL

Jacy są współcześni ojcowie?

Adam Wieczorek

Dzień ojca to dobry moment, aby przyrzeć się ewolucji modelu rodzicielskiego, jaka zaszła w ostatnich latach. Okazuje się, że we współczesnym ojcostwie zderzają się często przeciwstawne podejścia do wychowywania dzieci. O tym, jaki jest obraz współczesnego ojca, opowiada dr Marta Bierca, autorka książki „Nowe wzory ojcostwa w Polsce”.

ADAM WIECZOREK, INTERIA: Skąd zainteresowanie modelami ojcostwa?

MARTA BIERCA: – Zainteresowałam się tą tematyką w 2010 roku, gdy w Polsce wprowadzono urlopy ojcowskie – najpierw w wymiarze jednego tygodnia, następnie dwóch. Pomyślałam, że to może być moment, gdy zacznie się zmieniać model rodziny jako całości, układu sił i relacji. Wraz z tym musiała iść zmiana modelu ojca, lub też modeli, bo współcześnie występuje ich wiele i trudno mówić o typowym czy też dominującym. Zagłębiając się w tę tematykę zaczęłam dostrzegać coraz większą popularność tematyki ojcostwa wokół nas – powstawały blogi ojcowskie, poradniki dedykowane ojcom, a nawet szkoły czy warsztaty „jak być dobrym ojcem”. Coś się zaczęło w polskim ojcostwie dziać.

Czy zatem współcześni ojcowie różnią się od tych z poprzednich pokoleń?

– Trudno mi generalizować. Prowadziłam wywiady pogłębione z ojcami, ale trzeba pamiętać, że nie jest to absolutnie próba reprezentatywna dla całej Polski. Niemniej widać, że obecny młody ojciec, a rozmawiałam z mężczyznami w wieku 25-40, mającymi małe dzieci, do lat 5, to osoba, która często mówi: chcę być ojcem, ale nie takim jak mój tata. Nie znaczy to jednak, że zawsze ci ojcowie obecnych ojców byli jednoznacznie negatywni. Raczej reprezentowali inny model ojcostwa, opartego na autorytaryzmie i władzy. Relacja dawnego ojca z dzieckiem była nierówna i mało emocjonalna. Ojciec często wymagał i raczej nie wchodził w otwarty dialog z dzieckiem.

Co chcą zmienić współcześni ojcowie?

– Obecni ojcowie, a przynajmniej ci określani czy określający się jako zaangażowani lub nowocześni, to mężczyźni angażujący się w rolę ojca od początku, a niekiedy już na etapie ciąży. Cechuje ich duża emocjonalność, bo okazują uczucia dziecku i nie wstydzą się tego. Kiedyś mówiło się, że ojciec jest od zawożenia dziecka do przedszkola, ewentualnie od zabaw, bo pogra z synem w piłkę. Współczesny zaangażowany ojciec to po prostu rodzic pełną gębą i na pełen etat. Jest zaangażowany we wszystkie, nawet te codzienne i nużące czynności. Po prostu obecny przy

dziecku i partnerce. I, co ważne, definiujący się przez rolę ojca, a niekoniecznie jak kiedyś głównie przez rolę pracownika, szefa czy męża.

Jaki był główny motor tych zmian?

– Rodzina nie jest zawieszona w próżni. Wpływa na nią wiele czynników. Na pewno zmianę wymusił rynek pracy i większe zaangażowanie kobiet w sferę zawodową. W tym kontekście nie ma szans, żeby utrzymał się dawny model mężczyzny, tak zwanego żywiciela rodziny i kobiety odpowiedzialnej tylko albo aż za dom i dzieci. Do tego dokładają się nurty feministyczne i postępujące wyzwolenie kobiet. No i sami mężczyźni też nie chcą już być wykluczani ze sfery domowej.

Czego najbardziej boją się współcześni ojcowie?

– Boją się, że nie podołają tej ważnej roli, że sobie nie poradzą. Lęków jest wiele, myślę, że podobnych do tych, jakie odczuwają kobiety. W ojcach pokutuje też obawa typowa dla ich ojców – o utrzymanie rodziny i zapewnienie dobrego startu dziecku. To są takie przebliski starego modelu w nowym. Ale, co ważne, ojcowie coraz częściej mówią o lękach i obawach związanych z rodzicielstwem. To naprawdę ma znaczenie, bo ojciec też ma prawo do słabości, zmęczenia czy niewiedzy.

Jaki jest zatem model współczesnego ojcostwa?

– Trudno mówić o jednym modelu. Myślę, że jest ich wiele, rozpiętych na skali od tych bardziej tradycyjnych do bardziej nowoczesnych. To co charakteryzuje ten model ogólnie to duże zaangażowanie w rolę rodzica, obecność, aktywność w roli ojca, emocje i refleksja nad swoją rolą jako rodzica.

Czy przy tendencji powracania do „klasycznego” modelu rodziny, nie boi się Pani zatrzymania przemian?

– Szczerze mówiąc obawiam się. Ostatnio kraje Unii Europejskiej zostały zobowiązane ogólnie do wprowadzenia 4-miesięcznych urlopów wyłącznie dla ojców, a Polska była przeciw. Obecna polityka prorodzinna jest utrzymana w bardzo tra-

dycyjnym stylu. Nie promuje się aktywności kobiet na rynku pracy, nie jest wspierany dostęp do żłobków czy przedszkoli. Martwi mnie też nadal mało elastyczny rynek pracy, z dominującym 8-godzinny dzień pracy w biurze. W takich warunkach trudno wprowadzić większe zmiany, a model rodziny tradycyjnej okazuje się być po prostu łatwiejszy i przystający do realiów.

Wspomniała pani o większej roli kobiet. Czego zatem oczekują od ojców współczesne kobiety?

– Mają często sprzeczne wizje. Z jednej strony zależy im na większym zaangażowaniu ojców w dom i dzieci, z drugiej strony same to blokują podsycając wizję siebie jako najlepszych opiekunów dziecka. Oczywiście jest, że małe dziecko potrzebuje matki bardziej, z powodów czysto biologicznych. Ale w wielu czynnościach ojciec może się sprawdzić równie dobrze, jak mama. A kobietom często jest trudno odpuścić. I tu apel to pań – przestańcie aż tak kontrolować swoich partnerów.

Jak Polscy ojcowie wypadają na tle świata? Mamy jeszcze wiele do nadrobienia?

– Patrząc na ogólne statystyki czy też regulacje prawne dotyczące urlopów ojcowskich, to na pewno wypadamy gorzej, niż bardzo postępowe w tej tematyce kraje skandynawskie czy niektóre zachodnioeuropejskie. Ale na pewno w samej Europie są kraje mocno ciążące ku tradycyjnym modelom rodziny, jak Grecja czy Włochy, gdzie dojrzały mężczyźni długo mieszkają w domu rodziców, nie myśląc nawet o ojcostwie, a co dopiero zaangażowanym. Mam nadzieję, że polscy tatusiowie będą brali przykład z tych północnoeuropejskich.



Mówi się, że siódmy rok jest przełomowy – w małżeństwie lub bliskiej relacji ze wspólnym mieszkaniem

| PICSEL

Mąż jest jak naleśnik: pierwszy zawsze do wyrzucenia. Czy możliwa jest miłość na całe życie?

Karolina Świdrak

Wszystkim, którzy mówią: „nie mam czasu na...”, proponuję, by zamienili to sformułowanie na „moim priorytetem nie jest...”. Moim priorytetem nie jest zabawa z dziećmi. Moim priorytetem nie jest rozmowa z mężem. Moim priorytetem nie jest fajny seks. Brzmi dużo mocniej, prawda?

Z EDYTĄ ZAJĄC, PSYCHOLOGIEM, autorką książek i bloga o psychologii, rozmawiam o tym, jak stworzyć związek na całe życie.

KAROLINA ŚWIDRAK, INTERIA.PL: Byłam ostatnio na obchodach 50. rocznicy ślubu pewnej pary. Wśród gratulacji nie brakowało komentarzy typu: Jak wy to zrobiliście? Teraz żaden związek nie trwa tak długo! Masz wrażenie, że to nierealne, by w dzisiejszych czasach przeżyć z kimś całe życie.

EDYTA ZAJĄC: – Chcę myśleć, że to jest realne, choć żadna z nas nie ma tej pewności. Myślenie, że jest to nierealne, bierze się pewnie stąd, że obserwujemy wokół siebie bardzo wiele rozstań osób, których wcale nie chcielibyśmy widzieć w tej sytuacji. Gdy widzimy rozwód celebrytów, reagujemy szokiem. Obserwujemy falę rozstań wśród rodziców, którzy wychowali dzieci, i reagujemy szokiem. W końcu zaczynamy się zastanawiać, kiedy trafi na nas.

Myślisz, że rozwody to epidemia, którą nawzajem się zarażamy?

– Na początku zaznaczmy, że rozwód nie zawsze jest złą opcją i to dobrze, że jest teraz większe przyzwolenie na to, żeby kobieta była rozwódką. Często jest tak, że ludzie krzywdzą się wzajemnie i rozwód jest dla nich lepszym wyjściem, po prostu. Ale są ze sobą, bo wstyd im się rozstać. Czasem mając dwadzieścia lat, popełniamy największy błąd życia, bo wiążemy się z osobą, która nas zafascynowała, choć dziś kompletnie do nas nie pasuje.

– Czy rozwody się udzielają? Pewnie tak, w tym sensie, że łatwiej jest się rozwieść, kiedy widzimy, że robią to nasi bliscy, że nie jest to aż taka tragedia, że da się przeżyć, że to nie taki wstyd. Popularna jest też teoria naleśnika, znasz ją?

Nie...

– Mąż jest jak naleśnik. Pierwszy zawsze do wyrzucenia. Więc podsumowując, łatwiej jest nam podjąć decyzję o rozwodzie, bo to mniejszy wstyd niż dwadzieścia-trzydzieści lat temu. Ale czy łatwiej jest nam zrezygnować ze związku? Chyba nie.

Jeśli związek jest dobry, daje nam coś, nie wyrzucamy go do kosza. Ja wokół siebie widzę wiele osób, które robią wszystko, by związek przetrwał, choć całe otoczenie mówi: zostaw ją/jego. W dzisiejszych czasach po prostu łatwiej jest nam podjąć decyzję, żeby zostawić kogoś, kto nas krzywdzi.

A nie jest tak, że realia, w których żyjemy, nie sprzyjają długim związkom? Spędzamy razem mało czasu, pochłania nas kariera, pęd, dojazdy, nie mamy kiedy być blisko siebie.

– Zdecydowanie. Czasy, w których żyjemy, niekoniecznie sprzyjają rozstaniom, ale bardzo sprzyjają temu, żeby związki rozpadały się w naturalny sposób. Jeśli umiemy pobyc blisko siebie, tak emocjonalnie, usiąść, popatrzeć, porozmawiać, to jesteśmy blisko. Ale jeśli ulegamy pędowi współczesności, jesteśmy zbyt zmęczeni na rozmowę, spędzamy wieczory w pracy, a potem resetujemy się przy serialu, pracujemy na to, żeby ta relacja zaniknęła. Wtedy rozwód jest tylko naturalną konsekwencją.

Trend jest wyraźny: rozpada się jedna trzecia małżeństw. Najczęściej rozwodzą się ludzie w wieku 30-39 lat, w zdecydowanej większości po małżeństwie, które trwało od pięciu do dziewięciu lat. Jak to wyjaśnisz?

– Mówi się, że siódmy rok jest przełomowy – w małżeństwie lub bliskiej relacji ze wspólnym mieszkaniem. Na początku relacji odkrywamy drugą osobę, jest przygoda, ciekawość, dreszczyk emocji. Z czasem pojawiają się problemy, przychodzą dzieci, albo nie ma tych dzieci i z tego wynikają konflikty, są rachunki, kredyty, w końcu pytanie: po co mi ta osoba, skoro znam ją jak własną kieszeń? W tym wieku i w tym czasie zmienia się w nas najwięcej. Dochodzimy do punktu, w którym uznajemy, że czas mija, weryfikujemy swoje życie, po raz drugi zastanawiamy się, czy osoba obok nas jest tą odpowiednią, szczególnie jeśli nie zmienia się tym samym tempie co my. On leży na kanapie, a ja chcę iść. Po siedmiu-ośmiu latach pojawia się w małżeństwie pytanie, czy nie zapadam się w nudę, a z drugiej strony, czy moje dorosłe cele są takie same jak cele osoby obok mnie. Wszystko może się

w nas zmienić w ciągu siedmiu lat. Mogą się pojawić osoby, które pokazują nam inny tryb życia. To ryzykowny czas.

Instytucja małżeństwa przeszła w ostatnich latach ogromną metamorfozę. Zmieniły się czasy czy nasze oczekiwania względem związku?

– Dla różnych ludzi małżeństwo oznacza różne rzeczy, tak było kiedyś, tak jest i dziś. Dla jednych to szansa na ustakowanie się, stabilizacja, dla innych ślub to metafizyczne wydarzenie. Zmalała presja na branie ślubu. Oczywiście nadal, jeśli kobieta w wieku trzydziestu lat nie ma męża, wszyscy pytają, co jest z nią nie tak. Ale ta presja jest zdecydowanie mniejsza niż jeszcze kilkanaście lat temu. Moja babcia wychodziła za swojego dziadka, mając dwadzieścia pięć lat, i mówiła, że była już starą panną. Dziś w tym wieku niewiele osób myśli o małżeństwie. Presja na związek nadal istnieje, ale coraz częściej dajemy prawo do szczęścia ludziom, którzy nie są w związku, nie są w małżeństwie, nie mają dzieci.

Według mnie kiedyś ludzie częściej brali ślub, bo taka była naturalna kolej rzeczy. Przychodził czas na znalezienie odpowiedniej osoby, zaślubiny, dzieci. Dlatego koleżanki z jednego rocznika brały śluby w odstępach rocznych, dwuletnich, potem miały dzieci w jednym wieku. Pod warunkiem że nie dochodziło do zdrady ani innych patologii, takie małżeństwa trwały aż do śmierci. Mniej mówiło się o tym, jak się czujemy w tych rolach. Dzisiaj ludzie, głównie za sprawą poradników, przyglądają się swoim małżeństwom przez lupę, ciągle pytają samych siebie: czy na pewno jestem z nim/z nią szczęśliwa/szczęśliwy?

– Nadszedł czas rozkwitu psychologii, poradniki ukazują się na każdym kroku, ja sama jestem autorką kilku. Rzeczywiście ludzie szukają dziś odpowiedzi i szukają pytań, oceniają wartość swojego życia w oparciu o kryteria nadane społecznie, mają więcej okazji do tego, by zastanawiać się nad sobą. Kiedyś etapy były bardziej naturalne: teraz jest etap wychodzenia za mąż, teraz etap na dzieci. Współcześnie jest większy chaos, nastawienie egoistyczne i ciągle pytanie, czy

aby na pewno dana osoba spełnia moje warunki. Które podejście jest lepsze? Ja nie jestem fanką tego, co się dzieje obecnie. Dla mnie budowanie silnej relacji to nie tylko skierowanie na mnie i na moje potrzeby, ale także na potrzeby drugiego człowieka.

I chyba również na to, co nas łączy, na wspólne działanie?

– Wspólny cel, wspólne wartości. Nowe podejście zakłada, że skupiamy uwagę na sobie. Stare, że głównie na drugim człowieku. To zasadnicza różnica przekładająca się na wybory, których dokonujemy w życiu.

– Jestem zwolenniczką podejścia, w którym są etapy na poszczególne rzeczy w naszym życiu. Niekoniecznie na małżeństwo, ale na pewne decyzje, na utwierdzenie się w przekonaniu, że twój styl życia jest dobry. Ja nie chciałabym całe życie szukać. A wydaje mi się, że właśnie w takich czasach żyjemy...

...w czasach absolutnej wolności, która tylko pozornie jest fajna, bo z drugiej strony ciągle stawia cię przed nowymi wyborami i pytaniami. I to, że związki są teraz mniej trwałe niż wcześniej, oznacza, że przez całe życie masz nieograniczony wybór.

– To może być zgubne, bo jeśli cały czas stawiam sobie pytania: czy mój związek jest dobry, czy ta osoba jest dobra, czy się spełniam, to ostatecznie nic innego w życiu nie robię, tylko się zastanawiam. Nie potrafię dokonać żadnego wyboru i jestem sfrustrowana, bo nic się nie dzieje. Błędne koło.

Jest jakieś wyjście z tej matni?

– Jest. Ustalić samemu ze sobą, w jakich obszarach życia chcę stałości, niezmienności, stabilizacji. W jakich nie chcę już eksperymentować. Jeśli zdecyduję, że moje życie prywatne jest ustabilizowane i dobre, łatwiej jest szukać swojej pasji w życiu zawodowym. Jeśli w każdym obszarze mojego życia panuje chaos, to całe życie jest chaosem. Mocna relacja, która trwa przez wiele lat, dobrze nas zabezpiecza przed chaosem w życiu.

Ale to wymaga refleksji. A ludzie dziś nie lubią się oddawać refleksji. Prędzej pomyślą: ta koleżanka zmieniła męża, tamta zmieniła, a ja mam od dwudziestu lat tego samego faceta. Co jest nie tak?

– Tutaj warto sobie zadać jedno podstawowe pytanie: czy żyję według priorytetów? Kultura masowa wymusza na nas ciągłe zmiany, życie życiem nagłym, nagłe potrzeby. Napisałam kiedyś tekst Działanie wyraża priorytety, w którym była mowa o tym, jaka jest różnica między priorytetem autentycznym a deklarowanym. Jeśli mówię, że moim priorytetem jest zdrowie, ale jem niezdrowe rzeczy i prawie wcale się nie ruszam, a do tego palę papierosy, to jaka jest prawda? Wiele osób mówi, że ich priorytety to małżeństwo i rodzina. Ale tak naprawdę nie mają siły ani czasu, żeby usiąść z drugą osobą i spokojnie pogadać. Działanie wyraża priorytety. Czy jesteśmy w stanie odciąć się od pracy, obowiązków, by pobyć razem? Wszystkim, którzy mówią: nie mam czasu na..., proponuję, by zamienili to sformułowanie na: moim priorytetem nie jest... Moim priorytetem nie jest zabawa z dziećmi. Moim priorytetem nie jest rozmowa z mężem. Brzmi dużo mocniej, prawda? Więc auto-refleksja bywa bardzo bolesna, ale może zmienić nasze życie.

Jak zatem poprowadzić tę relację, by trwała przez całe życie?

– Chciałabym tu przywołać kintsugi – japońską sztukę naprawiania porcelany. W Japonii panuje duże przywiązanie do przedmiotów, szczególnie tych z duszą. Weźmy na przykład filiżankę. U nas filiżanka z urwanym uszkiem ląduje w koszu. W Japonii nikt by takiej filiżanki nie wyrzucił. Japończycy przygotowują specjalną mieszankę ze złota i materiałów łączących, by za jej pomocą zlepić urwane uszko z filiżanką. Idea jest taka: nie wyrzucam rzeczy, która jest zniszczona, ale robię z niej arcydzieło. Uważam, że to idealna metafora dla relacji.

– Na początku jest piękna, nowa, fascynująca. Potem pojawia się wiele rys, uszkodzeń, urwanych uszek. Ale to od nas i od naszej pracy zależy, czy powstanie z niej arcydzieło. W relacji warto się skupić na naprawianiu. Złotem, która zlepia ludzi, jest komunikacja, rozmowa, bez nastawienia, że ja wiem lepiej, co ty chcesz powiedzieć. Bez myślenia: znam cię tyle lat i dobrze wiem, co myślisz, doskonale

wiem, co zaraz od ciebie usłyszę. Mówienie: „wiem, co myślałaś”, jest naprawdę zgubne, bo w ciągu życia każdy się zmienia, ma inne potrzeby, pragnienia, inne podejście do życia. Nie można powiedzieć, że znamy kogoś tak dobrze, że nie musimy z nim już rozmawiać.

– Z każdej relacji możemy więc zrobić dzieło sztuki. Wystarczy trochę cierpliwości oraz założenie, że ta osoba naprawdę nie jest wredna.

Ta metafora pokazuje też, że kryzys zmienia związek, tak jak złoto filiżankę. Że relacja jest wciąż inna, nie ma powrotu do status quo, nie da się cofnąć pewnych rzeczy. Pisałam ostatnio o tym, że zdrada, którą się wybaczy i przepracuje, może zmienić związek na lepsze. To jest podobne myślenie.

– Wiele osób zastanawia się, jak można wybaczyć zdradę. Ale stosunkowo często zdarza mi się spotykać podczas konsultacji kobiety, które przepracowały taką sytuację i mówią: jestem szczęśliwsza niż kiedyś.

– Na początku związek jest idealną, piękną filiżanką bez skazy, kompletnie nieużywaną. I kiedy zaczynasz „używać” tej relacji, wyciągać z niej coś dla siebie, korzystać, ona może się uszczerbiać, ale staje się jednocześnie piękna i autentyczna.

A może związki się nie udają, bo źle wybieramy? Bo zakochujemy się w pierwszym lepszym?

– Pamiętam siebie z początków związku z moim mężem. Pamiętam, jaka byłam zakochana. Nie było takiej możliwości, żebyś przemówiła mi do rozsądku. Nie myśli się wtedy racjonalnie. Oczywiście możemy popełnić błąd, ale gdybyś była w stanie go przewidzieć, zrobiłabyś to. Natomiast jeśli zakochałam się w tym człowieku z jakiegoś powodu, niech ten powód trwa przez całe życie. Kluczowe jest założenie, że człowiek, z którym żyję, nie jest wredny, ma dobre intencje. To podstawa. Problemy w komunikacji zaczynają się, gdy stwierdzamy, że on/ona na pewno chce mi zrobić na złość.

A poza komunikacją?

– Wszystkie udane związki, które znam, mają czas dla siebie. Czas, gdy skupiamy się na partnerze i robimy coś razem. Gotowanie, rozmowa, codzienne sprawy, które sprawiają, że życie jest fajne. Gdybyśmy spędzali razem więcej czasu, wiele związków mogłoby być uratowanych.

Co jeszcze?

– Piękne cele. Może nawet niekoniecznie duże, ale wspólne. W tym szalonym, zabieganym życiu ludzie zapomnieli o celach. Oczywiście mamy cele codzienne: zrobić zakupy, zapłacić rachunki. Ale czy mamy cele związane z fajnym życiem? Z dbaniem o to, by być blisko? Przykład: tej zimy zwiedzę z ukochanym wszystkie krakowskie parki. To romantyczne przeżycie, które zbliża, sprawia, że jesteśmy razem. Że życie jest magiczne. To piękna codzienność sprawia, że mało jest między nami miejsca na złe rzeczy.

Wiele par rozbija się o to, że nie zmieniają się w tym samym rytmie. Zakochujemy się, gdy jesteśmy młodzi, trochę przerażeni życiem. Potem rośnie nasza samoocena, przychodzą pieniądze i siła. Kobieta wraca z pracy, w której odnosi sukcesy, a na kanapie widzi sfrustrowanego nudziarza.

– Nawet kiedy doszliśmy już do etapu nudziarza, wciąż jeszcze można coś zrobić z tym związkiem. Zawsze jeśli ty zaczynasz się zmieniać, na przykład biegasz albo zdrowo gotujesz, osoba, która żyje obok ciebie, zaczyna się zmieniać. Kiedy ty przechodzisz przez swoje zmiany, zamiast się obrażać, po prostu zachęcać drugą osobę do tego samego. Powiedz: Ja chcę schudnąć, więc zapraszam cię na spacer, chodzenie po górach. Pomóż mi zmobilizować się do biegania.

– Ważne jest też, żeby nie pozostawać człowiekiem bez pasji. To często widzę po matkach, które rezygnują ze wszystkiego dla rodziny. Sama mam troje dzieci, więc wiem, jak wiele osób oczekuje, że zrezygnuję ze wszystkiego dla rodziny. W całym tym szalonym świecie powinniśmy rękami i nogami bronić się przed poświęcaniem się dla miłości. Warto trzymać swój świat, swoją pracę, swój rozwój. Nie warto

być męczennikiem za miłość, to zawsze się kończy źle. Warto szukać swoich pasji, choćby po to, by mieć do czego wrócić w chwili kryzysu.

– Jeżeli tworzymy małżeństwo i rodzinę, musimy jednocześnie tworzyć samych siebie, cały czas.

A seks? Na początku związku w naszej sypialni latają motyle, potem na nic nie mamy siły ani ochoty. Poddajemy się, zmęczenie bierze górę. Seks najbardziej cierpi w tych szalonych czasach.

– Jeśli widzimy, że w naszym życiu brakuje czasu i miejsca na szalony, spontaniczny seks, zaplanujmy go. Po prostu, to wcale nie oznacza, że będzie gorszy. Szczególnie, gdy mamy dzieci i milion spraw na głowie. Warto zawalczyć o wspólne – na przykład – małżeńskie środy. Nawet jeśli zaśniemy, trzymając się za ręce, i tylko na tyle znajdziemy siłę, będziemy razem i to się liczy. Nie rezygnujemy z tego, bo rezygnacja prowadzi do frustracji.

A frustracja prowadzi do złych decyzji.

– I do kłótni nie wiadomo o co, choć przecież dobrze wiadomo. Walczmy o miejsce na seks, na bliskość.

A może udany związek to po prostu kwestia spotkania swojej połówki jabłka? Moim zdaniem to głupia i szkodliwa teoria, ale ludzie ciągle w nią wierzą.

– Warto wierzyć, że na każdego ktoś czeka. Ja sama w to wierzę. Inna rzecz, że miłość rzadko jest usłana różami. Rzadko jest tak, że spotykamy się i od razu jesteśmy szczęśliwi do śmierci. Każda miłość wymaga pracy, ale ta praca to przecież nasza wspólna droga, wspaniała przygoda. Ale nie uznawałabym romantycznej wizji miłości za zupełnie negatywną, raczej powiedziałabym, że trzeba ją wspomóc rozmową, autorefleksją, pracą. Zresztą czy miłość byłaby taka super, gdybyśmy dostali idealny związek na tacy?

– Nie jest możliwe, żeby dwie osoby, które mają różne potrzeby, osobowości, zranienia, komunikowały się perfekcyjnie przez całe życie. Przecież my samych siebie

często nie rozumiemy, nie wiemy, czemu staramy się komuś coś udowodnić albo czemu koniecznie musimy się przed kimś popisywać. Często nie umiemy zgrać się z samym sobą, więc jakim cudem mamy się idealnie zgrać z kimś innym?

Gdy żar namiętności stygnie, wiele osób boi się że to koniec. Czy miłość na całe życie może być letnia?

– No pewnie! Dzięki temu, że są spadki, są też wyże i to jest wspaniałe. Nawet jeśli ten etap nie jest naszym najlepszym etapem, możemy zrobić dużo, by rozgrzać ten związek, ruszyć z miejsca, by coś się działo.

W takich chwilach zwykle myślimy: skoro nic się między nami nie dzieje, może już się nie kochamy?

– To zrób coś, żeby się działo! Jak mawiał Einstein, bez sensu jest oczekiwać innych rezultatów, kiedy wciąż robisz to samo. Więc jeśli jest letnio, zrób coś, żeby to zmienić. Nie czekaj, aż zrobi to ktoś inny!

A może w dzisiejszych, szalonych czasach nie jest możliwa miłość na całe życie? Skoro na przestrzeni lat zmieniamy się tak mocno, może powinniśmy mieć jednego męża na wspólne założenie rodziny i drugiego na spokojną emeryturę?

– Nie zgadzam się z tym. Jestem wielką zwolenniczką poglądu, że można złapać jednego człowieka za rękę i przejść z nim przez życie. Ta ręka będzie nam się czasem wysuwać, czasem będziemy musieli złapać ją mocniej. Nie warto walczyć tylko o relację, która nas krzywdzi. Ale o każdą inną, także o relację trudną, warto. Warto pokonywać wzloty i upadki, lepić tę filizankę, uzupełniać uszczerbki.

A kiedy warto porzucić miłość na całe życie i znaleźć miłość numer dwa albo nawet trzy?

– Wierzę, że na każdego czeka ta właściwa osoba. Czasem, jeśli mamy szczęście, nawet dwie. Warto szukać miłości, ale zawsze dobrze robić to w zgodzie ze sobą,

nie dlatego, że jest takie oczekiwanie. Całe nasze życie jest filizanką. Czasem najbardziej cennym kawałkiem złota jest właśnie rozpad relacji i nowy związek, który nas uleczy i sprawi, że nasze życie będzie arcydziełem.

Jak odróżnić związek, o który warto walczyć, od tego, na który szkoda energii?

– Wierzę w siłę intuicji, której zazwyczaj na wszystkie możliwe sposoby próbujemy nie słuchać. Czy ten związek jest krzywdzący? Czy ufam? Czy boję się o swoje bezpieczeństwo? W głębi duszy znamy odpowiedzi na te pytania, jeśli tylko pozwolimy im dojść do głosu.



Okinawa cechuje się największą w skali całego świata średnią długością życia mieszkańców

| PICSEL

Ikigai, japoński przepis na szczęście

Katarzyna Wilk

Najpierw nauczyliśmy się żyć z francuską nonszalancją, później zawładnęło nami duńskie hygge. Dziś Polacy coraz chętniej czerpią z japońskiej koncepcji ikigai. By żyć zgodnie z tą filozofią, potrzeba nie lada wysiłku, jednak jej miłośnicy są pewni: praca nad sobą się opłaca. Wielu z nich japońskiej myśli zawdzięcza długowieczność, a nawet finansowy sukces.

KATARZYNA WILK: Czy po fali zainteresowania duńskim stylem życia i modą na hygge nadszedł czas na japońskie ikigai?

FRANCESC MIRALLES: – Tak, przy czym są to rzeczy, które się uzupełniają. Hygge jest nurtem, który stawia na docenianie i celebrowanie tego, co mamy w domu. Pośrednio wynika to z uwarunkowań czysto pogodowych. W Skandynawii – może nie licząc kilku miesięcy – nie mamy tak wielu możliwości wychodzenia i spędzania czasu poza domem, stąd też skupienie na tym, co cennego jest w domu, jak dobrze się w nim czujemy pośród rzeczy, którymi jesteśmy otoczeni, poświęcanie czasu na samych siebie i na lekturę.

– To, co proponujemy zaczerpnąć z myśli japońskiej, jest czymś szerszym niż hygge, ponieważ wykracza to poza sposób życia i zachowania w domu. Jest szerszym pojęciem dotyczącym tego, jak dbać o siebie i jak żyć. To właśnie opisujemy z Hectorem Garcíą od czasu, gdy odkryliśmy koncepcję ikigai. Można by to zebrać pod zbiorczym hasłem – tu przywołam cytata z Victora Frankla: „Kto ma po co żyć, ten będzie potrafił stawić czoła każdej niesprzyjającej okoliczności”. Mówimy tutaj więc o czymś szerszym niż tylko pewna higiena domowa. Ikigai jest konceptem filozoficznym, podczas gdy hygge – odpowiednikiem tego, co Niemcy nazywają Gemütlichkeit, czyli pewnej szkoły przytulności. Tutaj mówimy o czymś szerszym, o filozofia życia, która pozwala nam odnaleźć to, w czym jesteśmy dobrzy po to, aby móc nadać każdemu dniu i każdej chwili możliwie jak największą wartość.

Wiele osób wierzy, że to dzięki ikigai niektóre japońskie społeczności żyją tak długo. Jakie są najważniejsze zasady tej filozofii i dlaczego może ona wpływać na długość życia?

– Nasze przygotowania do książki rozpoczęliśmy od wywiadów prowadzonych w rejonie, który cechuje się największą w skali całego świata średnią długością życia mieszkańców. Jest to region na północy japońskiej wyspy Okinawa. Tam zadaliśmy grupie stulatków pytanie o to, czemu zawdzięczają swoją długowieczność i jakie czynniki za nią stoją. Każda z zapytanych osób podzieliła się z nami sześcioma, siedmioma uwagami na ten temat, przy czym warto tu zaznaczyć

bardzo istotną rzecz: to nie są wyłącznie recepty na to, jak osiągnąć długie życie w sensie biologicznym, ale również na to, co może nawet ważniejsze: aby cieszyć się tym, co w Hiszpanii nazywamy życiem użytecznym – żyjemy długo, ale jednocześnie funkcjonujemy w sposób, który nie uzależnia nas od innych, pozwala nam mimo podeszłego wieku w pełni decydować o samym sobie.

– Pojawiało się – jak wspomniałem – około sześciu punktów na każdego z naszych respondentów, ale wszyscy oni byli zgodni w jednej kwestii. Gdy przychodziło do opisanego źródła witalności i motywacji, by każdego kolejnego dnia podnieść się z łóżka, wszystkie osoby wskazywały, że tym, co je napędza, jest codzienny kontakt z przyjaciółmi.

– Warto wspomnieć tu o istnieniu czegoś, co nazywa się *moais*. Są to nieformalne grupy seniorów liczące około dwudziestu osób, spotykające się każdego popołudnia lub wieczoru. Nie można tego mylić z klubem osiedlowym czy tradycyjnie rozumianym klubem seniora. Są to grupy, które prędkiej można porównać do działania klanu. W ich przypadku szczególnie ważny jest pewien duch spółdzielczy polegający na tym, że seniorzy należący do takich grup wnoszą comiesięczne składki o równowartości mniej więcej 30 euro. Jest to zrzutka do wspólnej kasy, która należy do całej tej społeczności. Z funduszu korzysta się w zależności od bieżących potrzeb – można te pieniądze przeznaczyć na remont dachu lub opłacić nimi leczenie jednego z członków grupy, gdy np. jego polisa ubezpieczeniowa nie obejmuje zakupu protezy tytanowej. Członkowie grupy mają dzięki temu poczucie, że nie są sami. Nawet jeżeli dany członek nie ma już rodziny, nie czuje się samotny, ponieważ dzięki wspólnotce ma się do kogo zwrócić z prośbą o wsparcie, co jest niezwykle istotne. Badania pokazują, że tym, co przyspiesza śmierć osób starszych w znacznie większym stopniu niż palenie czy niezdrowe jedzenie, jest właśnie samotność. A tutaj jest na nią remedium.

Japońska kultura i filozofia od lat ma wielu miłośników. Należał do nich m.in. Steve Jobs. Niewiele brakowało, by założyciel Apple nigdy nie zajął się technologią i został mnichem.

– Tak, to prawda. Niewiele brakowało, by Jobs podjął taką decyzję. A to dlatego, że w jego życiu obecny był mistrz duchowy pochodzący z Japonii. Ten człowiek dał Jobsowi znacznie więcej niż jakakolwiek szkoła biznesu. Co ciekawe, to on natchnął go do stworzenia firmy Apple.

Co zatem uwiodło Jobsa w japońskiej filozofii?

– Po pierwsze – zamiłowanie do japońskiej estetyki. Steve Jobs, co znakomicie widać po produktach Apple'a, był wielkim miłośnikiem czystego, prostego wzornictwa, a obok skandynawskiego, to właśnie to, co japońskie, jest najprostsze i najlepiej oddaje pogląd, że mniej to więcej. Przykładem tego zamiłowania są nie tylko same produkty firmy, ale nawet to, jak Jobs się przez znaczną część życia ubierał. Jego słynne charakterystyczne czarne golfy zaprojektował Issey Miyake, którego Jobs znał osobiście. Doszło do tego, że Jobs nie chciał nosić nic innego.

– Kolejny składnik to umiłowanie perfekcji, pewna obsesja na punkcie doskonalenia, którą Jobs przejął od Japończyków. Słynął z tego, że potrafił nawet wstrzymać pracę nad produktem, który był już zapowiedziany. Pisały o nim największe media, na pokazy byli już zaproszeni dziennikarze, a Jobs potrafił przełożyć jego premierę o rok lub dwa, bo zauważył na bardzo zaawansowanym etapie produkcji, że jednak można coś ulepszyć. Taką postawę w Japonii nazywa się kaizen, co oznacza nieustanne doskonalenie. Jest to również filozofia, która przyświeca np. zakładom samochodowym Toyoty. W myśl tej filozofii każdego dnia możemy wprowadzić jedną rzecz, która udoskonali jakość naszych działań.

Podobno praktyka zen miała ogromny wpływ nie tylko na duchowość założyciela Apple, ale także na wizerunek jego i tworzonych przez niego produktów.

– To prawda, ale warto się temu przyjrzeć w szerszym kontekście tego, skąd był i gdzie działał Steve Jobs. Kalifornia to miejsce, od którego zaczęła się popula-

ryzacja buddyzmu na terenie Stanów Zjednoczonych. Japoński myśliciel Daisetz Teitaro Suzuki był pionierem buddyzmu zen na terenie USA, potem szerzeniem buddyzmu zajął się Amerykanin Alan Watts. Natomiast pamiętajmy tu o pewnych okolicznościach historycznych: w całej Dolinie Krzemowej, w okolicach Uniwersytetu Palo Alto jest bardzo obecne na poziomie drugiego pokolenia dziedzictwo hipisów i inspiracji Wschodem. Steve Jobs, Bill Gates czy Mark Zuckerberg – różne postaci o interesujących biografiach i filozofiach – to dzieci hipisów. To nie jest przypadek, to wynik pewnego całościowego kontekstu dla Kalifornii, czyli miejsca, gdzie buddyzm rozpoczął swoją karierę na terenie Stanów.

– Dowodem na to jest chociażby to, że na produktach marek takich jak Apple nie znajdziemy napisu „Made in USA” („Wyprodukowano w Stanach Zjednoczonych”). Wspomniani twórcy to osoby, którym przyświeca jeszcze pewien idealizm, które nie podzielają tego, co nazywamy powszechnie wartościami amerykańskimi. Odrzucają wizję Ameryki imperialnej – zamiast „Made in USA” mamy komunikat „Designed in California”, czyli „Zaprojektowano w Kalifornii”.

14 listopada miała miejsce polska premiera książki będącej unikalnym połączeniem powieści i poradnika, której tytuł brzmi: „Najlepsze miejsce na świecie jest właśnie tutaj”. Możemy w niej przeczytać: „Według naukowców codziennie mamy sześćdziesiąt tysięcy myśli. Pozytywnych i negatywnych, banalnych i głębokich. Nie powinno się ich oceniać: są niczym chmury, które przepływają po niebie. Jesteśmy odpowiedzialni za to, co robimy, lecz nie za to, co przychodzi nam do głowy”. A co z tak popularnym obecnie podejściem, że to my odpowiadamy za własne myśli, nurtem pozytywnego myślenia, który każdą negatywną myśl każe odsuwać. Ikigai stoi w opozycji do współczesnych mentalnych coachów?

– Ci, którzy próbują nas uczyć, że należy odrzucać negatywne myśli, nie mają pojęcia o medytacji i mindfulness. W rzeczywistości im bardziej próbujemy coś od siebie odepchnąć, tym mocniej się to w nas utrwala. Nie jest oczywiście do końca ustalone, ile tych myśli dziennie mamy, ale wiadomo, że mówimy tu o dzie-

siątkach tysięcy i większość z nich jest albo negatywna, albo powtarzalna – są to myśli powracające. Kiedy gdzieś siedzimy, kiedy idziemy ulicą, pojawiają się kolejne myśli. Często popełniany błąd polega na tym, że natychmiast klasyfikujemy te myśli jako dobre albo złe, przyklejamy im jakąś etykietkę. Często są to myśli: „Zabiłbym ojca” albo „Poszedłbym do łóżka z tą czy z tamtym”. Nie należy ich od razu oceniać. Powinniśmy powiedzieć: „Dobrze, to jest po prostu myśl” i dać jej odpłynąć jak chmurze po niebie, bez szufladkowania jej w jakikolwiek sposób.

– Jest oczywiście możliwe myślenie o niczym – to osobny temat, o którym długo można by dyskutować. Gdy jesteśmy w toku myślenia o różnych rzeczach, nie możemy dać się sparaliżować klasyfikowaniu kolejnych myśli. Należy pozwolić im przepływać tak, żeby to, co przeszłe nie ograniczało nas w żaden sposób i nie zaburzało naszej koncentracji na celu, na którym chcemy się skupić. Przykładowo kiedy jesteśmy zajęci jakąś pracą, starajmy się skupiać wyłącznie na niej. Uwolnijmy się od przykrych zdarzeń z poprzedniego dnia.

Jak zaakceptować w sobie negatywne myśli? Czy da się je polubić? Jak się z nimi obchodzić?

– Lepszym podejściem niż próba polubienia swoich złych myśli jest podejście oparte na pewnej neutralności. Warto wspomnieć tu o japońskim koncepcie wabi-sabi, który funkcjonuje obok umiłowania perfekcji i ciągłego doskonalenia. Kultura japońska zakłada ciągłe doskonalenie, ale z drugiej strony w jej ramach jak najbardziej istnieje przyzwolenie na bycie niedoskonałym. To jest koncept, który odwołuje się do tego, co Japończycy nazywają pięknem niedoskonałości. Nie musimy być idealni ani wobec innych, ani wobec siebie. Mamy prawo do niedoskonałości. Ważne jest, żeby w tej niedoskonałości umieć wyłowić z siebie to, co najlepsze.

– Jest taki kanadyjski psycholog kliniczny, Jordan Peterson, obecnie bardzo popularny. Peterson sporządził listę zasad, którymi warto się kierować w życiu. Punkt czwarty mówi: „Nie porównuj się z tym, kim jesteś dziś; porównaj się z tym,

kim byłeś wczoraj". To świetnie wpisuje się w to, co przed chwilą powiedziałem o wabi-sabi. PozwólmY sobie być niedoskonałymi, ale starajmy się w tej niedoskonałości robić kolejne kroki naprzód.

„Bądź wdzięczny za wszystko, czego doświadczasz” – to chyba najtrudniejsza z zasad ikigai. Dlaczego to takie ważne?

– To propozycja postawy życiowej stojącej w opozycji do bardzo częstej postawy opartej na narzekaniu. Ludzie narzekają na to, co mają, na to, co było, a nawet na to, co być może. Jeżeli cieszą się dobrym zdrowiem, już zarażają siebie myślą, że lada chwila je stracą. Jeżeli są w udanym związku, to przeczuwają, że za moment on się rozpadnie. A jeśli są singlami, narzekają, bo chcieliby być w związku. To postawa, gdzie awansem lub wstecznie cały czas jesteśmy niezadowoleni i narzekamy.

– W myśl ikigai proponuję coś przeciwnego, czego jednak nie należy rozumieć jako wdzięczność za otrzymane zło. To raczej docenienie możliwości uczenia się na trudnych sytuacjach. Cieszymy się z tego, co jest dobre, ale i z tego, co jest trudne, staramy się wyciągnąć dla siebie wszystko, co najlepsze. Dzięki temu nasze życie jest pełniejsze. Można to dobrze zilustrować cytatem z Zygmunta Freuda: „Jestem wdzięczny życiu, ponieważ nic nie przyszło mi łatwo”.

Czyli co cię nie zabije, to cię wzmocni.

– Tak, jak najbardziej. Kolejnym myślicielem, który wypowiadał się w podobnym tonie co Freud, był Fryderyk Nietzsche: „Chwile przyjemne rozgrzewają naszą duszę, momenty trudne pozwalają nam czerpać naukę”. Jedni w świetle niepowodzeń wycofują się, zwalając wszystko na pecha; inni zaś potrafią to, co złe obrócić na własną korzyść. Niepowodzenie nie tylko czegoś ich uczy, ale i działa motywująco. Weźmy chociażby słynny przykład Edisona – gdyby przyjął postawę łatwego zrażania się, nie mielibyśmy żarówki. Wypróbował bodaj ze sto spalających się żarników, zanim w końcu znalazł taki, który okazał się sprawny.

Główna bohaterka książki „Najlepsze miejsce na świecie jest właśnie tutaj”, trzydziestoletnia Iris znajdująca się w mrocznym i trudnym momencie swojego życia, dostaje od swojego duchowego przewodnika niecodzienną radę. Ma napisać haiku. Jak ta krótka forma poezji może nam pomóc uporać się z niełatwą codziennością?

– O konkretnym zastosowaniu haiku powiem za chwilę, najpierw chciałbym powiedzieć nieco ogólniej o obecności sztuki w każdym procesie terapeutycznym. Myślę, że to bardzo istotne. Kiedy żyjemy owładnięci smutkiem, żalem, jest nam źle, pojawia się pewne błędne koło – ból zaczyna przypominać rzeczy przewalające się w bębnie pralki: raz, drugi, piąty powracają do nas te same myśli. Sztuka umożliwia zrzucenie z siebie części lub całości tego złego ładunku. Możemy wyrzucić go z siebie na papier czy płótno lub wybić go na klawiszach instrumentu. Chodzi zatem o to, by zdjąć z siebie przynajmniej część ciężaru, który nas przytłacza.

– Pośród znanych form poezji haiku jest tą najbardziej zwięzłą. Haiku wymaga dużej umiejętności syntezy. Pierwsi mistrzowie haiku – żyjący przed czterystu laty – próbowali za pomocą tej krótkiej formy poetyckiej uchwycić ulotną rzeczywistość, robiąc jej „zdjęcie”. Oczywiście w tamtych czasach nie było aparatów fotograficznych, więc te próby literackie były staraniem uchwycenia fragmentu rzeczywistości, który mamy przed oczami, ale jednocześnie oddania emocji obserwatora. Dziś może w mniejszym stopniu haiku poświęca się próbom uchwycenia piękna przyrody; częściej jest to ćwiczenie uchwycenia pełnego stanu wewnętrznego nas samych, natomiast powtórzę, że najważniejsza jest konieczność dokonania syntezy. Spośród dziesiątek tysięcy myśli, które przelatują przez naszą głowę, musimy wybrać wąski wycinek i dobrać dwadzieścia czy trzydzieści słów, które pozwolą nam wycisnąć z tych tysięcy myśli syntetyczny opis fragmentu.

– To jest umiejętność, która zmierza do tego, o czym już wcześniej wspominałem. Chodzi o koncentrowanie się na tym, na czym najbardziej nam zależy, skupianie się na celu, do którego dążymy. Negatywne myśli nie mogą nas rozpraszać i odciągać od tego, co dla nas najważniejsze.

Na koniec jeszcze raz chciałabym powrócić do filozofii ikigai i zapytać, z którą z zasad ikigai mamy obecnie największy problem. Którą z nich jest nam najtrudniej zaakceptować i wprowadzić w życie?

– Myślę, że zasadą, którą najtrudniej wdrożyć w życie, jest pełnia uwagi. Mimo że koncepcja mindfulness pozwoliła nagłośnić ten problem w świecie zachodnim, to nadal współczesny człowiek nie radzi sobie z wielozadaniowością. Robimy mnóstwo rzeczy naraz, a żadną dobrze. Idziemy ulicami i potrącamy się z ludźmi, którzy piszą wiadomości na telefonach. Co więcej, spotykamy się z przyjaciółmi, ale w rzeczywistości każde z nas siedzi z nosem w telefonie, przeglądając portale społecznościowe czy co chwilę sprawdzając skrzynkę odbiorczą. Ten multitasking zabija głębię życia i codziennych czynności. To właśnie dlatego podczas prowadzonych przeze mnie kursów pisarskich mówię słuchaczom: „Jeśli chcesz napisać powieść, musisz zrezygnować z Facebooka”. Siedząc bez przerwy na portalach społecznościowych, nie napiszemy niczego dobrego.



Zostałam uratowana. Miałam 29 transfuzji krwi i preparatów krwiotwórczych – mówi Monika Michalik

| Radosław Kaźmierczak

Monika Michalik: Swojego długu sama nie spłaceę

Agnieszka Łopatowska

– Zostałam uratowana. Miałam 29 transfuzji krwi i składników krwiotwórczych. Jeśli dzięki mojej historii czy dzięki mojej książce, ktoś zarejestruje się jako potencjalny dawca szpiku albo odda krew, potraktuję to jako częściową spłatę mojego długu. Bo ja go spłacić sama nie mogę – mówi Monika Michalik, autorka książki „Bądź moim marzeniem”, debiutu literackiego będącego wynikiem wygranej w konkursie wydawnictwa Znak.

AGNIESZKA ŁOPATOWSKA, STYL.PL: – Dokładnie rok temu spotkałyśmy się na warsztatach literackich, prowadzonych przez redaktorkę wydawnictwa Znak Dorotę Gruszkę i pisarkę Magdalenę Kordel, które były nagrodą w konkursie na ulubioną pisarkę Polek. Co wyniosłaś z tych warsztatów?

MONIKA MICHALIK: – Przede wszystkim świetne znajomości i przyjaźnie, które trwają do dziś. Ale też nabrałam pewności siebie, odwagi by spróbować urzeczywistnić to, co już praktycznie miałam. Bo książka „Bądź moim marzeniem” była już wtedy gotowa. Czytałam ją kilka razy, za każdym razem coś poprawiałam, udoskonalałam, ale brakowało mi odwagi, żeby puścić ją dalej. Może bałam się krytyki, odrzucenia? Tam zostałam zachęcona, żeby jednak spróbować. Spróbowałam, no i jest!

Wróciłaś z warsztatów, posłałaś ją do wydawnictwa i co dalej?

– Czekałam na odpowiedź dwa – trzy tygodnie. Bardzo się spodobała, co mnie zaskoczyło. Przez cały ten rok emocje związane z jej wydaniem narastają we mnie. Na początku byłam ciekawa, jak zostanie przyjęta przez wydawnictwo, jak będą wyglądały wszystkie etapy, o których na warsztatach opowiadały Dorota i Magda. Dzięki nim wiedziałam, co mnie czeka. Bałam się, że po redakcji będą jakieś ogromne zmiany, że trzeba będzie zmienić zakończenie na bardziej dramatyczne. Na szczęście nikt tego nie zaproponował. Na książkę czekałam z utęsknieniem.

– Kiedy ją wreszcie wczoraj dostałam do ręki, napawałam się dotykiem okładki i poczułam, że marzenia rzeczywiście mogą się spełnić. Dało mi poczucie, że wszystko, co przesłałam, miało się wydarzyć. To miało jakiś cel. Bo książkę zawsze chciałam napisać, ale wydawało mi się, że nie potrafię. Pisałam drobniejsze utwory: wiersze, opowiadania, ale książka wydawała mi się rzeczą zbyt ogromną. Kiedy zaczęłam ją pisać, nie wiedziałam, że wyjdzie z niej powieść. To miała być typowa autoterapia, sposób na upuszczenie pewnych emocji, na poradzenie samej sobie.

Ile lat minęło od czasu, kiedy usłyszałaś diagnozę?

– Wczoraj minęły trzy lata odkąd pierwszy raz trafiłam do szpitala. Tej choroby nie wykazują badania profilaktyczne. Daje takie objawy, że na początku nikt nie zdaje sobie sprawy, jakie mogą mieć podłoże. Człowiek jest zmęczony, osłabiony i ma wytłumaczenie, że za ciężko pracuje, ma za dużo stresu. Dopiero kiedy siły opadają ci niepokojąco, zaczynasz się badać.

– Jeszcze nie wiedziałam, co to oznacza, zrobiłam tylko rutynowe badania. Poszłam do pracy, potem miałam wrócić do domu. Wróciłam do niego dopiero po dwóch miesiącach. Od razu wylądowałam w szpitalu i to w izolatce. Miałam niecałe dwa litry krwi w organizmie, więc od razu przeszłam transfuzję. Na początku lekarze nie wiedzieli, co mi jest. Badali mnie pod kątem różnych chorób. Chociaż z perspektywy czasu myślę, że od samego początku podejrzewali, tylko szukali potwierdzenia. Po dwóch czy trzech tygodniach, kiedy trafiłam na oddział hematologii, zajęli się mną fachowcy pod kątem TEJ choroby. Teraz już potrafię powiedzieć, że jest to białaczka, choć jest mi trudno. Jeszcze do niedawna mówiłam „ta choroba”, „moja choroba”, „choroba na b”. Zresztą moi najbliżsi też.

– Zaczęłam prowadzić bloga, zatytułowałam go „Mam to we krwi”. Istniał krótko, bo nie potrafiłam go pisać. Żadne słowa nie oddawały tego, co chciałam przekazać. Dlatego stworzyłam fikcyjną postać i kiedy „sprzedałam” jej chorobę, łatwiej zeszły ze mnie emocje.

I tak powstała Natalia?

– Tak. Korfu w mojej książce też jest nieprzypadkowe. Rok wcześniej byliśmy tam na wakacjach. Pierwszych zagranicznych. Mój mąż pojechał ze mną i córką po wielkich oporach, bo boi się latać. Tak nam się tam podobało! Ta wyspa nas zauroczyła... Bardzo chcieliśmy tam wrócić. Emilka w ostatnim dniu urlopu, podczas spaceru, powiedziała: „Mamo, proszę cię, zrób wszystko, żebyśmy za rok mogli tutaj wrócić”. Obiecałam jej to. Nawet nie brałam pod uwagę, że cokolwiek może nam stanąć na przeszkodzie. Bo co by mogło? Jedynie brak pieniędzy, ale to kwestia do rozwiązania, mieliśmy na to cały rok.

– Jesienią zarezerwowałam wyjazd w biurze podróży. Czekaliśmy na te wakacje. Wiosną przez internet zamawiałam stroje kąpielowe, letnie sukienki. Emilka się cieszyła, ja się cieszyłam. I nagle, miesiąc przed wylotem, wylądowałam w szpitalu i wyjazd stanął pod znakiem zapytania. Najgorsze było to, jak powiedzieć Emilce. Do domu przychodziły paczki z letnimi ubraniami, a ja leżałam na oddziale. Miały być wakacje życia, no i były. Tylko nie w tym sensie. W czasie, kiedy miałam być na plaży, leżeć sobie pod parasolem, patrzeć na wyspę z morza, leżałam na łóżku. W szpitalnej izolatce, nade mną wisały kroplówki, byłam bez sił, a pielęgniarki nie miały już mi się gdzie wkuwać z wenflonami. No, wakacje życia...

Jak sobie z tym radziłaś?

– Totalnie zamknęłam się w sobie. Przez kilka dni dostawałam środki uspokajające, nie potrafiłam z nikim rozmawiać. Przyszli do mnie pani psycholog, co było zupełnie niepotrzebne. Więcej mi pomogły pielęgniarki, które są najbliżej pacjenta, najwięcej widzą, i lekarze prowadzący. W czym mogła mi pomóc pani psycholog? Przecież nie postawi się w mojej sytuacji.

– Już wtedy wiedziałam, że będę chciała o tym pisać, bo nie mogłam o tym mówić. Poprosiłam Emilkę i męża, żeby przywieźli mi duży zeszyt. Wybrali bardzo symboliczny – na okładce, na niebieskim tle, jest palec wskazujący. Wpisałam na pierwszej stronie, że ktoś wskazał mnie palcem do tego, co właśnie przeżywam. Tylko po co? Trzymam ten zeszyt. Jest gruby, ma 200 stron. A zapisane może dwie, trzy. Więcej nie potrafiłam. Później zaczęłam opadać z sił, miałam bardzo wysokie gorączki i do pisania w zeszycie już nie wróciłam.

Odcinając się od rodziny raczej jej się nie chroni, prawda?

– Nie. Ale dla mnie bardzo trudne było odebranie telefonu od mamy tuż po tym, jak usłyszałam diagnozę – 13 czerwca w sali numer 13. Od tej pory, zupełnie przeciwnie, 13 jest moją szczęśliwą liczbą. Kiedy w końcu odebrałam, powiedziałam jej, że to mniej agresywny podtyp tej choroby, który można nawet całkowicie wyleczyć. Starłam się jej to jak najłagodniej powiedzieć, żeby się nie martwiła.

Przeszłaś chemioterapię?

– Od razu po rozpoznaniu. Ta choroba bardzo szybko postępuje. Lekarze powiedzieli, że wykryto ją u mnie bardzo szybko. O ile ten podtyp białaczki – promielocytowa, można skutecznie leczyć, o tyle często pacjent może nie zdążyć podjąć terapii, bo często dochodzi do krwotoków wewnętrznych i jest już za późno. Mnie się udało i od razu trafiłam na hematologię.

– Pierwsza chemioterapia była najsilniejsza. Ona mnie złamała. Totalnie rozłożyła psychicznie. Noszę bransoletkę, którą dostałam kiedyś od mamy na urodziny i ona mi ją związała. Nigdy jej nie zdejmowałam. W szpitalu któregoś dnia pielęgniarka, która szukała miejsca do wkłucia, odpięła mi ją. To było bardzo trudne, a to był tylko początek. Czułam się stopniowo odzierana z kobiecości. Leżałam, coraz mniej byłam w stanie sama zrobić. Potem włosy zaczęły mi wypadać i kiedy spadały mi one na ramiona, czułam że cała moja kobiecość, całe człowieczeństwo ze mnie spada. Nie wiedziałam, co będzie dalej.

A teraz masz piękne, długie włosy!

– Tak się nimi cieszę! I falują mi się. Nigdy mi się nie kręciły, ale zawsze o takich marzyłam. Już doszłam do wniosku, że moje marzenia bardzo często się spełniają, niestety czasami w nieoczekiwany sposób. Chciałam mieć kręcone włosy – mam. Chciałam wydać książkę – wydałam.

Nie umiemy rozmawiać o chorobach, o śmierci, o rzeczach bardzo trudnych, ale przecież ludzkich, które mogą dotknąć każdego z nas. Utkwiło mi w pamięci, jak mówiłaś na warsztatach, że wszystkie spisane historie ludzi chorych na raka się urywają. I nie wiadomo, czy ktoś umarł, czy wyzdrowiał.

– Kiedy szukałam jakiegoś pocieszenia w książkach, nie znajdowałam go. Zaczęłam szukać blogów, jest ich w sieci dużo. Ktoś opisuje, jakie miał odczucia podczas choroby. Myślałam: „Dobra, mam tak samo”. A tu nagle koniec, nie ma nic więcej. Być może po prostu wyzdrowiał, nie ma potrzeby do tego wracać, zamknął przeszłość. A może nie.

Opowiadając jak wygląda walka z nowotworami, wyjaśniasz też ludziom jak ważne jest krwiodawstwo i bycie zarejestrowanym jako potencjalny dawca szpiku kostnego. Miałaś 29 transfuzji – takie liczby pokazują, jak ważne są zasoby banków krwi.

– W bazie dawców szpiku zarejestrowałam się niecały rok wcześniej. Niedaleko nas odbywała się akcja, zgłosiłam się, bo czemu nie? Nie myślałam o tym, że ktoś może na to czekać. A kiedy usłyszałam diagnozę, nie wiedziałam, jak się to dalej potoczy. Przeraziło mnie, że dopiero co się zarejestrowałam, a teraz być może tego szpiku będę potrzebować. Nawet nie zdążyłam nikomu pomóc, a będę musiała sama prosić o pomoc. A co, jeśli mój genetyczny bliźniak się nie znajdzie? Wtedy do mnie dotarło, że jest tylu ludzi, którzy mogą się zarejestrować, a tego nie robią – ze strachu, albo z nieświadomości. Poprzez moją książkę chciałabym przekazać, żeby chorzy nie tracili nadziei, a zdrowi sobie uświadomili, jak bardzo to jest ważne. Dla mnie na szczęście szpik nie był potrzebny, miałam taki podtyp białaczki, że przeszczep nie był konieczny. Ale bardzo dużą rolę dla mnie odegrali krwiodawcy. Gdyby nie oni...

– Mam bardzo popularną grupę krwi B+, ale któregoś dnia okazało się, że w banku jej nie ma. Podali mi uniwersalną 0, która powinna pasować każdemu. Jednak dostałam po niej wysypkę, co mogło oznaczać, że jej składniki nie będą tak skuteczne. Co by było, gdyby mojej krwi zabrakło w tym najważniejszym momencie, kiedy mój szpik został wyzerowany? Wtedy krew była mi bardzo potrzebna.

Ile przetacza się krwi podczas jednej transfuzji?

– 450 mililitrów.

Czyli tyle, ile oddaje jedna osoba?

– Niedokładnie, bo ta krew jest jeszcze specjalnie preparowana, rozdzielane jest osocze, płytki i skoncentrowane czerwone krwinki...

– Zostałam uratowana. Miałam 29 transfuzji krwi i preparatów krwiotwórczych (płytki, osocze). I jeśli dzięki mojej historii czy dzięki mojej książce, ktoś zarejestruje

się jako potencjalny dawca szpiku albo odda krew, potraktuję to jako częściową spłatę mojego długu. Bo ja go spłacić sama nie mogę.

Jak wyglądały pierwsze dni po twoim wyjściu ze szpitala?

– Pamiętaj, że wcześniej przez dwa miesiące byłam w izolatce. Z jednej strony dobrze, bo bardziej komfortowo i nie widziałam, jak inni cierpią. Ale z drugiej byłam sama ze swoimi myślami. W tym najtrudniejszym okresie, kiedy została mi podana pierwsza chemia, miałam zakaz wszelkich odwiedzin. Emilka, która miała wtedy 12 lat, nie mogła w ogóle wchodzić na oddział. Nie widziałam jej ponad dwa miesiące. Po pewnym czasie marzyłam, żeby zobaczyć twarz człowieka. Wszyscy przychodzili w maskach, ubrani w zielone kitle. Później, kiedy mogli mnie odwiedzać bliscy, też chodzili w maseczkach. Tak bardzo się wtedy tęskni za zwykłymi rzeczami...

– Wyszłam z zaleceniem, żeby na siebie tak uważać, że nie mogłam nawet okna w samochodzie otworzyć. Ale podróż do domu była taka wspaniała! Nigdy nie byłam tak długo tak daleko od domu. Marzyło mi się moje łóżko, moja wanna. Tak, to było pierwsze: wykąpałam się!

– Bardzo zmieniło mi się postrzeganie rzeczywistości. Kiedyś przejmowałam się jakimiś głupstwami, drobnostkami. A teraz, kiedy pada deszcz, myślę: dobra, niech pada. Wszyscy narzekają, że wiosna brzydka – trudno, zdarza się. Nie przejmuję się tym, na co nie mam wpływu. Podziwiam świat.

Twoim mottem jest: „Człowiek ma dwa życia. To drugie zaczyna się wtedy, gdy zrozumie, że życie jest tylko jedno”.

– Chyba tego właśnie doświadczyłam. Od czasu choroby towarzyszy mi symbol nieskończoności, bo zatoczyłam pętlę. Miało się coś zakończyć, a się nie zakończyło, tylko zaczęło nowe. Teraz już jest fajnie. Moim najprawdziwszym mottem jest to, że wszystko dzieje się po coś. Nawet jeśli jesteś w podbramkowej sytuacji. Kiedy natrafiam na jakąś trudność, zadaję sobie pytanie dlaczego tak miało być. Może po to, żeby otworzyły się inne drzwi, inne okno. Bardziej oczy...

To jak wygląda teraz twoja lista marzeń?

– No właśnie... Muszę pomyśleć nad nowym marzeniem. Chociaż, znając cenę poprzednich, trochę się boję, to jednak chcę marzyć i spełniać te marzenia!



Kot wszystko umie, więc nie wiem, po co miałby się czegoś uczyć – mówi Dorota Sumińska

| Jarosław Antoniak MWMEDIA

Jak stać się opiekunem szczęśliwego kota?

Magdalena Tyrała

Co zrobić, by nasz koci przyjaciel obdarzył nas wielką miłością? Kogo kot z pewnością nie polubi? I co zrobić, by kocie życie było szczęśliwe? Na te i wiele innych pytań w rozmowie z Magdaleną Tyrałą odpowiada lekarz weterynarii, Dorota Sumińska.

MAGDALENA TYRAŁA: Po co człowiekowi kot?

DOROTA SUMIŃSKA, WETERYNARKA, PUBLICYSTKA, AUTORKA LICZNYCH KSIĄ-

ŻEK: – Ja bym zadała zupełnie inne pytanie: «po co kotu człowiek?». Ale taka już jest nasza ludzka natura, że my musimy mieć z relacji ze zwierzęciem jakąś konkretną korzyść, np. kot powinien dobrze wpływać na nasze zdrowie. Ja uważam, że człowiekowi kot jest po nic. Mieści się w tym «nic» niewolnik «do kochania».

– Żbik został udomowiony i przez to cała masa kotów ginie powieszona na drucie, umiera z głodu w piwnicach, w których zabito okienka. Więc nie wiem, po co człowiekowi kot. Zapewne po to, by miał kolejnego niewolnika, którego, czasem nawet bardzo kochając, zamknie samotnie w mieszkaniu na wiele godzin, kiedy będzie w pracy i nawet nie weźmie dla niego drugiego kota, żeby ten miał towarzystwo. Człowiek bardzo lubi niewolić, lubi mieć kogoś na własność. Bardzo często robimy to samo z dziećmi, współmałżonkami, więc zrobiliśmy to też ze zwierzętami.

Zaskakująca odpowiedź, ale absolutnie się z tym zgadzam.

– Zapewne wołałaby pani usłyszeć, że obcowanie z miłym i ciepłym futrzakiem korzystnie wpływa na nasze zdrowie, obniża ciśnienie, odczarowuje samotność – ale mnie takie podejście szczerze mierzi. Bo kontakt z każdą żywą i życzliwą, ale też wolną, istotą jest wielką przyjemnością, działa na nas i nasze zdrowie pozytywnie.

– Często nazywamy nasze zwierzęta „przyjaciółmi” i to jest prawdą, ale my ludzie bardzo często z tej przyjaźni się zwyczajnie nie wywiązujemy, bo odbieramy im wszystko. Decyzje o narodzinach, o śmierci. Decydujemy o każdej sekundzie ich życia i jeszcze chcemy coś z tego mieć. To takie... ludzkie. Gdybyśmy byli bardziej zsocjalizowani z własnym gatunkiem i utrzymywali serdeczne więzi w jego obrębie, byłoby dokładnie tak samo. Niestety, to nam się nie udaje, musimy kogoś zawłaszczyć, żeby był taki, jak my chcemy i zachowywał się dokładnie w taki sposób, jak sobie tego życzymy. Jesteśmy społecznie do bani.

– Ludzie zgromadzili się w wielkich blokowiskach, w których mieszka po kilkadziesiąt tysięcy ludzi. A to jest absolutnie nienaturalne, bo człowiek nie jest mrów-

ką. Ludzie tam mieszkający powinni stworzyć coś na kształt wielkiej wioski, mieć satysfakcjonujące kontakty w obrębie własnego gatunku, być sobie wzajemnie życzliwymi. A tymczasem oni wcale się nie znają, każdy instaluje sobie dobre zamki, żeby nie być okradzionym, a za tymi zamkniętymi drzwiami siedzą samotne i bardzo nieszczęśliwe zwierzęta.

– Ile czasu kot zamknięty w mieszkaniu może je poznawać? Z tej okropnej nudy zaczyna jeść i tyć. Całe jego życie sprowadza się do tego, że czeka na moment w ciągu dnia, aż w tym drogim zamku do drzwi usłyszy klucz. I co? Przychodzi jego człowiek, który akurat może mieć zły humor tego dnia i nawet się z kotem nie przywita. Poza tym nie jest kotem, więc nie będzie mógł bawić się i rozmawiać po kociemu. My deklarujemy miłość do innych gatunków i do przyrody, jednak konsekwencją tej deklaracji jest wyłącznie zniewolenie.

Czy, jeśli ktoś mieszka z kotem za miastem, to powinien bezwzględnie pozwolić mu wychodzić?

– A jeździ pani samochodem?

Tak.

– A ma pani świadomość tego, że codziennie są setki, jak nie tysiące wypadków samochodowych?

Tak, mam tę świadomość.

– I mimo to wsiada pani do samochodu?

Tak.

– To codziennie podejmuje pani wielkie ryzyko, tak samo, jak wychodzący kot. Jeśli tylko istnieje taka możliwość, kot zawsze powinien być wychodzący. Jest to obarczone pewnym ryzykiem, ale skoro już udomowiliśmy i zniewoliliśmy te zwierzęta, to jesteśmy za nie odpowiedzialni. Bo one już bez nas nie mogą żyć, są od nas uzależnione. Musimy zatem im stworzyć takie warunki, które choć w małym stopniu

dadzą im pozory wolności. Jeśli ktoś ma ogród i w miarę bezpieczną okolicę, to dla kota to jest wspaniałe życie.

– Wszystkie moje koty są wychodzące. Kiedyś mieszkałam w mieście, w mrówkowcu na 45 metrach kwadratowych. Miałam wtedy pięć psów i pięć kotów. Kiedy lata temu przeprowadziłam się na wieś, moje zwierzęta oszalały ze szczęścia i dopiero wtedy zaczęło się dla nich normalne życie. Obecnie nie wyobrażam sobie, by moje koty nie wychodziły na zewnątrz. One wychodzą kiedy chcą i wracają kiedy chcą – to jest ich wolność. Jednego, czego je nauczyłam to, by zawsze wracały na noc. Zawsze czeka na nie dobre jedzenie i kochający dom. To jest dla nich, myślę, fajne życie. Mam ich naprawdę dużo, więc mają też swoją kocią społeczność. Koty, choć nie są zwierzętami stricte społecznymi, to nie są też aspołeczne i potrzebują przedstawicieli swojego gatunku.

A co, jeżeli mieszkamy w mieście i mamy kota w mieszkaniu? Może spacerować?

– Absolutnie. Kot to nie pies. Jest wiele powodów, dla których nie powinno się tak robić, jednak takim, który najbardziej przemówi do człowieka to to, że kot w takiej sytuacji może zdjąć skalp z jego twarzy.

Słucham?

– Co robi kot, gdy jest na smyczy i się czegoś przestraszy? Wskakuje na pierwsze drzewo. Pierwszym „drzewem” najczęściej jest człowiek, który trzyma go na smyczy. Lepiej nie wyobrażać sobie tego, co kot może zrobić swoimi pazurami w panice.

– Poza tym kot jest zwierzęciem terytorialnym, nie jest wędrowcem, takim jak pies, dla którego tam dom, gdzie jego ludzki przyjaciel. Kot zabrany ze swojego terytorium przeżywa katusze, jeśli to nie jest jego wybór, więc taki spacer nie jest dla niego żadną przyjemnością. Coraz częściej w mieście buduje się mieszkania z małymi ogródkami. Jeśli niedaleko jest niebezpiecznie, można taki ogródek osiatkować albo zbudować małą wolierę. Jeżeli ktoś ma balkon, to również moż-

na go osiatkować. To jest uatrakcyjnienie życia dla kota. Sprawą najważniejszą dla kogoś ktoś mieszka w bloku jest posiadanie drugiego kota. Muszą być minimum dwa.

Kto kota mieć z pewnością nie powinien, mimo, że chce?

- Ten, kto przed samym sobą nie umie sobie odpowiedzieć, dlaczego chce mieć kota, co nim kieruje. Jest to bardzo ważne pytanie. Jeśli ktoś chce mieć kota, bo potrzebuje spełnić jakieś swoje potrzeby to lepiej, by kupił pluszaka, albo się z kimś w końcu zaprzyjaźnił. Dobra motywacja jest wtedy, jeśli osoba chce dać potrzebującemu zwierzęciu dom, miłość, zadbać o niego, starać się stworzyć mu takie warunki, w których będzie się jak najlepiej czuł. Wszyscy ci, którzy traktują zwierzę przedmiotowo, nie powinni mieć zwierząt.

Czego można kota nauczyć?

- Kot wszystko umie, więc nie wiem, po co miałby się czegoś uczyć. Kot umie być kotem, tylko trzeba mu na to pozwolić. Czy pies nie umie siadać, że trzeba go tego uczyć? To przecież nie cyrk.

Ale są umiejętności, które pomagają nam współżyć razem. Ja miałam potrzebę, by nauczyć swoje wychodzące koty przychodzenia na zawołanie, by wracały na noc. Szczęśliwie się udało.

- Oczywiście, kota można nauczyć pożytecznych rzeczy, które mu się przydadzą. Tylko one mają służyć nie naszej rozrywce, ale dobru tej istoty, którą uczymy konkretnej umiejętności.

Uczymy ich przecież chociażby korzystania z kuwety, żeby nie wchodziły na stoły.

- Koty doskonale wiedzą, jak korzystać z kuwety. Sądzę, że gdybyśmy pozwolili naszym zwierzętom być sobą, kotu być kotem, psu psem, to naprawdę niewiele trzeba by je uczyć, bo one doskonale się w tym wszystkim orientują. Koty są z czło-

wiekami od tysięcy lat i trzeba pamiętać o tym, że kot umie chodzić do kuwety, a jeśli zdarza mu się nasikać poza kuwetą, to znaczy, że coś nam chce powiedzieć, tylko należy się zastanowić, co. Kot nie umie siąść przy kawie i powiedzieć, jaki ma problem. Tak jak dzieci są niegrzeczne po to, by rodzice zwrócili na nie uwagę, tak i zwierzęta robią to, na co my na pewno zwrócimy uwagę. A jeśli ktoś nie chce by kot chodził po stole, nie powinien mieć kota. Kot nie ma w domu drzew, na które można się wspinać, musi więc korzystać z naszych mebli, choć to wielce niedoskonały substytut.

Czego koty nie lubią?

– Jak się je zostawia, gdy opiekun na przykład wyjeżdża. Muszą go potem jakoś za to ukarać. Koty dysponują tak dużą liczbą społecznych zachowań, tylko trzeba być z nimi blisko, żeby je rozumieć. Tak samo jak ze sobą są w stanie się pokłócić i być dla siebie czułe, tak samo zachowują się w stosunku do człowieka. Jeśli kot i człowiek są ze sobą bardzo blisko, człowiek nauczy się czytać kota, jak książkę.

– Co prawda mimika twarzy kota jest dość uboga w stosunku do, na przykład psa czy człowieka, natomiast taniec ciała kota mówi bardzo wiele. No i te cudowne dźwięki, które wydaje też mówi bardzo dużo.

Co zrobić, by być opiekunem kota szczęśliwego?

– W miarę możliwości dać mu jak najwięcej wolności, spełnić jego potrzeby społeczne, które nie są tak duże, jak w przypadku psa. Ale są. Mam tu na myśli kontakt z innymi kotami. Kot nigdy nie powinien być skazany wyłącznie na inne gatunki bez możliwości kontaktu ze swoim.

– Poza tym, by kot był szczęśliwy, trzeba dać mu po prostu święty spokój. To bardzo ważne. Często ludzie mieszkający w mieście, w bloku, ale nie tylko, nie dają kotu chodzić po stole, drapać kanapy. Tacy w ogóle nie powinni mieć kota. Kot musi mieć wolność wyboru co do miejsca odpoczynku, aktywności. Nie można go do niczego zmuszać, on sam powinien decydować, co będzie robił, jak będzie robił i gdzie będzie robił. Tylko wtedy będzie szczęśliwym kotem.

Decydujemy się na drugiego kota. Jak ułatwić kotom zaakceptowanie swojego towarzystwa? Często są to trudne sytuacje.

– Nie zgodzę się, że są to trudne sytuacje. Kot, który długo jest sam, a jest to zwierzę terytorialne, po dłuższym przebywaniu na swoim terytorium, drugiego kota zawsze będzie uważał za intruza. Jest to niezależne od jego charakteru czy osobowości.

– Bardzo różnie też trwa okres, w którym przyzwyczajają się do tego, że zaczyna dzielić terytorium z drugim kotem. Im kot jest młodszy, tym jest to łatwiejsze. Z reguły trwa to do czterech tygodni. Podstawową zasadą jest się nie wtrącać. Przynoszącego kota do domu w transporterze, otwiera się transporter w jakimś zacisznym miejscu, gdzie wstawia się kuwetę, miskę z wodą i jedzeniem i się wychodzi. Trzeba dać czas. To jest ich sprawa.

– Są takie koty, które akceptują nowego bardzo szybko, a są takie, które nie akceptują nigdy, ale przynajmniej nie jest im nudno. Trzeba pamiętać, że w obliczu nudy, która doskwiera samotnemu kotu, lepsza jest kłótnia od czasu do czasu z drugim przedstawicielem jego gatunku. Przyjaźnić się koty ze sobą wcale nie muszą. Jednak wzajemna obecność na pewno im pomoże.

Po czym poznać, że z kociej znajomości przyjaźni nie będzie?

– Koty, które się nie lubią i dochodzi między nimi do jakiegoś sporu, wydają dźwięki porównywalne – przypuszczam, bo nigdy tam nie byłam – z piekielnymi jazgotami diabelskimi. Czasami pierze leci. Jednak koty, mimo, że to wygląda groźnie, nie zrobią sobie krzywdy. Mam kilkanaście kotów, każdy z przypadku, każdy przygarnięty i jeszcze nigdy nie było sytuacji, w której jeden kot poraniłby drugiego, choć się leją od czasu do czasu.

A co, jeśli kot, który dołączył, próbuje zdominować stałego kociego domownika?

– Trzeba czasem pogonić dominanta, ryknąć na niego w diabelski sposób, a nie tylko krzyknąć, zupełnie tak samo, jak koty, gdy się tłuką. To go odwiedzie od prób dominacji. Czasami też działa spryskiwacz do kwiatów. Jeżeli któryś kot jest po-

krzywdzony, bo jest słabszy i delikatniejszy, trzeba stanąć w jego obronie. To jest właśnie odpowiedzialność opiekuna za demokratyczne traktowanie domowników. A pełna demokracja polega na tym, że zawsze pochylamy się nad naj słabszymi, którzy mają najmniejsze szanse, żeby się wybić. Jeśli jakieś zwierzę jest słabsze i sobie nie radzi, my musimy stanąć w jego obronie. Ale nigdy nie wolno nam bić zwierząt!

Mówi się, że koty wybierają sobie ludzi? Jakim kodem się posługują? Jakie osoby koty lubią najbardziej? Czytałam w poradnikach, że faworyzują ludzi spokojnych, zrównoważonych emocjonalnie.

– Niekoniecznie. Z reguły w ludzkich rodzinach jest tak, że mamy faworyzują synów, a ojcowie córki. Ze zwierzętami jest bardzo podobnie. To jest pierwszy wybór. Przez zwierzęta faworyzowani są też ci ludzie, którzy mają charakterologicznie do zaofiarowania coś, na czym tym zwierzętom zależy. A każde zwierzę jest troszkę inne. Są koty, które lubię, żeby je brać na ręce i miętosić, a są koty, które tego nienawidzą. Jeżeli jest ktoś bardzo emocjonalny, kto ma dużą potrzebę przytulania i weźmie kota, który tego nie lubi na ręce, to ten kot będzie go unikać. Z drugiej strony, jeśli jest kot, który lubi miętoszenie, to będzie szukał kogoś do miętoszenia. Koty zachowują się tak samo, jak my w przy wyborze swoich ludzi.

– My też otaczamy się ludźmi, którzy spełniają jakieś nasze oczekiwania. Zwierzęta szukają tych istot, które dają im poczucie bezpieczeństwa, zapewnią przyjemność z przebywania razem. Koty lubią na pewno te osoby, które im się nie narzucają. Ale dokonany przez kota wybór nie ma nic wspólnego z miską, bo często się mówi, że kto karmi kota w rodzinie, jest dla niego najważniejszy. On jest najważniejszy tylko przez kilka chwil w ciągu dnia, gdy nakłada mu pokarm. I to samo dotyczy psów.

A co zrobić, by kot nas po prostu lubił?

– Nie narzucać się, dać mu wolną rękę. Jeśli jest nowym kotem, dużo mówić nie patrząc na niego. W ogóle do zwierząt trzeba mówić, ludzie o tym zapominają.

One rozpoznają nasz głos i nasze intencje. Jeśli mówimy do nich dużo, mając dobre myśli i czyste serce, to jest to dla nich taką kojącą piosenką.

– Jeśli mamy nowe zwierzę, to trzeba sobie związać ręce z tyłu, tylko mówić do niego i obserwować. Dotykać jedynie, kiedy to zwierzę ma na to ochotę. To jest niezwykle ważne. My, gdy jesteśmy przestraszeni, nie znosimy, kiedy nas ktoś dotyka. Mamy nawet taką swoją granicę, za którą nie chcemy obcego wpuścić. Jeśli ktoś obcy za bardzo zbliża się do nas, czujemy się niekomfortowo. To samo dotyczy zwierząt. Dajmy im wybór, dajmy wolność, pozwólmy, aby to one zdecydowały kiedy i jak zbliżymy się do siebie i wtedy będzie na pewno dobrze.

Co zrobić żeby kot żył jak najdłużej?

– Ważniejsze od tego, by kot żył jak najdłużej jest to, by żył on dobrze. Fatalnie jest żyć źle i na dodatek długo, prawda? Zwierzęta inaczej pojmują czas, ważne jest u nich tu i teraz. Zadbajmy o to, a będą szczęśliwe i długowieczne.



Thomas Erikson, autor książek m.in. „Otoczeni przez idiotów”, „Otoczeni przez psychopatów” i „Mój szef jest idiotą”

| Materiały prasowe

Thomas Erikson: Musimy ze sobą więcej rozmawiać

Agnieszka Łopatowska

Komunikacja w naszych czasach, najczęściej za pomocą telefonów komórkowych, jest bardzo jednostronna. Przekazujemy, ale nie słuchamy – mówi Thomas Erikson, autor między innymi książki „Mój szef jest idiotą”. – Musimy ze sobą więcej rozmawiać, ale też musimy się więcej słuchać.

THOMAS ERIKSON TO SZWEDZKI pisarz, psycholog komunikacji społecznej, behawiorysta i trener personalny. Twórca serii kryminalnej o behawioryście Aleksie Kingu, w ramach której powstało m.in. „Złudzenie” czy „Okrucieństwo”. Jego oryginalny, pozwalający usprawnić komunikację przewodnik po ludzkich charakterach „Otoczeni przez idiotów” w samej tylko Szwecji sprzedał się w 100 tysiącach egzemplarzy. W Polsce ukazały się jeszcze „Otoczeni przez psychopatów” i „Mój szef jest idiotą”.

AGNIESZKA ŁOPATOWSKA, STYL.PL: Na jakie kolory dzielimy typy osobowości według teorii Williama Moultona Marstona, z której korzysta pan w swoich poradnikach?

THOMAS ERIKSON: – Czerwony, żółty, zielony i niebieski. Można powiedzieć, że te cztery kolory służą do tworzenia innych kolorów. Możemy to odnieść do przepisu kulinarnego, w którym mamy cztery składniki. Z tych składników możemy stworzyć jakieś danie. Ale za każdym razem otrzymamy inne, stosując równe proporcje poszczególnych składników. Podstawą jest jednak to, żeby wiedzieć, co się stanie, jeśli użyje się za dużo lub za mało któregoś z nich.

Jeśli ktoś jest przede wszystkim czerwony, to czego możemy się po nim spodziewać?

– Kolor czerwony to dominacja, siła, szybkość.

Żółty?

– Wieczny optymista. Osoba, która się cieszy z tego, że świeci słońce, że jesteśmy tutaj, a nie gdzie indziej. Zawsze jest zadowolona.

Zielony?

– Stabilność, umiar, dobre relacje z innymi, żadnych zmian, cały czas pozytywnie.

I wreszcie niebieski...

- Poważna mina, odniesienie tylko do faktów, żadnych pobocznych wątków, ścisła analiza, kamienna twarz.

„Nie rozmawiam z tobą, czekam na twój raport”.

- Najlepiej pisany!

Muszę tutaj trochę ukryć swoje prawdziwe ja, bo wedle tej teorii jest we mnie znaczna przewaga żółtego, a żółci podobno nie potrafią słuchać.

- Jeśli w jednej sali spotkają się dwie osoby żółte, to jedna z nich powinna ją opuścić, bo nigdy się nie porozumieją. (śmiech)
 - A poważnie, to podczas takich spotkań żółty musi się dostosować do swojego rozmówcy, żeby mógł zostać nawiązany dialog i robi to. Ich spotkanie musi być pretekstem do zmiany jego zachowania.

Ten dialog jest ważny, a w czasach, w których żyjemy rozmowa zdaje się umierać.

- Całkowicie się z panią zgadzam. Musimy ze sobą więcej rozmawiać, ale też musimy się więcej słuchać. Komunikacja w naszych czasach, najczęściej za pomocą telefonów komórkowych, jest bardzo jednostronna. Przekazujemy, ale nie słuchamy.

Przez smartfony stajemy się jakimiś odrębnymi jednostkami informacyjnymi – ludzie nie patrzą na siebie w tramwaju, nie rozmawiają ze sobą na ulicy – tak jest tylko w Polsce, czy już cały świat tak funkcjonuje?

- Na uniwersytecie w Minnesocie od 2000 roku prowadzone są badania stopnia empatii, jaką ludzie się wzajemnie obdarzają. Od początku tego badania, przez 18 lat, poziom empatii spadł o 40 procent. Najbardziej gwałtowny jej spadek nastąpił w momencie, gdy do powszechnego użycia weszły smartfony.

Mamy szanse na uratowanie tej naszej komunikacji?

– Pierwszym krokiem jest zdanie sobie w ogóle sprawy z tego, że ten problem istnieje. Szczególnie dużą wagę należy przywiązywać do komunikacji ludzi młodych – oni patrzą na osoby starsze i widzą że komunikują się za pośrednictwem smartfonów. Nie to, że nie chcą się komunikować w normalny sposób, tylko nie wiedzą, jak to robić. Naszym zadaniem jest nauczenie ich tego. Powrót do tych form dialogu, które były kiedyś. Musimy to zrobić, bo za jedno czy dwa pokolenia już te sposoby nie będą znane.

Najnowsza pana książka w języku polskim nosi tytuł „Mój szef jest idiotą”. Czytając ją odniosłam wrażenie, że łatwo jest szukać rzeczowego idioty w innych, a mnie ta książka skłoniła przede wszystkim do szukania idioty w sobie.

– Przede wszystkim trzeba ocenić, jakimi jesteśmy komunikatorami: dobrymi czy złymi. Zdać sobie sprawę ze swoich słabych stron – zarówno w komunikacji domowej, jak i szef – pracownik oraz pracownik – szef. Bez tej świadomości nie będzie możliwa zmiana tego stanu rzeczy. Szczególnie ważne jest to, żeby zrezygnować z nastawienia: „Ja jestem super, to wszyscy inni są idiotami; ja zawsze mam rację, inni nigdy”. Można to porównać do tego dowcipu, kiedy mężczyzna jadący autostradą pod prąd słyszy w radiu komunikat informujący o tym fakcie, rozgląda się i mówi: „Jaki jeden? Przecież są ich tu tysiące!”.

Jakie plusy i minusy mają szefowie z przewagami poszczególnych kolorów?

– Jeśli jest się czerwonym, można od razu o sobie wiedzieć, że jest się zdecydowanym, cały czas do przodu, po trupach do celu. Jeśli jest się szefem w kolorze żółtym, jest się bardzo miłym w stosunku do współpracowników, ale zapomina się o pewnych rzeczach, jest się niechlujnym, nie trzyma się procedur. Jeśli jest się zielonym, jest się bardzo odpowiedzialnym, solidnym, natomiast jest się szefem, który boi się konfliktów i to nie jest dobre. Z kolei niebieski to osoba, która wszystko bardzo dokładnie analizuje, chce wszystko sprawdzić w najmniejszym detalu, ale to wszystko

odbywa się za wolno. Właściwie podstawą dla dobrego szefa jest samoświadomość tego, do jakiego koloru się należy.

A może najlepszy szef to po prostu kameleon, który dostosowuje kolor do warunków, w jakich się znalazł?

– Porównanie do kameleona byłoby bardzo trafne. Tylko problem polega na tym, że takich ludzi nie ma. A bardzo ułatwiłoby to życie.

Coraz więcej z nas pracuje w przestrzeni open space – czy takie mieszanie kolorów jest dla nas dobre?

– W tym kontekście musimy rozpatrywać stosunek introwersji do ekstrawersji. Czerwony i żółty to ekstrawertyczne, a niebieski i zielony – introwertyczne kolory. Pierwsze uwielbiają open space, a drudzy ich nienawidzą. Czują się w ich niekomfortowo, wolą siedzieć w słuchawkach, żeby nie słyszeć tego całego szumu. Zawsze będą kompletnie wyalienowani, nie będą w stanie nawiązać kontaktu z pozostałymi. Uznają, że są otoczeni przez idiotów. I tu chciałbym zaznaczyć, że faktycznie w tym kontekście niektórzy ludzie są otoczeni przez większą ilość idiotów niż inni.

Czy pracownicy w różnych krajach różnią się kolorami? Można powiedzieć, że Polacy są bardziej żółci, czy też bardziej niebiescy?

– To typowe pytanie, które dostaję przynajmniej raz w tygodniu.

A tak bardzo się starałam takich uniknąć...

– Ale ono jest bardzo dobre, to bardzo interesujące zagadnienie. Szwedom przypisywany jest kolor zielony. Oni zawsze dążą do konsensusu, do zgody, żeby być w dobrych relacjach z innymi. Wystarczy pojechać do sąsiedniej Finlandii, żeby przekonać się, że ludzie są tam zgoła inni. Poukładani, mało dostępni, bardzo małowinni, kiedy o czymś decydują, od razu przystępują do działania i nie oczekują od innych dłuższego dialogu. Mimo, że te kraje ze sobą graniczą, różnica jest diametralna. Jeśli pojedzie się z kolei do Niemiec, przekonamy się, że Niemcy są

poukładani, porządni i wszystko musi u nich chodzić jak w zegarku. W Stanach Zjednoczonych wszyscy uważają się za gwiazdy, są najlepsi we wszystkim i nie mają żadnych problemów. Ale takie przypisywanie różnym nacom tych kolorów jest pewnego rodzaju filtrem, które na nie nakładamy, w rzeczywistości zależy to od poszczególnych obywateli. Na podstawie ankiet, które wypełniło 50 milionów ludzi ze stu krajów świata, w 48 językach, okazuje się, że ludzi w każdym kolorze jest prawie odkładnie tyle samo.

Każdy z nas ma jakiś kolor dominujący, ale też pojawiają się u niego inne barwy. Zawsze będą to trzy pozostałe?

– Większość z nas jest mieszanką kolorów. Choć podejrzewam, że moja żona ma tylko jeden kolor – czerwony. Jak tylko coś pomyśli, od razu ma być zrobione. Ona opuszcza miasto, zanim ja zdążę opuścić fotel. Grupa takich ludzi jest bardzo ograniczona – stanowi raptem 5 procent. Ja jestem mieszanką trzech kolorów.

Czy tę „kolorową” teorię można przenieść na związki?

– Mówi się, że przeciwieństwa się przyciągają. Mając za sobą dwa rozwody mogę powiedzieć o tym, w jakich sytuacjach to nie działa... Jesteśmy zainteresowani osobami, które są do nas podobne, natomiast intrygują nas te, które są naszym przeciwieństwem. Po ich poznaniu najczęściej po prostu przestajemy się nimi interesować, bo nie ma z tego tytułu żadnych dodatkowych pozytywów. To zauroczenie mija, kiedy trzeba ze sobą żyć, pojawiają się różnego rodzaju problemy i troski.

Może więc doczekamy się pana książki „Zakochani w idiotach”?

– Ona raczej powinna nosić tytuł „Otoczeni przez jednego idiotę”. (śmiech)



Anna prowadzi o Wojtkach blog „Dla dwóch takich co ukradli serce

| Archiwum prywatne

Żeby życie było dobre: O dwóch Wojtkach i mamie

Monika Szubrycht

Anna brała Wojtków do siebie w święta, wakacje i weekendy. W końcu doszła do wniosku, że trzeba zrobić coś więcej. Została matką dwóch niepełnosprawnych chłopców z domu pomocy społecznej. Dziś tworzą prawdziwą rodzinę.

PACJENCI W KAFTANACH PRZYWIĄZANI DO ŁÓŻEK pieluchami, w powietrzu wszechogarniający fetor moczu. To nie opis miejsca z filmu „Bandyta”, ale prawdziwy obraz domu pomocy społecznej przy ulicy Łanowej w Krakowie. Tak wyglądał w latach 90.

Gdy Anna Paruch przekroczyła próg ośrodka, miała tylko jedną myśl: wyjść i nigdy tu nie wrócić, choć przecież sama się zgłosiła do wolontariatu. Na początku trafiła do grupy starszej. Podopieczni byli w jej wieku. Niektórzy ją zaczepiali, innym była zupełnie obojętna.

Na innym piętrze leżały młodsze dzieci, często nazywane „roślinkami”. Tam w kącie zauważyła chłopczyka z wygiętymi na zewnątrz nóżkami. Miał jasne włosy i jedną jedynekę z przodu, którą demonstrował w szerokim uśmiechu. Charczał przy tym tak głośno, że nie dało się go przeoczyć.

– Czułam wielką pokusę, by wziąć go na ręce, ale bałam się, że się rozsypie, gdy go podniosę. Widać było, że jest bardzo niepełnosprawnym dzieckiem – wspomina dziś Anna. Na imię miał Dominik. Wróciła do niego następnego dnia. I kolejnego dnia również.

NIE MIELI NIC WŁASNEGO

Jak to się stało, że uśmiechnięta dziewczyna z burzą loków na głowie trafiła do DPS-u na Łanowej? Wszystko za sprawą Jeana Vaniere’a, syna 19. gubernatora Kanady. Kiedy filantrop zakładał pierwsze wspólnoty, których rdzeniem są osoby z niepełnosprawnością intelektualną – Arki, była jeszcze dzieckiem. Spotkali się w 1993 w Krakowie. Jean zmieniał życie osób z niepełnosprawnością na lepsze. Uważał, że mogą przy wsparciu innych radzić sobie w miarę samodzielnie – potrzebują tylko asystentów. Anna słuchała jego wykładów podczas rekolekcji dla domu pomocy społecznej. Tak bardzo zaangażowała się w wolontariat, że w końcu dostała w DPS-ie pracę.

– Poza byciem z chłopakami, bo wtedy był to jeszcze dom dla samych chłopców, robiłam tam bardzo śmieszne rzeczy, jak na przykład malowanie łóżek, albo podpisywanie ubrań. Wcześniej wszystkie ubrania były wspólne, podopieczni nie posia-

dali nic własnego, nawet zwyczajnych majtek – wspomina początki swojej pracy. Anna wraz z innymi opiekunami stworzyła warsztaty terapii zajęciowej. Ale zanim to nastąpiło przyszła zima, a wraz z nią pierwsze Boże Narodzenie. Postanowiła zabrać jedno dziecko na święta do swojego domu. Chciała wziąć Piotrką, wszyscy go uwielbiali.

– Do każdego mówił „mama”, więc czuliśmy się ważni. Był uroczym chłopcem, przytulał się do każdego. Nie trzeba było się wysilać, żeby mieć z nim kontakt – wspomina. Przeciwnieństwem Piotrusia był Wojtek. Nie zauważał innych, w rączce trzymał jakąś rzecz, która zdawała się być ważniejsza niż ludzie.

– Pamiętam go z grzebykiem. Wbijał go w moje loki, co było czasami bolesne. Na tym najczęściej polegała nasza relacja. Siadał mi na plecach i maltretował moje włosy. Gdy okazało się, że Piotrką chcą zabrać wszyscy, pomyślałam, że wezmę kogoś, kogo by nikt nie wziął, czyli Wojtkę – wspomina Anna. Pracownik socjalny powiedział jej wprost, że sobie nie poradzi, że odwiezie go jeszcze w trakcie świąt, że będzie trudno.

KLAPA OD AUTKA

Okazało się, że trudno nie było. W domu Anny Wojtek odnalazł się bardzo szybko. Poczuł się dobrze. Za to powrót do DPS-u był traumatyczny. Wracął z fragmentem swojego świątecznego prezentu. Dostał duże auto, w którym mógł siedzieć i jeździć. Ale bardziej niż samochód spodobała mu się jego klapa. Chodził z nią cały czas przez kilka miesięcy.

– Kiedy go zostawiałam w DPS-ie, płakał w jednym pokoju, a ja w drugim, zastanawiając się czy zabierając go do siebie nie robię mu większej krzywdy. Intuicyjnie pomyślałam, że może jeśli znajdę jakąś stałość, to powroty będą łżejsze. Postanowiłam, że będę brała go w każdy weekend, obojętnie co by się nie działo w moim życiu. Tak się jednak nie stało. Nigdy powroty nie były łżejsze – wspomina.

Pracownicy DPS-u mieli pretensje do Anny, że Wojtek zachowuje się gorzej. Anna zabierała też do swojego domu inne dzieci. Był Rysiek, Piotrek, Michał, który jako pierwszy powiedział o niej „mama”.

– Pamiętam, że kiedy szłam po Wojtka, to chłopcy stali za szybą. Michał zobaczył mnie i zawołał: „Wojtek, mama idzie”. Tyle, że kiedy Anna zajmowała się pozostałymi dziećmi, Wojtek nie był w stanie przebić się przez innych, siedział sam w przedpokoju albo w kuchni. Wtedy pojawił się drugi Wojtek. Wyglądał na półtoraroczne dziecko, choć miał 8 lat. Jadł tylko z butelki.

– Wkładał całe dłonie do buzi. Nie wiem, jak je tam mieścić. Cały usmarowany śliną nie zachęcał do tego, żeby się nim zajmować. Pamiętam, że miałam pretensje do opiekunów, że jest taki brudny. Tłumaczyli, że robi tak cały czas, a ja im na to, że wystarczy go częściej myć. Stwierdziłam, że małego Wojtka też będę zabierać do domu – wspomina tamten czas.

Wracała do siebie z dwoma Wojtkami i patrzyła na ich wzajemną relację. Jeden chłopiec z niepełnosprawnością przynosił drugiemu chłopcu z niepełnosprawnością pieluchę. Czuł się ważny, czuł, że robi coś wielkiego. Podawał małemu butelkę z jedzeniem. Tak, jak zrobiłby to starszy brat. Anna brała Wojtków do siebie na każde święta, wakacje, wszystkie weekendy. W końcu doszła do wniosku, że trzeba zrobić coś więcej.

BITY, BO INNY

Jeden z wyjazdów do sanatorium duży Wojtek przypłacił regresem. Źle go tam traktowano. Był bity za to, że nie zachowuje się jak inni. Zadzwoniono do Anny, żeby po niego przyjechała. Była już wówczas opiekunem prawnym dziecka.

– Jedno z moich najgorszych doświadczeń? Gdy dotarłam na miejsce i zobaczyłam chłopca, który mnie nie poznaje, słyszy głos i próbuje zlokalizować osobę, bo tak jest otumaniony lekami. Gdy wróciliśmy do Krakowa, od razu zawiozłam go do swojego domu, bo nie wyobrażałam sobie, że w takim stanie może trafić na Łanową. Był agresywny, nie kontrolował swoich ataków. Straciliśmy wszystkie talerze w domu, więc śmialiśmy się, że mamy jeden i jemy rotacyjnie – opowiada. Od tego momentu dwóch Wojtków jeździ na Łanową tylko kiedy Anna chodzi do pracy. Gdy ją kończy, zabiera chłopców do siebie.

– Byli mieszkańcami DPS-u, w którym już nie mieszkali. Podjęłam wtedy decyzję, że zostanę ich mamą, ale wcześniej wybrałam się na pielgrzymkę. Postawiłam warunek, że zaadoptuję chłopców, jak Pan Bóg ich uzdrowi. Nie uzdrowił ich, ale uzdrowił mnie w tej mojej decyzji – śmieje się Anna Paruch. Nie poszła do ośrodka adopcyjnego, tylko od razu do sądu, żeby określić dokładnie sytuację, w której się znajduje. Wszyscy mówili jej, że się nie uda, bo ominęła ośrodek, chłopcy są niepełnosprawni, a ona jest sama. Odbły się dwie rozprawy. Po ponad miesiącu została matką Wojtków.

– Mierzyłam się z autyzmem dużego Wojtka i chorobami małego. Po drodze wyszło, że mały, oprócz zespołu Downa i głębszej niepełnosprawności intelektualnej też ma autyzm – wyjaśnia. – Wydawało się, że poza butelką z pokarmem i zmianą pieluchy nic mu nie jest na świecie potrzebne. Nie mogę powiedzieć, że dla mnie to było trudne. Cieszyłam się z każdej umiejętności, którą nabywa, choć inni nie zwróciliby nawet uwagi na tak małe rzeczy. Fakt, że strącił mi wszystko z szafek, bo odkrył, że może się poruszać, był dla mnie czymś dobrym, a nie negatywnym.

Anna obserwowała też niezwykłą relację chłopców. Widać było, że są dla siebie ważni, czują potrzebę bycia razem. Z czasem, gdy zaczęli lepiej funkcjonować, jeden pilnował drugiego, na przykład na rodzinnych zakupach. Kiedy na stole lądował talerzyk na deser uważali, by obok znalazł się drugi.

– Nie zastanawiałam się nigdy nad tym, czy oni rokoją i co osiągną w życiu. Pewnie dlatego łatwo mi jest przyjmować ich autyzm. Nigdy nie chciałam ich wyleczyć. Chciałam sprawić ich życie dobrym. Tylko tyle – mówi mama Wojtków.

DORASTANIE W PŁACZU

Osoby z autyzmem pamiętają o wszystkim, co się w ich życiu wydarzyło. W okresie dorastania pojawiło się wiele trudności, szczególnie w zachowaniu dużego Wojtka. I dużo płaczu. – Nie płakał z konkretnego powodu, dlatego trudno było mi zrozumieć, skąd te łzy, a nie potrafił jeszcze na tyle się komunikować, żeby mi to wytłumaczyć. Wyjechaliśmy na kilka miesięcy z Krakowa, żeby mógł się wyciszyć

z dala od szkoły, a ja zrozumieć, co się dzieje w Wojtku – opowiada Anna Paruch. Na jednej z wycieczek chłopiec dostał histerii na środku rynku.

– Wtedy mi pokazał, że jak był mały, był bity i więzany. Pomyślałam, że pamięć fotograficzna jest przekleństwem, nie darem. Pokazuje, jak trudno uwolnić się mu od takich doświadczeń. Do dziś zdarza mu się obudzić z krzykiem w nocy – opowiada mama. I dodaje: – Wtedy natychmiast stajemy na baczność i przy nim jesteśmy, żeby pokazać mu, że jest bezpieczny. Uśmiecha się do nas i mówi, że wszystko OK. Ma świadomość, że to tylko sen. Ludzie postronni, szczególnie ci, którzy znali Wojtków od dzieciństwa, nie mogą uwierzyć, jacy są dziś.

– To pokazuje, że nawet najlepszy Dom Pomocy Społecznej nie zastąpi rodziny, w DPS-ie nie będzie relacji. To jest smutne, bo zdaję sobie sprawę z tego, że są rodzice, którzy nie potrafią znaleźć innego wyjścia z sytuacji. Dla mnie to jest miejsce, które nie daje żadnych szans. Widzę to po chłopcach, którzy lepiej rokowali, byli dalej niż moi chłopcy – tłumaczy Anna. Tymczasem ci lepiej rokujący zostali za Wojtkami daleko w tyle.

Kilkanaście razy dziennie mówi synom, że ich kocha. Widzi, jakie to dla nich ważne. Oni też dbają o emocje innych.

– Kiedy jestem smutna, chcę mnie pocieszyć. Duży Wojtek mnie przytula, kładzie moją głowę na swoim ramieniu, głaska albo woła tatę, bo uważa, że tata powinien pocieszyć.

PODBITE OKO I PIERWSZA RANDKA

Anna wiedziała, że będzie samodzielną matką. I samotną. – Tak zakładałam. Jest stereotyp, że mężczyźni zwykle odchodzą, kiedy rodzi się niepełnosprawne dziecko, więc byłam pewna, że jeżeli mam dwójkę takich i w dodatku nie swoich, to nikt mnie nie zechce – śmieje się Anna. – W ogóle nie brałam pod uwagę tego, że może być inaczej, byłam z tym pogodzona. Krzysiek pojawił się w ich życiu w tak zwanym trudnym momencie, bo jak twierdzi Anna, człowiek wtedy zaczyna być bardziej otwarty, mniej kontroluje rzeczywistość. Na pierwszą randkę poszła z podbitym okiem.

– Chciałam ochronić Wojtkę przed uderzeniem w drzwi balkonu. Tak nieszczęśliwie się podłożyłam, że dostałam w oko. Nie chciałam opowiadać na pierwszym spotkaniu, że mam w domu tak trudne dzieci, że mnie biją – tłumaczy ze śmiechem Anna. Kiedy spacerowali ulicą, ludzie patrzyli na nich pytająco. Krzysztof rozkładał ręce i mówił: „To nie ja”. Anna nie ukrywała prawdy. Mówiła, że jest matką wyjątkowych chłopców, że są dla niej najważniejsi.

– Widziałam, że mu na mnie zależy, mnie również zależało, pomyślałam więc, że czas na próbę generalną. Zaproponowałam mu wyjazd na obóz. Powiedziałam, że brakuje nam opiekunów. Było to kłamstwo, o którym dowie się z tego tekstu – Ania znowu się śmieje. Widziała, że Krzysztof się stara, ale chciała zobaczyć, jak czuje się na placu boju. A obóz z niepełnosprawnymi jest takim bojem. Jest się z nimi 24 godziny na dobę i dzieją się różne rzeczy. Czasem trzeba kogoś nakarmić, a czasem kogoś przewinąć. Zastanawiała się, czy Krzysztof znajdzie się w takim świecie, jej świecie. Innego nie miała.

– Krzysiek zdał egzamin znakomicie. Oprócz tego, że zajmował się Piotrkim, zajmował się też Wojtkami, angażował się w pomaganie innym. Nie trzeba było mu mówić, co ma robić. Po prostu to wiedział.

W OCZACH TATY

Anna i Krzysztof zostali parą. Odkrycie taty w życiu Wojtków było czymś niezwykłym. – Mały był potwornie zazdrosny. Wbijał mi paznokcie w policzek, kiedy nie patrzyłam na niego, tylko na Krzyśka. Drapał mnie po rękach, żebym była skupiona tylko na nim. Sto procent intensywnej zazdrości. A duży Wojtek? Potrzebował faceta. Krzysiek był bogiem – opowiada Anna. – Piekłam tort, a duży Wojtek dziękował za niego Krzyśkowi. Ania uśmiecha się na to wspomnienie i mówi, że choć powinna być zazdrosna, nigdy nie była. Zobaczyła, że ich czwórka może sprawdzić się jako rodzina.

– Dużemu Wojtkowi był potrzebny wzór ojca, chciał w końcu przejrzeć się w oczach mężczyzny. To było niezwykle. Z małym budowanie relacji następowało dłużej. Do dziś śmiejemy się, że jest „zrywaczem więzów”, bo gdy idziemy na spacer

w czwórkę i synowie idą z przodu, a my trzymamy się za ręce, to gdy tylko mały zauważy to kątem oka, natychmiast wchodzi między nas i nas rozdziela.

Ania w stosunku do małego była nadmiernie opiekuńcza. Bała się, że się przewróci czy zrani. Chciała, żeby szedł sam, ale częściej brała go pod rękę. Miał w końcu nie tylko niezdarność ruchową, ale też dużą wadę wzroku. Co robił Krzysiek? To, co w takich sytuacjach robi tata. Odsuwał mamę i zachęcał Wojtkę do samodzielności. Wojtek się przewracał, złościł, ale wstawał sam, uśmiechał do rodziców i szedł dalej. Samodzielność rodzi... więcej samodzielności.

Mały Wojtek zaczął bardziej pomagać w domu, zaczął też czuć się ważny, choćby z tego powodu, że odnosi talerze do kuchni po posiłku. Potrafił sam wziąć sobie picie, i coś, co lubi jeść. A ponieważ uwielbia chleb, rodzice musieli zainstalować skobel na chlebaku. Mały Wojtek potrafił bowiem zjeść cały bochenek na raz. Anna żartuje, że znajomi, którzy mają pełnosprawne dzieci, jednego mogą jej zazdrościć: jeśli poprosi któregoś z Wojtków, żeby jej coś przyniósł, podała albo coś od niej zabrała, nigdy nie słyszy „zaraz”. Chłopcy po prostu to robią.

ONI TYLKO UDAJĄ

– Z czym się mierzę? Że są dziwni i można się z nich śmiać. To jest bolesne, nie da się znieczulić. Jak są mali, to są słodkimi chłopcami. Kiedy dorastają nagle niepełnosprawność staje się widoczna. U starszego Wojtki tego nie widać bardzo, kręci tylko głową ósemki. Pamiętam cudowną sytuację, jak wracaliśmy z zamku w Czorsztynie. Starszy trzymał w ręce spiner i nim kręcił, młodszy miał słuchawki na uszach. Przechodziły trzy małe dziewczynki, zauważyły chłopaków i się zaciekawiły. Zastanawiały się, dlaczego mniejszy tak śmiesznie idzie. W końcu jedna do drugiej mówi: „Ty patrz, oni są normalni tylko tak udają”. To był miód na nasze serca.

Redakcja: Agnieszka Łopatowska

Projekt okładki: Anna Dukat

Koordynator projektu: Barbara Juranek

Kraków 2018

The logo for interia, featuring the word "interia" in a bold, blue, sans-serif font.

Projekt typograficzny: Angelika Duchnik

Skład: Anna Jakubowska

The logo for woblink, featuring the word "woblink" in a bold, black, sans-serif font. Above the letters "o", "b", "l", and "i" are four small colored dots: blue, purple, pink, and orange respectively.